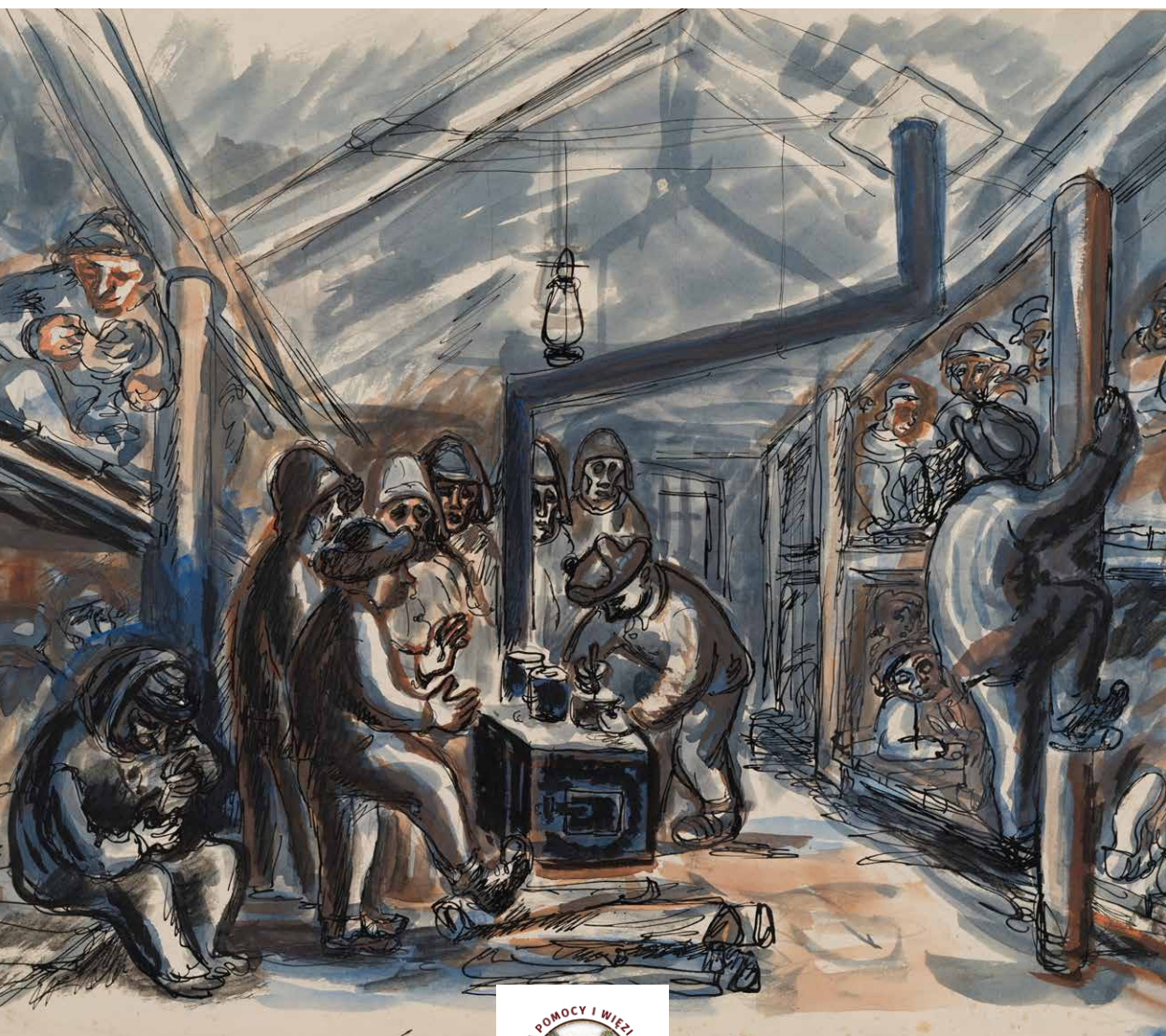


ZOSTALI ŁAGIERNIKAMI

ŻOŁNIERZE AK W NIEWOLI SOWIECKIEJ



ZOSTALI ŁAGIERNIKAMI

ŻOŁNIERZE AK W NIEWOLI SOWIECKIEJ

Redakcja

Tomasz Horsztyński, Aneta Hoffmann

Projekt graficzny

Daniel Górnicki *Brand*

Wydawca

Fundacja Pomocy i Więzi Polskiej „Kresy RP”
ul. Zielna 39, 00-108 Warszawa
<http://akfundajakresy.pl/>
email: projekty@akfundajakresy.pl

Polecamy

Baza Łagierników Żołnierzy AK:
<https://armiakrajowa-lagiernicy.pl/baza-zolnierzy-lagiernikow/>
Archiwum Historii Mówionej:
<https://audiohistoria.pl/>

Zdjęcia

Str. I okładki, strony tytułowe rozdziałów oraz ilustracje w tekście:
Adam Kossowski, rysunki przedstawiające wspomnienia z łagru nad
Peczorą, Muzeum Archidiecezji Warszawskiej
Zdjęcia żołnierzy AK Łagierników z archiwum Stowarzyszenia
Łagierników Żołnierzy AK z wyjątkiem W. Sebastianowicz (źródło:
Związek Polaków na Białorusi), K. Chmury (źródło: IPN Rzeszów),
E. Cydzika (źródło: IPN)

Druk

Marka Krzysztof Gąsior

© Copyright by Fundacja Pomocy i Więzi Polskiej „Kresy RP”
Warszawa 2020

ISBN: 978-83-959701-2-2

WSTĘP

Niespełna 20 lat po wejściu w życie Traktatu Ryskiego kończącego wojnę polsko-bolszewicką lat 1919-1920, który zadecydował o przynależności Kresów Wschodnich do odrodzonego państwa polskiego, wybuchła II wojna światowa. Jak czas pokaże, zmieniła ona na zawsze losy obywateli polskich zamieszkałych na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej.

Zmieniający się okupanci, warunki działania, a także partyzantka sowiecka i oddziały ukraińskie, utrudniające w zależności od obszaru Kresów działalność konspiracyjną Polskiego Państwa Podziemnego, nie ograniczyły jednakże woli walki i działania Polaków na tych terenach na rzecz niepodległej Ojczyzny. Stąd już od września 1939 r. na Kresach Wschodnich II RP od

przedwojennego woj. wileńskiego na północy poprzez Grodzieńszczyznę, Nowogródzczyznę, Polesie, Wołyń do Ziemi Lwowskiej, woj. tarnopolskiego i stanisławowskiego tworzyły się struktury konspiracyjne Związku Walki Zbrojnej, następnie przekształconego w Armię Krajową. Różna była specyfika działalności poszczególnych kresowych Okręgów Armii Krajowej, jednakże łączyły ich cele, a także w wielu przypadkach późniejszy los ich żołnierzy po roku 1944.

Już w czasie I okupacji sowieckiej Kresów Wschodnich w latach 1939-41 wielu działaczy przedwojennych oraz polskiego podziemia niepodległościowego znalazło się w więzieniach, a następnie łagrach sowieckich. W obecnej publikacji pragniemy Państwu przypomnieć losy ofiar kolejnej fali represji sowieckich,

które miały miejsce w obliczu kończącej się 75 lat temu II wojny światowej, a w większości – po jej zakończeniu, gdy świat myślał o powrocie do normalnego życia. Nie dane to było wielu Kresowym Żołnierzom Niezłomnym.

Po ponownym wkroczeniu Sowietów na wschodnie tereny polskie w 1944 r. żołnierze Armii Krajowej zostali uznani za zdrajców sowieckiej ojczyzny i bandytów. Mimo oficjalnego rozwiązania AK wielu żołnierzy kresowych pozostało na tych terenach, walcząc w poakowskich oddziałach nadal o polskość tych terenów. Bohaterami naszej publikacji są wybrani przedstawiciele wielotysięcznej rzeszy żołnierzy Armii Krajowej, którzy zostali w latach 40-tych, a nawet 50-tych XX w. aresztowani na Kresach Wschodnich II RP, a od 1945 r. terenach ZSRR, torturowani, skazywani na wyroki przed Wojennymi Trybunałami NKWD, a następnie odbywali wieloletnie kary w najcięższych łagrach sowieckich. Na koniec wielu jako tzw. „wolni ludzie” zmuszeni byli do przebywania na przymusowej zsyłce w ZSRR. Są to żołnierze z tych samych oddziałów, z których w większości wywodzili się późniejsi Żołnierze Wyklęci - Niezłomni jak np. „Łupaszka”, „Inka” itp., a którzy nie zdążyli lub nie chcieli przedostać się na tereny powojennej Polski i zostali na Kresach, wierząc, że powrócą one do ich Ojczyzny.

Większość żołnierzy AK – Łagierników (jak sami siebie nazywają)

wróciła do Polski w jej powojennych granicach lub ponownie na Kresy Wschodnie (wówczas ZSRR) dopiero w latach 1956-57, a nawet w latach 60-tych XX w. Wielu nie powróciło do Polski już nigdy – zmarli z chorób, morderczej pracy i zimna na dalekiej Syberii. Wszyscy oni należą do Niezłomnych-Wyklętych, a pamięć o nich w polskim społeczeństwie jest nadal bardzo niska. Fundacja Pomocy i Więzi Polskiej „Kresy RP” pragnie przypomnieć poprzez tę publikację ich historię szerokiej rzeszy Polaków w Kraju i środowiskach polskich na świecie. Układ książki odpowiada Okręgom Armii Krajowej na Kresach Wschodnich.

Prosimy, wczytajcie się Państwo w ich wspomnienia. Zasługują na naszą pamięć.

Fundacja pragnie podziękować za współpracę przy przygotowaniu publikacji następującym partnerom:

- Stowarzyszeniu Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej za przekazane cenne materiały biograficzne na temat poszczególnych bohaterów książki oraz wspomnienia z archiwum „Kwartalnika” Stowarzyszenia.

- Muzeum Archidiecezji Warszawskiej za udostępnienie i zgodę na publikację wyjątkowych rysunków autorstwa łagiernika Adama Kossowskiego.

- Fundacji Ośrodka Karta za zgodę na wykorzystanie w naszej

publikacji fragmentów wywiadów biograficznych przeprowadzonych z żołnierzami AK – Łagiernikami w latach 80-tych i 90-tych XX w. w ramach projektu Archiwum Historii Mówionej oraz Archiwum Wschodniego.

- Narodowemu Instytutowi Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego za dofinansowanie wydania publikacji w ramach Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich na lata 2018-2030 PROO.

Dziękujemy także Pani ppłk Stanisławie Kocielnicz i Pani mjr Natalii Zarzyckiej za podzielenie się z Fundacją swymi spisanimi wspomnieniami.

Cześć i Chwała Bohaterom.

*Zarząd Fundacji Pomocy
i Więzi Polskiej „Kresy RP”*

Okręg Wileński AK



PŁK STEFANIA SZANTYR-POWOLNA PS. „HANKA”

Stefania Szantyr-Powolna urodziła się w Wilnie 30.07.1924 r. Szkołę powszechną ukończyła w 1938 r., a maturę w zakresie gimnazjum ogólnokształcącego uzyskała w 1944 r. na tajnych kompletach w Wilnie. Będąc zaangażowaną od października 1939 r. w działalność konspiracyjną, była łączniczką, zajmowała się kolportażem prasy, a także przeprowadzała zbiórki medykamentów i materiałów opatrunkowych. Organizowała też punkty zakwaterowania i opieki dla rannych i spalonych członków Podziemia Niepodległościowego. Przewoziła broń i materiały wybuchowe oraz przeprowadzała ludzi do oddziałów partyzanckich. Od listopada 1943 do 18.07.1944 r. była łączniczką Komendy Kedywu i Dowództwa Oddziałów Partyzanckich, a następnie Komendy Powołań Okręgu



Wileńskiego AK. Aresztowana przez NKWD 07.12.1944 r. i skazana na 10 lat katorgi oraz 5 lat pozbawienia praw obywatelskich i konfiskatę mienia za przynależność do AK. Do 1954 r. przebywała w obozach Komi ASSR, kolejno Sedju, Wetłosian i Workuta. Od 09.1954 r. do 06.1955 r. przebywała na zesłaniu, a do Kraju przybyła w lipcu 1955 r. Po powrocie do Kraju z zesłania Pani Stefania podjęła pracę w Szpitalu Klinicznym w Gdańsku, równolegle studiując w latach 1956-1961 r. na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Gdańsku. W 1982 r. uzyskała stopień doktora nauk medycznych. W latach 2002-2011 Prezes Zarządu Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej, obecnie Prezes Honorowa organizacji. Wieloletnia redaktor naczelna „Kwartalnika” Stowarzyszenia.

Urodziłam się 30 lipca 1924 r. w Wilnie. Tato – hr. Bolesław Ursyn-Szantyr - farmaceuta, mama Emilia z Ostrowskich – urzędniczka, stworzyli w domu serdeczną, ciepłą, patriotyczną atmosferę. Szkołę podstawową, gimnazjum i maturę (już na tajnych kompletach) ukończyłam w Wilnie. Gdy 1 września 1939 r. wybuchła wojna, miałam 15 lat. Byliśmy wszyscy przerażeni, zagubieni (zwłaszcza młodzież), pełni niezrozumienia, jak to się mogło stać, że ktoś się targnął na naszą, ukochaną Ojczyznę. Nie wiedzieliśmy co robić!

Miesiąc później spotkałam starszego kolegę z harcerstwa, który powiedział, że wie, co trzeba robić. Zaproponował mi przyłączenie się do oddziałów konspiracyjnych, które wkrótce weszły w skład Związku Walki Zbrojnej, przekształconego w początkach 1942 r. w Armię Krajową. Po zaprzysiężeniu używałam pseudonimu „Hanka”. Ukończyłam kurs sanitarno-łącznościowy.

Pełniąc funkcję łączniczki (m.in. przewoziłam broń, przeprowadzałam ludzi do oddziałów partyzanckich, organizowałam sieć kolportażu prasy podziemnej) i sanitariuszki (opiekowałam się rannymi) – organizowałam też pluton sanitarno-łącznościowy. Z moimi medycznymi

praktykami – a już wtedy marzyłam, by zostać lekarzem – wiąże się wspomnienie z oddziału partyzanckiego, gdy przyprowadzono do mnie chłopca z raną postrzałową głowy (kula prześlizgnęła się po kości skroniowej). To był mój pierwszy raz udzielania pomocy, zabrałam się energicznie do opatrywania, ale gdy zobaczyłam w ranie chodzącą wesz – zrobiło mi się słabo i nie mogłam już tego opatrunku dokończyć. Nie wróżyło mi lekarskiej przyszłości.

Wilno kilkakrotnie przeżywało zmianę okupanta (Rosjanie – Niemcy – znów Rosjanie), liczne aresztowania, egzekucje, bombardowania, zastrzelone, nadpalone ciała, których widok i zapach na zawsze pozostał w pamięci. Słynne morderstwo w Ponarach, podstępne aresztowanie dowódców oddziałów partyzanckich (rzekomo zaproszonych na rozmowy) po wejściu wojsk Armii Czerwonej – to były wstrząsające przeżycia.

Za działalność konspiracyjną 7 grudnia 1944 r. zostałam aresztowana przez NKGB. Pierwsze przesłuchanie trwało trzydzieści kilka godzin. Śledztwo było bardzo okrutne. Byłam bardzo bita, miałam złamany nos. Cella, w której siedziałam, miała jakieś kilka metrów kwadratowych. Wcześniej mieściła się tam ubikacja. Był czas, że musiało się w niej pomieścić ponad 20 dziewcząt.

Śledztwo trwało kilka miesięcy. Pod koniec marca 1945 r. odbyła się rozprawa. Sądził nas Wojenny

Trybunał ZSRR. Było nas 12 dziewcząt i 2 mężczyzn. Staraliśmy się wyglądać godnie, uczesane, w wygładzonych rękami sukienkach. Na pytanie „Jakie jest wasze ostatnie słowo?” – odpowiedziałyśmy, że gdyby zaistniała taka potrzeba, robiłybyśmy jeszcze raz to samo, służyły Ojczyźnie. Wyrok dla większości z nas (i dla mnie) brzmiał: 10 lat ciężkich prac w obozach, 5 lat pozbawienia praw obywatelskich i konfiskata mienia. Kilka dni po rozprawie przewieziono nas do największego więzienia w Wilnie, na Łukiszkach.

Cztery tygodnie później – 1 lub 3 maja 1945 r. – kilka tysięcy więźniów zostało poprowadzonych na dworzec. Byli to niemal sami mężczyźni. Nasza dwudziestokilkusobowa grupa kobiet – zmęczonych i wycieńczonych – szła na końcu. Za nami sfera ujadających psów, pilnujących byśmy nie odstawały od kolumny. Na dworcu towarowym wszystkich więźniów załadowano do bydłych wagonów. Wiadomość o transporcie już jakimś cudem rozeszła się po mieście wcześniej, gdyż daleko za torami stał tłum – na pewno naszych matek, rodzin – aby nas pożegnać. W wagonie było małe okienko – przez załazawione oczy starałyśmy się rozpoznać bliskich – niestety, wagony stały za daleko. W pamięci i sercu wrył się na zawsze obraz machających tysięcy rąk... Pociąg ruszył...

Stukot kół wciąż oznajmiał, że jesteśmy coraz dalej od najbliższych, od ukochanego Wilna. Któregoś dnia usłyszałyśmy jakieś krzyki, wiwaty, strzały. Konwojent powiedział nam, że skończyła się wojna! Pojawiła się iskierka nadziei, ale pociąg nieubłaganie mknął dalej i dalej w nieznane.

Podróż nasza w tych okropnych warunkach (wagon bydłowy, otwór w podłodze na potrzeby fizjologiczne, woda i solona ryba jako racja żywniowa) trwała jeszcze kilka tygodni, aż dowieziono nas do obozu w rejonie Uchty – Komi ASRR. W obozie tym o nazwie Sedju przebywali sami kryminaliści (mężczyźni i kobiety). Na wstępie naczelnik obozu uprzedził nas, że rzeczy osobiste należy trzymać przy sobie. Próbowaliśmy, ale i tak wkrótce zostałyśmy okradzione z ubrań, butów i innych rzeczy. Poza tym naczelnik ostrzegł, byśmy nie korzystały z używanych przez więźniarki kubków i menażek, ponieważ wszystkie te kobiety były zarażone syfilisem.

Na początku w okresie letnim pracowałyśmy przy koszeniu trawy i dzikich kwiatów, nazywanych *iwanczaj* (herbata Iwana). Piękne, wysokie prawie naszego wzrostu. Kosiliśmy je tasakami. Jednocześnie ścinałyśmy młode pędy brzoź, które stanowiły pokarm dla bydła, ale były zarazem dodatkiem do naszych, obozowych zup. Aby zarobić na kawałek chleba, trzeba było wyrobić normę – 200 kg na każdą z nas, a to nie było takie proste!

¹ Wspomnienia pochodzą z nr 1(84)/2018 *Kwartalnika Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej*

Zimą skierowano nas do wyrębu lasu. Żadna z nas nie miała pojęcia o takiej pracy. Najtrudniejszą czynnością było dokopanie się do pnia drzewa – śnieg sięgał powyżej pasa, więc najpierw trzeba było ten pień odkopać, abyśmy się mogły zmieścić i pracować piłą. Za pozostawienie zbyt wysokiego pnia była kara – karcer i głodówka. Zdarzały się wypadki – gdy skracające się na pniu ścięte drzewa, padając, miażdżyły stopy, a także powodowały urazy kręgosłupa.

Były tam i inne przeżycia. Na początku, kiedy pracowałam w parze z moją przyjaciółką (Halinką) spuszczone przez nas brzoza zaryła się całkowicie w obfitym śniegu. Rozpacz – nie umiałyśmy sobie poradzić. Litościwy konwojent podrzucił nam kilka belek z kubików, ułożonych wcześniej przez innych i tym uratował nas od karceru i pozbawienia nas pajki chleba. Normą było ścięcie i ułożenie 2 m³ drzewa.

W tamtym lesie zdarzyło się też coś, co do dziś powraca w koszmarach. Stałyśmy na chwilę, aby się wyprostować, odsapnąć. Jakies pół metra ode mnie stała Rosjanka – piękna młoda dziewczyna, kryminalistka z wieloletnim wyrokiem. W pewnym momencie podbiegła do niej druga Rosjanka i uderzyła ją siekierą w głowę, która nagle rozpadła się właściwie na dwie części. Było to dla mnie coś tak niepojętego, że przez chwilę jak sparaliżowana patrzyłam,

jak na jakiś film. Ta rzeczywistość dotarła do mnie dopiero, gdy krzyczący konwojent nakazał zabrać nieżywą dziewczynę i wracać do obozu. Muszę powiedzieć, że nie była to jakaś zemsta czy odwet za jakieś sprawy, jakieś porachunki. Była to po prostu metoda na zmianę okrutnych warunków głodu i ciężkiej pracy. Po takim wydarzeniu sprawca był odsyłany do więzienia. Pobyt w więzieniu, ciepły kąt, kawałek zapewnionego chleba był motywacją, aby dopuścić się takiego czynu. Podobny cel przyświecał także innym dwóm Rosjankom, mieszkającym razem z nami w tym samym baraku (mieszkało w nim około 150 kobiet). Któregoś dnia zaciągnęły starszą kobietę za parawan oddzielający część baraku od umywalki i tam ją zamordowały. Taki los mógł spotkać każdą z nas.

Będąc w pracy przy wyrębie lasu, w pewnym momencie usiadłyśmy na pniu drzewa, aby odpocząć i zjeść kawałek chleba, który przyniosłyśmy ze sobą. Byłyśmy młode, któraś z nas powiedziała coś śmiesznego, wybuchłyśmy śmiechem. Przybiegł konwojent i nakazał nam natychmiast przestać się śmiać, na co jedna z nas ze śmiechem zapytała: „A co strzelać będziesz?”. Konwojent: „A będę”. Koleżanka: „No to strzelaj”. I rzeczywiście otworzył ogień. Jedną dziewczynę zranił śmiertelnie, parę było rannych. Wróciliśmy do obozu. Konwojent otrzymał nagrodę za to, że uniemożliwił próbę ucieczki.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Trudno było sobie wyobrazić, jak można je przeżyć z dala od najbliższych. Coraz częściej pojawiał się smutek na twarzy i załzawione oczy. Postanowiłyśmy jednak, że w wieczór wigilijny nie będziemy płakać, rozpaczać, że będziemy silne, a przywołany obraz rodziny będzie dla nas światłem radości.



Na wigilijną wieczerzę przyniosłyśmy do baraku resztki z obozowego obiadu – łyżka kaszy z kroplą oleju. Miseczki postawiłyśmy na stole. To była nasza kutia. Wyciągnęłyśmy chleb, którym podzieliłyśmy się jak opłatkiem. Zaczęłyśmy śpiewać „Wśród nocnej ciszy”. Stało się coś niesłychanego. Poczuliśmy się nagle silne, pełne nadziei, wiary i pewności, że wrócimy do domu, do rodziny, do Ojczyzny. Śpiewałyśmy chyba wszystkie kolędy. Stawałyśmy się coraz silniejsze. Zaśpiewałyśmy też piosenkę o naszym życiu, którą ja ułożyłam. W pewnym momencie

spostreżęliśmy, że jesteśmy otoczone współmieszkankami baraku. Wszystkie stanęły wokół stołu zafascynowane kolędami, a jednocześnie zdziwione, jak to możliwe, że w tej sytuacji my nagle czujemy się szczęśliwe. Na koniec jeszcze złożyłyśmy sobie życzenia i zaczęłyśmy przygotowywać się do spania. Jeszcze nie zdążyłam wejść na prycę, kiedy do baraku weszło kilku żołnierzy. Skierowali się od razu do mnie, zrobili rewizję i znaleźli notatkę z piosenką ułożoną przeze mnie. Zabrali mnie ze sobą i skierowali do karceru.

W karcerze było zaledwie kilka stopni ciepła. Przyjaciółka wyprosiła u komendanta, aby przekazał mi *tielogrejkę* (watowaną kurtkę), gdyż zabrano mnie ubraną tylko w cienką sukienkę. Karcer był niewielką celą, w której przy zewnętrznej ścianie stała prycza zbita z kilku desek. Położyłam się na niej, ale po pewnym czasie poczułam, że włosy przymarzają mi do ściany. Zeszłam więc z pryczy i wtuliłam się w kąt sąsiadujący z korytarzem. Po pewnym czasie przysnęłam. Nagle usłyszałam jakiś pisk, coś dotknęło moją stopę. Zerwałam się i usiadłam. W bardzo skąpym świetle sączącym się przez szparę nad drzwiami zobaczyłam dziwne stworzenie wielkości dużego kota. To „coś” tkwiło nie dalej niż metr ode mnie. Kiedy zobaczyłam długi, cienki ogon – zrozumiałam przerażona, że to ogromny szczur. Wpatrywał się bez ruchu, ja również

nie ruszałam się, zaniemówiłam. Jednak po pewnym czasie zaczęłam do niego mówić i śpiewać, a że był to wieczór wigilijny, zaczęłam śpiewać wszystkie kolędy. Szczur cały czas tkwił w pobliżu mnie. Spędziłam w tym karcercie dziesięć dni i tyleż nocy. Szczur stale mi towarzyszył, nawet się do niego przyzwyczaiłam. Chował się tylko wtedy, gdy strażnik otwierał drzwi, aby przynieść mi wodę, chleb lub zupę, potem znowu pojawiał się. Okruszki chleba były dla niego. W ostatnich dniach nawet trochę spałam, a szczur się do mnie nie zbliżał, nie dotknął. Całymi dniami z nim rozmawiałam.

Kiedy wróciłam do baraku i opowiadałam o tym, Rosjanki były zdziwione, gdyż w tym czasie zdarzały się przypadki, że szczury odgryzały ludziom nosy i palce. W naszym baraku często nocą harcowały całe stada szczurów, wyjadając jakieś resztki, a nas napełniając przerażeniem.

Na skutek doznanego urazu przy wyrębie lasu zostałam odesłana do Centralnego Szpitala w Wietłosianie koło Uchty. Był to duży obszar podzielony na trzy *zony* (strefy). W jednej z nich pracowali rekonwalescenci ze szpitala. Była też duża *zona* mieszkalna – przede wszystkim baraki męskie, bardzo maleńka ogrodzona dla paru baraków *zona* dla kobiet i bardzo obszerna trzecia *zona* szpitalna. W tej *zonie* znajdowało się kilkanaście dużych baraków, w każdym z nich mieścił się jakiś specjalistyczny

oddział. Kierownikami poszczególnych oddziałów byli profesorowie lub doświadczeni lekarze, którzy narazili się władzy sowieckiej, bo nie uciekli przed Niemcami, a pozostali w swoich klinikach. Kadre lekarzy tworzyli też tzw. „wolni” lekarze, mający nakaz przebywania w tym rejonie na tzw. zsyłce. Do tej grupy należał także naczelnny lekarz, ogromnie serdeczny dla wszystkich i bardzo życzliwy dla Polaków. Dzięki niemu, a może głównie siostrze przełożonej – Polce – zostałam zatrudniona w laboratorium.

Naczelnny lekarz bardzo dbał o wysoki, specjalistyczny poziom szpitala, organizował często naukowe konferencje, na które byli zapraszani lekarze i naukowcy z innych placówek medycznych. Pod wpływem chyba takiej atmosfery „połknęłam bakcyli” i wymarzyłam sobie, że zostanę lekarzem. Będąc świadkiem śmierci kilku pacjentów Polaków, dałam sobie słowo, że zostanę lekarzem.

Mieszkałam we wspomnianej wcześniej *zonie* dla kobiet i aby przejść do pracy do *zony* szpitalnej, należało pokonać krótki chodnik, znajdujący się na terenie *zony* męskiej. Ja i inne kobiety pracujące w szpitalu chodziliśmy tamtędy codziennie.

Pewnego dnia idąc do pracy do laboratorium, jak zwykle musiałam przejść obok baraku męskiego. Trzeba trafić, że w tym czasie mężczyźni – przestępcy grali w karty. Grali o życie pierwszej osoby, która przejdzie koło okien. To byłam ja.

Wiadomość o tym, że zostałam przegrana w karty dotarła do środowiska medycznego, w którym pracowałam. Dentysta, Ormianin został o tym poinformowany przez jednego z kryminalistów – cieszył się ich zaufaniem, bo korzystali nieraz z jego usług.

O „wyroku” na mnie dowiedział się naczelnny lekarz, został także poinformowany naczelnik obozu, który stwierdził, że jest bezsilny wobec prawa przestępców, jest ono tak silne, że wcześniej czy później wyrok dosięga każdego, na kogo padł. Naczelnny lekarz nie pozwolił mi wychodzić poza obręb szpitalny, ale to i tak nie gwarantowało bezpieczeństwa.

Choć nie do końca zdawałam sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa, to jednak bardzo się bałam. Polki były bardzo szanowane i cieszyły się dużą sympatią w tamtejszym środowisku szpitalnym. Wiadomość o wyroku na mnie wszystkich bardzo poruszyła, tym bardziej, że wszyscy czuliśmy się bezradni wobec zaistniałej sytuacji. I stał się cud!

Przyjaźniłam się wtedy z uroczą, śliczną dziewczyną – Estonką, nazywała się Made Tikerpu. Made pracowała jako pielęgniarka na oddziale internistycznym i była wręcz ubóstwiana przez pacjentów. Kiedy dowiedziała się o wyroku na mnie, bardzo płakała, rozumiejąc, że grozi mi śmierć. Do jej wielbicieli należał także przywódca przestępców, przebywający wówczas jako pacjent na oddziale. Gdy zobaczył zapłakaną

Made, zapytał, co się stało i wówczas ona powiedziała mu o tym, co grozi jej przyjaciółce.

Wkrótce bandzior znikł ze szpitala. Zjawił się po kilku dniach i zwrócił się do Made: „W dowód mojej, wielkiej miłości do ciebie chcę ci dać wielki prezent. Powiedz swojej przyjaciółce, że odtąd może spać spokojnie”. Człowiek ten przez kilka dni „odegrywał” moje życie z każdym przestępcą po kolei, w ten sposób zdobywając prawo do decydowania o moim losie. Wszyscy odetchnęli z ulgą, a ja dziękowałam ukochanej Wileńskiej Matce Boskiej Ostrobramskiej za to niezwykle ocalenie.

Niedługo po tym wydarzeniu zostałam wywieziona do obozu żeńskiego o srogim reżimie w Workucie, leżącym w kręgu zapołarnym. Tam już nie mieliśmy swoich nazwisk, tylko numery. Poniżano nas na każdym kroku. Szczególnie sadystyczne były konwojentki, które lubowały się w rewizjach. Zabierały przy tych okazjach wszystkie pamiątki czy listy, jeżeli jeszcze komuś udało się je przemycić do obozu.

Także i w Workucie karcer mnie nie ominął. W czasie świąt Bożego Narodzenia robiłam z waty świętego Mikołaja. Karcer i zakaz otrzymywania i pisania listów były karą. W tym obozie w pewnym okresie byłam jedyną Polką, wychodziłam więc nieraz z baraku i deklamowałam wiersze, aby mówić po polsku. Szczególnym wierszem był „List do

matki z Sybiru” Or-Ota.

W kręgu zapolarnym przez pół roku trwa noc, a przez pozostałe pół roku dzień. W czasie bardzo krótkiego, trwającego kilka tygodni lata kwitną piękne, żółte kwiaty, przypominające róże. Urok jednak tych kwiatów nie przesłonił widoku bezdrzewnej, pełnej trzęsawisk i grozy tundry.

Wykorzystując lato skierowano nas do robót przy budowie drogi, prawdopodobnie kolejowej, która miała połączyć Europę z Azją. Na mapie jest to zielone pasmo nad Uralem. Wśród mokradeł tundry widoczne były kępy traw. Były to głęboko idące pod wodę „słupy” ziemi mające taką zieloną grzywę – bardzo niebezpieczne, bo „słupy” się chwiały, woda je otaczająca była głęboka, więc stawanie na taką kępę było ryzykowaniem życia.

Praca nasza polegała na zasy-pywaniu takiej wody początkowo żwirem, a potem kamieniami. Gdy można było położyć prymitywne tory, kamienie dowoziłyśmy wagonetkami, a gdy takie nasypy udało się dobrze umocnić, układaliśmy wy-trzymalsze tory, na które wjeżdżały ogromne platformy wypełnione kamieniami. Taką platformę musiały rozładować dwie osoby – była to norma dzienna (śni mi się nieraz, że nie mogę sobie z tym poradzić). To była bardzo ciężka praca. Na dodatek towarzyszyły jej ogromnie dokuczliwe komary i chyba jeszcze

bardziej dokuczliwe małe muszki, które mimo tzw. „nakomarników” na twarz – przedostawały się pod nie i wgryzały w spojówki oczu, powodując nieraz płynące strużki krwi po twarzy. Droga ta nigdy nie została dokończona – nazwana więc została „Drogą donikąd”.

Zimą w Workucie panowały bardzo duże mrozy. Dochodziły do minus 70 stopni Celsjusza. Czasami w takie zimowe noce oglądałyśmy niepowtarzalne zjawisko, które występuje tylko daleko na północy – jest to zorza polarna. Mimo zmęczenia, zrywałyśmy się z prycz, by podziwiać niesamowite piękno zmieniających się świateł, przybierających nieraz fantastyczne kształty.

Ale występowało tam także i inne, groźne zjawisko, a mianowicie purga! Jest to coś w rodzaju zamieci w strasliwym wydaniu. Początkiem purgi były spadające wolno płatki śniegu, które stawały się coraz większe i osiągały prawie wielkość dłoni. Był to piękny widok. Lecz za chwilę pojawiał się silny, wyjący wiatr, stawał się wciąż coraz silniejszy i silniejszy, do tego stopnia, że nie słyszałyśmy się nawzajem i musiałyśmy mocno trzymać się za ręce, aby utrzymać się na nogach. Bywało, że całe brygady wraz z konwojentami były zasypywane przez śnieg – purgę i dopiero wiosną, gdy śniegi topniały, znajdowano zasypanych ludzi.

Purga powodowała zasypywanie torów, uniemożliwiające transport

kolejowy. Wyprowadzano nas wtedy do pracy, do walki z tym żywiołem. Szalejący wiatr powodował, że śnieg wbijał się w nasze *buszlaty* i *tielogrejki* (przenikając aż do ciała), które natychmiast zamarzały. Wyglądałyśmy jak kosmonautki.

Zwały śniegu, naniesione przez atak purgi, sięgały nieraz 6 metrów wysokości. Śnieg był tak mocno zbity, że trzeba było rozbijać go kilofami. Naszym zadaniem było przekopanie takiego tunelu, aby pociąg mógł przejechać. Zasy były bardzo wysokie, warunki pracy bardzo trudne, dlatego tunele nie były zbyt szerokie. Kiedy przejeżdżał pociąg lub lokomotywa, starałyśmy się przybliżyć jak najbardziej do śnieżnej ściany. Nieraz poprzez wycie wiatru nie słyszałyśmy nadjeżdżającego pociągu i tylko silne światła lokomotywy były sygnałem, aby mieć się na baczności. Niestety, zdarzył się wypadek, kiedy brygadierka naszej grupy została wciągnięta przez pociąg. Zginęła na miejscu.

W końcu 1954 r. zostałam przeniesiona do innego obozu i specjalnego, wydzielonego baraku, w którym grupowano osoby przygotowywane do zwolnienia. Mój wyrok – 10 lat obozu – wkrótce dobiegał końca. Któregoś dnia wywołano mnie do biura i odczytano niezliczoną ilość paragrafów. Następnie dano do podpisania dokument, z którego wynikało, że odtąd będę stałą mieszkanką Workuty i obywatelką

Związku Sowieckiego. Nie zgodziłam się podpisać, zagrożono wówczas nowym wyrokiem. Mimo wszystko nie zgodziłam się. Odprowadzono mnie z powrotem do obozu.

Po tygodniu zostałam ponownie wezwana do biura. Znowu położono przede mną dokument do podpisania, ale tym razem był to dokument stwierdzający, że w danym okresie przebywałam na terenie Workuty. Ten czas oczekiwania na decyzję był dla mnie okresem ogromnie trudnym. Wiedziałam o tym, że dodatkowy wyrok można było otrzymać za byle błahostkę. Dodatkowe wyroki wydawano bardzo często. Miałam więc przed sobą okrutne wizje, przeżyłam to strasznie i być może dlatego moment cofnięcia mnie do obozu nieraz pojawia się w moich snach.

Kiedy więc wreszcie otworzyła się przede mną brama i wyszłam na długo oczekiwaną wolność – byłam szczęśliwa! Przestałam być więźniem – ale byłam zesłańcem! Za bramą oczekiwała na mnie jedna z moich serdecznych koleżanek – Janeczka Zuba. Zamieszkałam w polskiej rodzinie P.P. Jackiewiczów. Niedługo potem znalazłam pracę w laboratorium przy jednej z kopalń. Udało mi się także otrzymać mały pokój. Ktoś podarował mi tapczan, na którym spałyśmy we cztery: Janka, Wanda, Hala i ja. Ale było nam tam dobrze. Nawet kiedyś – w Niedzielę Palmową – ksiądz Drzepecki odprawił tam Mszę Świętą.

Nie wytrzymując stanu bez nadziei, jeżeli chodzi o powrót do Polski – któregoś dnia zaryzykowałam i poszłam do Urzędu NKGB w Workucie. Tam powiedziałam, że wiem, iż na mocy specjalnego polsko-sowieckiego porozumienia Polacy mogą wracać do Kraju. Wymyśliłam to na podstawie informacji, że grupa Niemiec z obozu została odesłana do Niemiec. Komisarz z urzędu nieco się zdziwił, ale powiedział, abym zjawiała się za tydzień i wówczas wszystko mi wyjaśni.

Tydzień później – zaopatrzona w bieliznę na zmianę, chleb, kanapki – odprowadzona przez załazwione koleżanki, spodziewające się najgorszego – ruszyłam do gmachu NKGB. Usłyszałam, że istotnie jest możliwość powrotu do Polski, trzeba tylko nawiązać kontakt z rodziną, otrzymać od niej zaproszenie i zapewnienie, że jest w stanie utrzymać „repatrianta”.

Po powrocie do koleżanek powtórzyłam dobre wieści. Oczywiście od razu starałyśmy się nawiązać kontakt z rodzinami. Poprosiłam kolegów, którzy już wcześniej mieli kontakt z najbliższymi, aby przekazali moją ogromną prośbę o zamieszczenie w prasie w Polsce ogłoszenia, że żyję i oczekuję na kontakt z rodziną. Moja mama, szukając wszędzie informacji o moim losie, otrzymała wiadomość z Czerwonego Krzyża, że ja nie żyję. Ale serce matki nie pozwoliło uwierzyć jej w tę smutną wiadomość. Na Wybrzeżu, w Gdańsku,

szczęśliwym trafem mama odczytała w prasie moje ogłoszenie. Nawiązała więc szybko kontakt z rodziną, która dała to ogłoszenie, a potem ze mną. Musiała załatwić mnóstwo formalności, setki papierów, które po jakimś czasie dotarły do mnie i które złożyłam w NKGB. Ale minęło jeszcze długich 9 miesięcy, zanim przyszło zawiadomienie o wydaniu pozwolenia na mój wyjazd do Polski. Po paszport trzeba było polecieć samolotem do Syktywkaru – stolicy Republiki Komi (w tej republice znajduje się Workuta), gdyż ze względu na rozlewiska tundry, nie było tam innych dróg dojazdowych.

Wracałam do Polski pociągiem przez Moskwę. Był to czerwiec 1955 r. Kiedy dojechalśmy do granicy w Terespolu i zobaczyłam szup białoczerwony i przy nim żołnierza w polskim mundurze, zaczęłam strasznie płakać. Były to chyba wszystkie łzy, tłumione przez jedenaście lat. A już wydawało mi się, że nie jestem zdolna do płaczu, tymczasem szlochałam straszliwie, nie mogąc z siebie wydobyć słowa. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji i wszedł celnik, pytając o paszporty, widząc, że coś się ze mną dzieje, chyba nawet nie poprosił mnie o paszport. Do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy dojadę, czy to prawda, że jestem już w Kraju.

Spotkanie z rodziną było niesamowite. Moja mama w pierwszym momencie mnie nie poznała. Dopiero gdy zawołałam „mamusiu”

– wtedy mnie poznała i wyciągnęła ramiona – najmilsze, najukochańsze, najdroższe na świecie, w które wtuliłam się jak małe dziecko. Płakałyśmy obie. Ileż musiało przeżyć jej biedne serce, o tym chyba świadczyła Jej mocno posiwiała głowa. Dowiedziałam się, że Tato zmarł w rok po moim aresztowaniu.

Zamieszkałam w Gdańsku. Dzięki temu, że była polityczna odwilż po zdaniu egzaminu z chemii i fizyki dostałam się na studia. Nie mogę opisać, jaka byłam szczęśliwa. W gronie koleżanek i kolegów, mimo, że byłam od nich starsza, czułam się cudownie. Studia ukończyłam z bardzo dobrymi wynikami. Byłam dumna, bo dotrzymałam danego sobie słowa, że zostanę lekarzem.

W 1959 r. wyszłam za mąż za wspaniałego człowieka inż. Leona Jana Powolnego – już niestety nie żyjącego. Mam dwoje dzieci: syna Janusza – absolwenta Wyższej Szkoły

Muzycznej – dyrygenta (również po lingwistyce angielskiej) i córkę Renatkę po germanistyce. Zrobiłam dwa stopnie specjalizacji z analityki lekarskiej i w latach siedemdziesiątych obroniłam pracę doktorską. Oprócz pracy lekarskiej, która mnie pochłaniała, nawiązałam kontakty z wieloma Łagiernikami – współtowarzyszami niedoli w więzieniach i obozach, skazanych tak jak i ja za walkę o Wolną i Niepodległą Polskę w szeregach Armii Krajowej.

Od 2003 r. byłam prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej. Wiele lat byłam także redaktorem „Kwartalnika” Stowarzyszenia, w którym staramy się uchronić od zapomnienia ostatnie wydarzenia historyczne i losy ludzi, którzy swoją młodość i zdrowie, a nieraz i życie poświęcili Wielkiej Sprawie. Ich wspomnienia są nieraz wstrząsającą prawdą o tym, jak okrutnym może być człowiek dla drugiego człowieka.

List z Sybiru.¹

*Mamo! Piszę do Ciebie list. Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem, czy dojdzie? Nie wiem. Chciałbym spytać
Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem,
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo, jak to okropnie, gdy słowo po słowie
Kładę serce swe, duszę, ach, całego siebie!
I nie wiem, czy tak chociaż powrócę do Ciebie...*

¹ Źródło: Cecylia Niewiadomska, *Legends, podania i obrazy historyczne, tom XVIII – W dolinie łez od r. 1863-1901*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1920 r., str. 3-5, pisownia oryginalna

Mamo, jak to już dawno, jak dawno się zdaje,
Gdy Cię żegnał! Ta chwila jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę Twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś, z bólu obląkana,
Przed potworem dymiącym runąć na kolana!
I ten wieczór, i słońce, gasnące szkarłatnie,
I jękiem rwie mi serce: — Pamiętaj! — ostatnie!

„Pamiętaj!” Mamo, ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! Gdyby wyrzucić słowo to na głazie
I kazać mu pamiętać, z żalu gładzi spękał!
Niema dnia, niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając: Pamiętaj! straszne, jak przekleństwo!
O Matko, jeśli chciałaś dać błogosławieństwo,
Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mię pożegnać, wołając: Zapomnij!

Piszę rankiem. Śnieg zawiał okienka mej chaty,
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie.
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie,
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słyszę jak głos dzwonu!...

Co tu robię? jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Że patrząc, nie chcę widzieć! myśląc, nie chcę myśleć!
Że pomiędzy tem wszystkim, co mię tu otacza,
A mną — jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość — i sprawia, że, złudzony snami,
Chodzę z niewidomymi, jak ślepiec, oczami,
I dzień po dniu przeżywam, i chwilę za chwilą
Tem, co mam wewnątrz siebie! I tak trwam tem tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj. Jest w nich jakaś szczerza
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzyłem niegdyś na pisklę bezdomne!
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnego nieba, —
Na progu pieniądź srebrny, albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka!
Jem ten chleb, gdy to piszę — i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój „Złoty Ołtarzyk”.
Tyś go włożyła, Mamo! To mój relikwiarzyk.
Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie.
Jak Ty przeczułaś, Mamo, czem mi tutaj będzie
Ta książka, — jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą...
I codzień na te pustki drętwe, nieskończone
Idzie moja modlitwa „Pod Twoją obronę!”

Mamo, napisz mi wszystko! Czy tak samo z rana
Gra srebrna sygnaturka u Świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam, jak dziecko małe... Odpowiedz, jak dziecku!

Ach, Mamo, jak mi tęskno! A śnię co noc prawie,
Żem w kraju; nasz pokój widzę jak na jawie!
Staś klusuje na krześle z pałasikiem w rękę,
Ty, Mamo, jak to zwykle, szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje.
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję,
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal, Mamo!

Zosia... Nie mogę o tem... Mamo, powiedz Zosi,
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Żem prócz niej, kochał kogoś bardziej — choć inaczej!
Stasia ucałuj, Mamo! Mów z nim często o mnie,
Mów, jak jest, choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną jak jego oczęta!...
Zosia niechaj zapomni! lecz on niech pamięta!

Mamo! Bądź zdrowa, Mamo! Niech Boża opieka
Będzie nad wami. Pozdrów każdego człowieka!
Mur każdy! wszystkich! wszystko!

Pozdrów jak od brata!

Mamo, ja piszę do was jak z tamtego świata,
Bo jak stamtąd — nie wróć! Ach, jakie wrą wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć. Chciałbym być spokojny!
Ale kiedy pomyślę: nigdy! nigdy! nigdy!
O Mamo!...

Or-Ot (Artur Oppman)

PPLK STANISŁAWA KOCIEŁOWICZ z d. KOWALEWSKA PS. „ŻUCZEK”, „ISKIERKA”

Stanisława Kocielowicz urodziła się 17.03.1930 r. w Wilnie. W czasie wojny, w latach 1943-1944 była harcerką i działała w Szarych Szeregach. W czasie służby odniosła rany postrzałowe obu podudzi w trakcie przenoszenia różnych materiałów dla żołnierzy AK. Po wkroczeniu Sowietów nie porzuciła harcerskiego munduru i wciąż aktywnie działała w konspiracyjnym ZHP, pomagała partyzantom, brała udział w patriotycznych uroczystościach. W 1950 r. zdała maturę i wyjechała do Moskwy, by studiować filologię polską. Tam w kwietniu 1951 r. została aresztowana przez NKWD i poddana śledztwu. Przebywała w dwóch moskiewskich więzieniach – Łubianka i Butyrki. Za przynależność do ZHP została skazana na 8 lat pozbawienia wolności i trafiła do obozu karnego



„Irkuck” w Tajszece, a następnie do Mordowskiej ASRR, do łagru Poćma – Dubrawlag. 28.10.1954 r. została zwolniona z obozu i wróciła do Wilna. Tam poznała Wiktora Kocielowicza, z którym wzięła ślub i razem z nim wyjechała do Komi ASRR. W miejscowości Uść-Kułom Wiktor przebywał na zesłaniu. Do Polski wrócili w grudniu 1955 r. i zamieszkali w Szczecinie. Po powrocie do Kraju Pani Stanisława uzyskała wykształcenie wyższe i pracowała jako nauczycielka. W 1991 r. wstąpiła do Koła Kresowych Żołnierzy Światowego Związku Żołnierzy AK (ŚZ-ŻAK), natomiast od 1994 r. należy do Stowarzyszenia Szarych Szeregów. Do 2013 r. pełniła funkcję prezesa ŚZŻAK Okręgu Szczecin. Piastuje stanowisko wiceprezes Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK.

WSPOMNIENIA

Rodzinny dom Stanisławy Kowalewskiej znajdował się w Kolonii Wileńskiej, przy ulicy Wędrowniej. Tam 17 marca 1930 r. przyszła na świat dziewczynka, której na cześć dziadka dano na imię Stanisława. Jej rodzice, Karol Kowalewski i Michalina z domu Piekarska, oczekali się jeszcze córki Haliny (1931) i syna Witolda (1933). W 1937 r. Staszka Kowalewska rozpoczęła naukę w szkole, ale szczęśliwe dzieciństwo trojga rodzeństwa zakłóciła niemiecka, a potem sowiecka agresja na Polskę.

Karol Kowalewski pracował na kolei i był zapalonym myśliwym. W 1943 r. wraz z innymi polskimi kolejarzami wpadł na pomysł, aby w nocy przetoczyć na bocznice niemiecki wagon z bronią i amunicją. O całej sprawie wiedziała komórka AK. Akcja się udała, ale Niemcy pilnie poszukiwali winnych kradzieży broni. Wkrótce Karola aresztowało Gestapo. Był torturowany, ale nikogo nie wydał i nie przyznał się do uczestnictwa w akcji na wagon broni. Wyszedł na wolność, lecz w więzieniu stracił zdrowie. Pomimo wycieńczenia ciągle pomagał polskiemu podziemi i przekazał wiadomości do rodzin akowców.

Chociaż okupanci zabronili nauki polskiego, Polacy radzili sobie z tym zakazem. Rozpoczęły się tajne komplety różnych szkół cywilnych,

a nawet wojskowych podchorążówek. Staszka Kowalewska także kontynuowała naukę na podziemnych lekcjach. Polska młodzież wiele dobrego doświadczyła w tym czasie także od prężnie działających księży katolickich i sióstr zakonnych, które również ukrywały tropionych przez Niemców akowców.

W roku 1942 dwunastoletnia Stanisława Kowalewska wstąpiła do konspiracyjnego harcerstwa i dostała się do zastępu „Iskry”. To było wielkie przeżycie, kiedy razem z siostrą Haliną uszyły sobie harcerskie sukienki z szarego płótna, a potem w tych mundurach z przejęciem złożyły harcerską przysięgę w leśniczówce pod Wilnem. Staszka wybrała sobie pseudonim „Żuczek”, ale używała również innego, od nazwy zastępu – „Iskierka”. W konspiracji „Iskierka” uczyła się zasad łączności i udzielania pierwszej pomocy. Znakomicie zapamiętała alfabet Morse’a.

Wiosną 1944 r. front wschodni nieuchronnie zbliżał się do Wilna. Z każdym dniem coraz wyraźniej słychać było pomruk sowieckiej artylerii, a młode harcerki zapamiętały szły białe-czerwone opaski i przygotowywały z płótna i prześcieradeł długie pasy bandaży.

Kpt. Gracjan Fróg „Szczerebiec”, dowódca 3 Wileńskiej Brygady AK, prowadząc podległe mu oddziały do Operacji „Ostra Brama”, wierzył, że atak na Wilno się powiedzie.

W Kolonii Wileńskiej jego jednostka miała skrycie przeskoczyć tory, ukryć się w wąwozach przed Belmontem i czekać na sygnał do natarcia na miasto. Pierwsze czołówki przednich oddziałów bezpiecznie przeskoczyły linię kolejową, ale wtedy nadjechał pociąg. Jakie było zaskoczenie partyzantów, gdy nagle przed sobą zobaczyli uzbrojonych żołnierzy i cekaemy ziejące ogniem z wieżyczek. Nie dość, że niemiecki improwizowany pociąg pancerny przepołowił brygadę „Szczerbca”, to jeszcze zmasowanym ogniem odpędził pozostałe pododdziały sprzed linii kolejowej. Wśród Polaków było wielu zabitych i rannych.

Te oddziały, którym udało się przejść przez tory zrozumiały, że nie mogą już liczyć na efekt zaskoczenia. Ich dowódcy zdecydowali, że nie ma na co czekać – trzeba było natychmiast działać. Rzucili swoich chłopców do natarcia na wzgórza Belmontu, ale tu zastopowała ich linia niemieckich bunkrów i umocnień. Zalegli przed pierwszym grzbietem Belmontu, odpierając niemieckie kontrnatarcie i tracąc w dotychczasowej walce trzecią część ludzi.

„Szczerbiec” nie miał możliwości przyjsia z pomocą. Jego żołnierze nie zdołali zniszczyć niemieckiego pociągu i przejść torów. A kiedy z nieba zaatakowały niemieckie samoloty, zrzucając bomby i celnie prując z kaemów, dowódca wydał rozkaz odwrotu.

Pluton „Bosego” natknął się przypadkowo na rosyjskich zwiadowców. Okazało się, że to oddział karny, który maszeruje przed nadciągającą Armią Czerwoną. Po zmierzchu przewodnicy z AK doprowadzili Sowietów pod Belmont i na wzgórza ruszył jeszcze jeden bezpardonowy atak. Niemcy spodziewali się takiej akcji i zdziśiatkowali żołnierzy radzieckich.

Stanisława nie tak wyobrażała sobie walki o Wilno. Widziała maszerujących polskich żołnierzy, ich mundury i broń. Wydawało jej się, że taka siła wystarczy do przegnania z miasta Niemców. Po pierwszych strzałach do Kolonii Wileńskiej zaczęto przynosić zabitych i rannych partyzantów. Staszka i Halinka natychmiast pobięły z pomocą. Znosiły jedzenie i picie oraz przenosiły drobne polecenia. Liczba rannych akowców zgromadzonych w Kolonii przekroczyła już setkę, a zabitych było kilkudziesięciu. Wkrótce na leśnym zboczu pojawiły się mogiły około pięćdziesięciu zabitych żołnierzy AK.

„Wilno jest chyba wolne. Niemcy jeszcze strzelają, ale na Górze Zamkowej powiewa biało-czerwona chorągiew. Naprawdę! Widziałam na własne oczy!” – zawołała Halinka.

Nareszcie, po wielu latach wojny i niewoli nastąpił triumf Polski. Walki o miasto chyba faktycznie się skończyły. Lecz niedługo trwała euforia zwycięstwa i radości. Na szczycie Góry Zamkowej, na Baszcie

Giedymina łopotał na wietrze wielki czerwony sztandar.

Kiedy Armia Czerwona zajęła Wilno, miejscowe polskie harcerstwo nie zawiesiło swojej działalności. Drużyny dziewcząt i chłopców organizowały w konspiracji przed radzieckimi władzami wspólne spotkania.

W Wilnie i okolicy nastał dla Polaków mroczny czas, każdy narażony był na aresztowanie. Wystarczyło, że przed wojną byli polskimi patriotami albo podczas okupacji należeli do jakiejkolwiek organizacji niepodległościowej. Na pierwszy ogień poszli akowcy, którzy pomagali Sowietom w zdobywaniu miasta. Zapelnili się więzienia, kolejowe transporty i dalekie łagry. Mieszkańcy pomagali zatrzymanym, jak tylko mogli. Dziewczyny z zastępu „Iskry” i z innych drużyn przynosiły do przetrzymywanych godzinami w zamkniętych wagonach paczki z jedzeniem i picciem. Podawały wiadomości od rodzin i zabierały z powrotem informacje o losie uwięzionych.

Wszyscy mieszkańcy Kolonii z narażeniem życia ratowali pozostających jeszcze na wolności żołnierzy AK. Nikt z nich nie mógł zgodzić się dobrowolnie na sowietyzację polskiej Wileńszczyzny. Staszka Kowalewska i Hania Malawkówna, choć było to niebezpieczne i mogło zakończyć się tragicznie, spotykały się z partyzantami: Marianem Michniewiczem i Władysławem Markiewiczem „Tajojem”. Dziewczeta spędzały

z konspiratorami długie godziny. To byli młodzi ludzie, tęskniący za towarzystwem rówieśników. Ale pomoc ukrywającym się żołnierzom nie sprowadzała się tylko do spacerów i pogaduszek, były to także niebezpieczne akcje. Wkrótce jednak nadszedł czas pożegnań. Obaj ukrywający się partyzanci musieli opuścić gościnną miejscowość i ruszyć dalej.

W 1949 r. Stanisława Kowalewska rozpoczęła naukę w polskim gimnazjum w Wilnie i cały czas należała do nielegalnego, działającego w konspiracji harcerstwa. Niektóre jej koleżanki wyjeżdżały z rodzinami z Wileńszczyzny i jako repatrianci kierowały się do pojałtańskiej Polski. Inne w dalszym ciągu trwały w zawieszeniu pomiędzy wyśnioną wolną Polską a rzeczywistością sowietyzowanej na siłę Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Upamiętniały polskie narodowe święta i rocznice, organizowały patriotyczne uroczystości. W Dzień Zaduszny harcerze i inni polscy uczniowie zachodzili na polskie cmentarze w Wilnie na Rossie oraz w Kolonii Wileńskiej. Na grobach polskich żołnierzy składano wieńce i palono świeczki. Do krzyży partyzanckich mogił przyczepiano specjalnie w tym celu przygotowane biało-czerwone proporczyki.

Dla nowych władz upamiętnienie polskich bohaterów to była niezwykle szkodliwa działalność, podlegająca surowej karze. Po kilku dniach od ostatnich akcji na

nekropoliach NKWD rozpoczęło działania prewencyjne skierowane przeciw polskiej młodzieży. Sowieccy funkcjonariusze aresztowali wielu uczniów i harcerzy. Staszka Kowalewska również została zabrana na przesłuchanie do siedziby NKWD. Nie przyznała się do uczestnictwa w uroczystościach i przynależności do polskiego harcerstwa. Za jej wiarygodnością przemawiał fakt, że nie miała jeszcze osiemnastu lat. Uwierzono jej na razie i wypuszczono na wolność.

W roku 1950 Staszka zdała maturę i chciała studiować filologię polską na Uniwersytecie Wileńskim. Niestety w tych latach nie było już takiego kierunku, ale Staszka uparła się i razem z koleżanką z klasy złożyły dokumenty na polonistykę na Uniwersytecie Moskiewskim. Pomyślnie zdały egzaminy i zostały przyjęte na pierwszy rok studiów. Rodzice Stanisławy nie podzielali radości i entuzjazmu swojej najstarszej pociechy. Nigdy wcześniej na tak długo nie rozstawali się z córką. Zresztą ojciec nie ufał Sowiecom i ich władzy. Drażniło go, że córka wybrała „czerwoną” uczelnię i bał się, że po tych studiach jego ukochana córeczka stanie się obca i zacznie myśleć tak jak oni. Ale Staszka była harcerką, a harcerką jest się całe życie. Poza tym była już dorosła i rodzice ostatecznie musieli zaakceptować jej decyzję.

Po rozpoczęciu roku akademickiego nastąpiła normalna, studencka

codziennosc. Wykłady, zajęcia, zaliczenia, egzaminy urozmaicano sobie zwiedzaniem zabytków Moskwy i poznawaniem miasta. Beztroskie, studenckie życie w stolicy Kraju Rad nie mogło trwać w nieskończoność i wtedy wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Nie wiadomo dlaczego NKWD aresztowało współlokatorkę Staszki, jej koleżankę z Wilna.

Wiosna przyszła nagle, przynosząc ze sobą nieskończoną paletę barw i zapachów, ale wiosenna Moskwa pachniała inaczej niż ta znana „Iskierce” z Kolonii Wileńskiej.

Był kwiecień 1951 r. Ciepło i wiosenne słońce rekompensowały studentom żmudny czas spędzony na nauce i zdawaniu egzaminów. W przerwie pomiędzy wykładami Staszka wyszła na dwór i spacerowała alejkami przy budynkach uniwersytetu. Wtedy podszedł do niej nieznajomy student. „Ty jesteś Stanisława Kowalewska z Wilna?”. „Tak, dlaczego pytasz? Stało się coś?” - z trwogą pomyślała o rodzicach pozostawionych daleko stąd. „Nie, nic. W porządku” - obcy młody człowiek zawrócił i oddalił się. Ale ona już wiedziała, co będzie dalej. Stała jak wryta i czekała. Nie musiała odwracać głowy, aby zobaczyć nadchodzące niebezpieczeństwo. Już od minuty obserwowała kątem oka „smutnego” pana, który choć ubrany po cywilnemu, sprężystym wojskowym krokiem zbliżał się do niej. „Proszę za mną”.

Dawne konspiracyjne nawyki podpowiadały, aby odepchnąć Sowietów i uciekać, ale jej ciało było bez woli i bez siły, jakby przytłoczone ogromnym ciężkim głazem. O ucieczce nie było mowy. Wsadzili ją do cieszącej się złą sławą *czarnej worony*, w której siedziało już kilku zaaresztowanych kryminalistów o twarzach budzących grozę. Zatrzasnęły się drzwi i Sowietowie powieźli Staszkę do więzienia na Łubiance.

Po czterech miesiącach od zamknięcia Stanisława Kowalewska została skazana. Za działalność nacjonalistyczną, przynależność do nielegalnej antyradzieckiej organizacji (ZHP) i antyrządową agitację otrzymała karę ośmiu lat więzienia i łagrów. Dodatkowym dowodem w jej sprawie były patriotyczne wiersze znalezione w studenckim pokoju. Z Łubianki trafiła do innego moskiewskiego więzienia, na Butyrkach.. W sowieckim areszcie „Iskierka” bardzo cierpiała. Niedługo przed aresztowaniem przeszła operację wyrostka robaczkowego.

Rana nie do końca się zagoiła, a w więzieniu nie dało się przestrzegać zalecanej diety i nie było mowy o wypoczynku. Często męczyły ją straszne bóle brzucha i wysoka gorączka.

Po kilku miesiącach niewoli Staszkę wraz z innymi kobietami pognano na dworzec kolejowy. Konwojenci ostrzegali, że jeden krok w prawo lub w lewo to kula w łeb. Skazańców załadowano do wagonów i na drogę dano każdemu kawałek chleba oraz suszoną słoń rybę. Nikt nie pomyślał o piciu. Dla młodych kobiet największym upokorzeniem i upodleniem było załatwianie w wagonie potrzeb fizjologicznych przy pilnującym ich nieustannie strażniku. Innym poniżeniem była wcześniejsza wizyta w łaźni. Tam dozorczy oglądając nagie kobiety sprawdzali, czy nie ukryły gdzieś zakazanych przedmiotów.

Stanisława Kowalewska trafiła do łagru numer 121 w Tajsze, gdzie powstawał wielki zakład obróbki miki, do którego uruchomienia miały



przyczynić się przewiezione właśnie więźniarki. Kobiety początkowo pracowały przy wyrębie lasu, ale później „Iskierka” jako jedna z wyczerpanych skazańców znalazła miejsce w biurze. Lepszej pracy zazdrościły jej inne więźniarki i w wyniku pomówień oraz donosów Staszka znalazła się w hali fabrycznej. W budynku unosił się gęsty pył osiadający na włosach, twarzach i rękach pracujących więźniów. Najgorsze było jednak to, że szkodliwy pył dostawał się do oczu i płuc. W Tajszezie więzione były Polki, Rosjanki, Estonki, Ukrainki, Łotyszki, Litwinki i Niemki.

Wkrótce nadeszła pierwsza dla „Iskierki” syberyjska zima. Temperatura spadła do minus 40, a nawet 50 stopni. Dziewczyna nie miała ze sobą ciepłej odzieży. Z uniwersytetu zabrano ją wiosną jedynie w tym, co miała wówczas na sobie. Wkrótce zaczął ją męczyć duszący kaszel, zwiastujący zapalenie płuc. Inne więźniarki, bojąc się gruźlicy, odsunęły się od Staszki. Tylko Marysia Skrendo opiekowała się nią i dała jej jedną ze swoich dwóch ciepłych kołder, które sama zrobiła w łagrze z waty pozyskanej z kurtek.

W łagrze najgorsze były kryminalistki. W obozie stworzyły swój własny, plugawy świat, w którym rządziło bezprawie i trwała walka o władzę. Za krzywe spojrzenie na kryminalistkę można było zostać pobitym do nieprzytomności. Za kwestionowanie decyzji ich szefowych

dostawało się „kosę” w brzuch. Pośpne twarze tych kobiet, ich złowrogi, przewiercający wzrok budziły grozę pośród normalnych, politycznych więźniarek. Zamknięte w obozie Polki wiedziały, że należy trzymać się od nich jak najdalej. Nawet strażnicy z NKWD często schodzili im z drogi i ustępowali w obozowych sporach. Kryminalistki piły alkohol, klęły jak mało który mężczyzna i kradły na potęgę. Wszystko wokół nich ginęło albo, jak kto woli „zmieniało właściciela”. Grały zapamiętane w karty, a nagrodą dla zwycięzczyń były zastawione wcześniej fanty. Gdy przegrały już wszystko, zakładały się o życie współwięźniarek.

W obozowym baraku było mnóstwo kobiet. Pochodziły z krajów podbitych przez ZSRR i z najdalszych zakątków sowieckiego imperium. Mówiły najróżniejszymi językami i dialektami. Spośród tłumu więźniarek wyróżniały się dwie młode Polki, których okrutny los zagnał na daleki wschód Kraju Rad. Były jedynymi Polkami pośród kobiet w tym baraku i dlatego postanowiły trzymać się razem. Wspólnie pracowały, spały obok siebie, rozmawiały i żartowały. Wspierały się nawzajem i podtrzymywały na duchu w trudnych momentach. Staszka Kowalewska i Marysia Skrendo zawarły tam przyjaźń na całe życie.

Jak wszyscy więźniowie polityczni, Staszka i Marysia jak ognia bały się sowieckich kryminalistek.

Szerokim łukiem omijały ich gromadki i nie reagowały na zaczepki, ale pewnego razu jedna z kryminalistek złapała gdzieś na osobności Staszkę. „Byłaś studentką w Moskwie?”. Wystraszona dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy. „Więzili cię na Łubiance?”. „Tak”. „I w więzieniu na Butyrkach?”. „Tak”. „Ja jestem Galina, ale możesz mówić do mnie Galoczka. Musisz się do mnie przyzwyczaić, od teraz będę cię często odwiedzała” – wyszeptła jej prosto do ucha i zniknęła szybko, jak się pojawiła.

Staszka wróciła do baraku, ale cały czas myślała o spotkaniu z kryminalistką. „Boże, czego może ode mnie chcieć ta Rosjanka?”. Przed oczami miała błądą, okrągłą jak księżyc twarz kryminalistki i jej jasnoniebieskie oczy, przeszywające na wylot...

Minęło kilka dni od ich pierwszej rozmowy i Galina siedziała teraz na pryczy naprzeciw Staszki. Jej niebieskie oczy wyrażały wyjątkowo niegroźbę, a błaganie. „Opowiedz mi o Moskwie. Proszę...”

Kiedy Staszka zaczęła mówić, Galoczka przymknęła powieki i przeniosła się w inny świat. Obie kobiety, Polka i Rosjanka, były teraz daleko od drutów kolczastych obozu i mroźnej, śnieżnej pustyni. Na moment poczuły się wolne i szczęśliwe. Razem spacerowały po Arbacie i po alejkach Cmentarza Nowodziewiczego, zwiędziały skarby Galerii Trietakowskiej, zachodziły do Teatru Bolszoi, jeździły metrem albo na łyżwach i nartach.

Słuchając opowieści o największych zabytkach Moskwy i mniej znanych, pięknych zakątkach sowieckiej stolicy, Galina zwróciła uwagę na niezagojone blizny na rękach Staszki. „Co ci się stało?” – zapytała.

„A, to nic, stara historia. W drodze do łagru w Tajszezie zatrzymali nas na krótko w obozie w mieście Gorki. Tam pracowałam przy kuchni – roznosiłam posiłki dla więźniów. Jedna Ukrainka zawzięła się na mnie. Któregoś dnia, kiedy myłam miski po posiłku, ta Ukrainka przyniosła wiadro wrzątku do mycia, chociaż o to nie prosiłam. Kiedy tylko wynurzyłam ręce z kotła, cały wrzątek wylała mi na dłoń. Okropnie bolało, a później pojawiły się pęcherze. Nie było tam lekarstw, nie mieliśmy lekarzy ani pielęgniarek. Jedynie, co mogłam zrobić, to ogrzewać chore ręce na słońcu, tylko to przynosiło mi ulgę. Ale i tak bałam się, że do rany wda się gangrena. W nocy do tych pęcherzy przywierały pluskwy i może to one odkaziły moje ręce?”

„Niechbym ja dorwała tę ukraińską swołocz, to inaczej by zatańczyła. A może jest w naszym obozie?” – zainteresowała się Galina.

„Nie, kilka dni później załadowali nas do wagonów. Nie spotkałam już nigdy tej kobiety”.

Tej nocy chłód był jeszcze większy niż zwykle. Drzewa pękały od mrozu jak cienkie zapalki, a wewnętrzne ściany baraków pokrywały się grubą warstwą szronu. Zrobiło się



późno i Galoczka musiała wracać do siebie „Dobrze się tutaj czuję, lubię patrzeć na ciebie” – powiedziała szepem i położyła głowę na kolanach Staszki. „Kocham Cię...”.

W łagrze Tajszet, do którego trafiła Staszka, za wyjątkiem kilku strażników i naczelnika nie było mężczyzn. Od kobiet, które siedziały po kilka lat, dziewczyna dowiedziała się o tworzących się „parach”. Młoda, wierząca Polka nie wyobrażała sobie, jak można oddać się mężczyźnie przed ślubem, a co dopiero – o zgrozo! – jak można tworzyć związek z inną kobietą. Coraz bardziej bała się Galiny, ale jednocześnie drżała na myśl o jej reakcji, jeśli zostałaby odrzucona.

Staszka jak ognia unikała Galoczki. Rosjanka odszukała dziewczynę i podeszła do niej. „Muszę z tobą porozmawiać. Proszę cię. Jutro już może być za późno. Nie wiesz, jakie one są, inne kryminalistki. Mam długi wobec nich i mają mnie w garści. W tobie moja ostatnia nadzieja. Masz dużą wartość, jesteś piękna, młoda. Wybacz mi... Ty wiesz, że cię kocham!”. „Jakoś dziwnie mi to okazujesz...” – odpowiedziała Staszka. „Mówię prawdę! Przebaczone mi to, co zrobię. Muszę cię postawić w kartach. Jeśli wygram, uratuję życie, ale jeśli przegram ktoś inny będzie się tobą opiekował. Wybacz mi...” – pocałowała „Iskierkę” w policzek i wybiegła na dwór.

Tej nocy Stanisława długo nie mogła zasnąć. Martwiła się o Galoczkę i o swoją przyszłość. Nie potrafiła pojąć, jak można tak szastać ludzkim życiem. Przecież nie byli niewolnikami. Nawet skazaniec w łagrze to wciąż człowiek. Następnego dnia nie przyniósł żadnych nowych wieści, również później Staszce nie udało się niczego dowiedzieć. Nigdy więcej nie zobaczyła Galoczki. Dopiero po tygodniu ktoś przyniósł informację, że kryminalistka Galina zniknęła.

Po śmierci Stalina wszystko z wolna zaczynało się zmieniać. Więźniowie nie mogli już dłużej znieść nieludzkiej pracy i poniżenia. W różnych częściach ZSRR po kolei wybuchały bunt. Sowieckie władze, chcąc nie chcąc, szły na układy ze skazańcami chcącymi poprawić warunki w swoich obozach. Z samej Moskwy przychodziły wytyczne o amnistiach i czasowych zwolnieniach. Również do Tajszetu dotarł nakaz, by przenieść więźniarki z łagodnymi wyrokami do innych, lżejszych obozów. W łagrze miały zostać tylko te o wyższych wyrokach oraz te, którym zostało już niewiele odsiadki.

Stanisława Kowalewska znalazła się w pierwszej zwolnionej grupie. Wraz z innymi więźniarkami wyruszyła w drogę. Szły wiele dni piechotą, nocując najczęściej w opuszczonych barakach obozów napotykanym na drodze. Dotarły do stacji, a tam wsadzono je do pociągu, który zawiózł je

do ogromnego kompleksu łagrowego w Połmie. Wycieńczone łagierniczki wreszcie mogły trochę odpocząć przy lżejszej pracy w polu. Zjadały uprawiane tam warzywa, wzbogacając organizmy o witaminy.

Jesienią 1954 r. Staszka odzyskała wolność. Strażnik otworzył bramy obozu i wypuścił czwórkę szczęśliwców, którzy mieli już na własną rękę dotrzeć do stacji kolejowej. Razem z obcą kobietą dojechała do Moskwy, ale w drogę do Wilna ruszyła już sama.

Kiedy wysiadła na stacji Wilno, emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Czuła się jak pielgrzym, który wreszcie dociera do wyśnionego celu swej drogi. Gotowa była klękać i całować wileńską, polską ziemię. Ale ostatecznie przeżegnała się tylko i poszła na przystanek autobusowy. Gdy tylko wyszła, wpadła w objęcia mamy, której ktoś dał znać, że widział ją na dworcu w Wilnie. W rodzinnym domu Staszka zastała Marysię Skrendo, która, choć wyszła z obozu później, to jako pierwsza dotarła do Wilna. Również przed Staszka z łagrów wróciła Teresa, koleżanka i współlokatorka z Moskwy.

Na wolności Stanisława nadrobiła stracone lata. Na moskiewskim uniwersytecie zapewnili ją, że od nowego roku akademickiego może rozpocząć przerwane studia. Miała czas, by wrócić do zdrowia po obozowych przeżyciach. Upajała się wolnością i odwiedzała przyjaciół oraz rodzinę.

To był naprawdę szczęśliwy okres, spotkania w kawiarniach i spacer, niekończące się dyskusje i wspomnienia. Można było odnieść wrażenie, że nic już ich nie zaskoczy. Tak myślała Staszka również wtedy, kiedy podejmowała pracę jako nauczycielka w wiejskiej szkole w Pikuciszkach. Tam poznała Wiktora Kocielowicza.

Wiktor był żołnierzem AK w 3 Wileńskiej Brygadzie u „Szczerbca”. Po wyzwoleniu Wilna został aresztowany przez NKWD i zesłany do obozów na Syberii na dziesięć lat. W 1954 r. zwolniono go z łagru, ale mimo tego musiał pozostać na zesłaniu. Jako technik dentystyczny mógł wybrać sobie miejsce pracy i zdecydował się pojechać do Uścia-Kułomu. Spakował rzeczy i wysłał walizki pocztą, a sam wsiadł w pociąg, by po kryjomu pojechać do Wilna i zobaczyć się jeszcze raz z matką i siostrami. „Iskierce” od razu spodobał jej się nowo poznany, przystojny mężczyzna. A i ona nie była mu obojętna. Już po kilku dniach znajomości oświadczył się i został przyjęty. Trudniej było przekonać rodziców Staszki. Nie minął rok od jej powrotu z łagru, a znów chciała wyjechać na Syberię. Tym razem dobrowolnie, z mężem. Rodzice czuli, że jeśli się nie zgodzą na ślub i błogosławieństwo, to Staszka i tak wyjedzie setki kilometrów stąd i więcej jej nie zobaczą. Było to dla nich tym bardziej bolesne, że młodsza córka, Halinka, już wcześniej wyjechała do Lwowa. Ostatecznie, po

wielu prośbach i błaganiach skapitulowali i ze smutkiem pobłogosławili młodą parę.

Wiktor musiał wracać na zesłanie, każdy kolejny dzień jego pobytu w Wilnie mógł zakończyć się aresztem i karą wieloletniego łagru. Ślub odbył się 12 czerwca 1955 r. w kościele w Ławaryszkach. Za wyborem tego miejsca przemawiały względy bezpieczeństwa. Zbyt wiele osób w Wilnie i Kolonii Wileńskiej znało Wiktora i Stanisławę. Z uroczystości Staszka na zawsze zapamiętała białą suknię, białe pantofelki, welon i wianek, które miała na sobie. I swój drżący głos przed ołtarzem oraz nieskończenie wielki smutek czający się w oczach jej rodziców...

Już następnego dnia nowożeńcy wyruszyli w niecodzienną „podróż poślubną”. Początkowo udali się koleją, następnie przez niekończące się lasy ciężarówką dotarli do przystani nad rzeką Wyczegdą. Ostatni etap ich drogi to podróż statkiem po Wyczegdzie. Czuwali do późna w nocy, broniąc się przed snem, ale zmęczeniu daleką drogą i walką z chmarą komarów, nad ranem twardo zasnęli. Na pokładzie natychmiast zjawił się oficer bezpieczeństwa, by osobiście sprawdzić, kim są podejrzani podróżni. Na szczęście było to już w Uściu-Kułomie, w miejscu, gdzie miał odtąd pracować Wiktor. Skończyło się tylko na słownym upomnieniu. Dla nowożeńców z Wileńszczyzny rozpoczął się nowy etap życia.

Miejsce zesłania małżeństwa Kocielowiczów położone było malowniczo na zboczu wzniesienia nad rzeką. Miejscowość Uść-Kułom znajdowała się z dala od wielkich metropolii i tras komunikacyjnych. Jako główny ciąg transportowy służyła tu rzeka, którą nawet zimą po zamarznięciu wykorzystywano jako równą drogę dla samochodów czy sań. W innych porach roku systematycznie kursowały nią statki, a na pobliskie lotnisko przylatywały samoloty.

Staszka z Wiktorem zamieszkali w jednym pokoju w domu radzieckiego lekarza. Wiktor dostał pracę jako dentysta w miejscowej przychodni. Pracowali tu najczęściej zesłani za różne przestępstwa względem komunistycznej władzy lekarze. Polacy znaleźli tu zrozumienie i przyjaźń. Również funkcjonariusze bezpieczeństwa zaczęli inaczej patrzeć na Kocielowiczów, od czasu, kiedy Wiktor wymienił sztuczną szczękę dla sowieckiego weterana drugiej wojny światowej. Staszka zostawała sama, kiedy mąż szedł do pracy. Chodziła na długie spacer, czytała książki z miejscowej biblioteki i zajmowała się domem. Aby odsunąć od siebie nostalgię, planowała podjąć jakąś pracę. Jednak wtedy okazało się, że pod sercem nosi nowe życie. Za kilka miesięcy na świat miało przyjść ich dziecko.

Jeszcze jedna radosna wiadomość miała do nich niedługo dotrzeć. Pod koniec 1955 r. Polska podpisała

ze Związkiem Radzieckim umowę, zgodnie z którą wszyscy skazani akowcy z wyrokiem większym niż dziesięć lat, a mający rodzinę w Polsce, mogli ubiegać się o prawo wyjazdu do ojczystego kraju. Wiktor odbył już karę dziesięcioletniego zesłania, a w Polsce mieszkał jego brat. Po wielu tygodniach wreszcie udało się otrzymać zezwolenie na wyjazd. Jako, że rzeka dobrze jeszcze nie odmarzała, pozostawał jedynie transport powietrzny. Staszka i Wiktor samolotem wylecieli z lotniska, a podróż kontynuowali ciężarówką i koleją. W grudniu 1955 r. szczęśliwie dotarli do punktu repatriacyjnego w Nowym Sączu i udali się dalej, do Szczecina, gdzie mieszkał brat Wiktora. Nareszcie byli w Polsce.

Na stałe zamieszkali w Szczecinie i w tym mieście w kwietniu 1956 r. na świat przyszedł ich syn Tadeusz, a w 1961 r., również w kwietniu, córka Dorota. W roku 1964 Staszka rozpoczęła naukę na filologii rosyjskiej w Studium Nauczycielskim. Po ukończeniu szkoły rozpoczęła pracę jako nauczycielka języka rosyjskiego w VI Liceum Ogólnokształcącym. Potem rozpoczęła studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej i w 1977 r. uzyskała tytuł magistra filologii rosyjskiej. W międzyczasie zdobyła uprawnienia instruktora ZHP (mogła więc prowadzić drużynę harcerską) i została przewodnikiem turystycznym. Od 1991 r. jest członkiem Koła Kresowych Żołnierzy ŚŻŻAK, natomiast

od 1994 r. należy do Stowarzyszenia Szarych Szeregów. Do 2013 r. pełniła funkcję prezesa ŚZŻAK Okręgu Szczecin, a obecnie jest honorowym prezesem tego okręgu. Piastuje też stanowisko wiceprezes Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK, do którego należy od 1995 r.

Gdy spisuję wspomnienia ze swego życia – kończy swoje opowiadanie „Iskierka” – patrzę na szczęście i cierpienie, grozę i nadzieję tamtych dni, na spełniające się życie, oczami dojrzałego, doświadczonego człowieka. Przypominam sobie jeden dzień: wraz z siostrą i kilkoma przyjaciółkami (a miałyśmy wtedy po czternaście, piętnaście lat) zastanawiałyśmy się, jaki będzie świat w roku 2000. Jakie my będziemy, czy dożyjemy? Każda z nas zapisała swoją wizję, wyraziła swoje przekonanie. Potem włożyłyśmy zwinięte kartki papieru do butelki, którą zakorkowałyśmy, zalakowałyśmy i zakopałyśmy. Wydawało się oczywiste, że we właściwym czasie odnajdziemy nasz dokument. I żadnej z nas nie przyszło wówczas na myśl, że to miejsce może zniknąć bez śladu, a my będziemy mieszkać daleko od swego ukochanego Wilna.

Okręg Białostocki AK Inspektorat Grodzieński



PLK WERONIKA SEBASTIANOWICZ z d. OLESZKIEWICZ PS. „RÓŻYCZKA”



Weronika Sebastianowicz urodziła się 15.11.1931 r. w Pacewiczach w powiecie wołkowyskim przedwojennego woj. białostockiego. Podczas II wojny światowej, a także po jej zakończeniu w działalność konspiracyjną zaangażowani byli jej rodzice i brat Antoni. Pomagała bratu przy mniejszych zadaniach, a do AK oficjalnie wstąpiła w 1944 r., w wieku 13 lat. W latach 1945-1951 była członkiem Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. W 1946 r. aresztowano jej ojca, który otrzymał wyrok 10 lat łagrów w Kazachskiej SRR. 07.04.1951 r. została aresztowana przez NKWD, a następnie więziona i torturowana w Grodnie. Za przynależność do AK została skazana na 25 lat łagrów, 5 lat pozbawienia praw obywatelskich i konfiskatę mienia. Trafiła do obozu w Workucie wraz z matką, która

również otrzymała wyrok 25 lat ciężkich prac. W tym czasie brat Antoni walczył dalej i w czasie obławy NKWD popełnił samobójstwo. Jego grobu nigdy nie udało się odnaleźć. W lipcu 1955 r. Pani Weronice karę zmieniono na 10 lat, a w listopadzie tego roku została zwolniona i wróciła do domu siostry w miejscowości Skidel na dawnych Kresach Wschodnich II RP. Pomimo prób repatriacji do Polski władze sowieckie odmówiły jej wyjazdu. Od początku lat 90-tych XX w. aktywna działaczka polska na Białorusi. Prezes nieuznawanego przez władze białoruskie Stowarzyszenia Żołnierzy AK na Białorusi, działającego przy Związku Polaków na Białorusi. W 2012 r. została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a 1 marca 2017 r. została awansowana na stopień

pułkownika w stanie spoczynku. Wieloletni, aktywny członek Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK, wiceprezes Stowarzyszenia.

WSPOMNIENIA¹

Urodziłam się we wsi Pacewicz w powiecie wołkowyskim. Większość mieszkańców stanowili Białorusini, ponadto dwadzieścia cztery polskie rodziny. I jedna żydowska. Obie społeczności okazywały sobie szacunek. Kiedy wypadały prawosławne święta, nie robiliśmy prania ani innych prac domowych, żeby nie urazić Białorusinów. Oni postępowali tak samo w święta katolickie.

Ojciec mój, Józef Oleszkiewicz, był inżynierem, budował drogi i mosty. Mieliśmy mały, ładny domek, tata prowadził w nim swoją kancelarię. Było nas troje: Irena, Antoni i ja, najmłodsza. Mama, Stanisława, nie pracowała zawodowo, zajmowała się domem. W naszej przedwojennej szkole narodowość nie miała znaczenia. Polak czy Białorusin – wszyscy byli traktowani jednakowo.

Przyszedł nieszczęsny wrzesień 1939 r. Najpierw na Polskę napadli Niemcy, a zaraz potem spadł kolejny cios: wkroczyli bolszewicy. Na Kresach rozegrały się wówczas dramatyczne, rozdzierające sceny.

¹ Fragmenty wspomnień Pani Weroniki Sebastianowicz pochodzą z książki Anny Herbich *Dziewczyny z Syberii* wydawnictwa Znak Horyzont, 2015 r.

W naszych okolicach już przed wojną działały kontrolowane przez Moskwę podziemne, komunistyczne struktury.

W pobliżu naszej wsi było jezioro, którego brzeg porastały piękne kaczęce. Kiedy do naszej wsi przyjechały ciężarówki wypełnione żołnierzami Armii Czerwonej, komuniści stanęli przy drodze, wiwatowali i rzucali kaczęce pod koła pojazdów. Strasznie mnie to rozzłościło. Od ruchowo zaczęłam wyrwać z ziemi chwasty z korzeniami i ciskałam nimi w te sowieckie pojazdy. Do domu wróciłam cała czarna od ziemi. Powiedziałam mamie, że to chyba jakieś diabły przyjechały, w długich płaszczach i takich dziwnych, szpiczastych czapach. Mama była przerażona, gdy dowiedziała się, co robiłam. Przebrała mnie w czyste ubranie i powiedziała, żebym nigdy więcej nie zbliżała się do bolszewików.

Dwa dni po rozpoczęciu okupacji sowieckiej do naszego domu przyszedł znany miejscowy komunist, żeby zabić ojca. Wszedł z załadowanym, gotowym do strzału karabinem i wycelował w tatę. Stali tak naprzeciwko siebie dobrą chwilę. W końcu ojciec wydukał z siebie: „Za co?”. On mu odpowiedział, że za to, że on polski „pan”.

Moja siostra Irena w ostatnim momencie doskoczyła do tego komunisty, podbiła mu karabin i kula zamiast w tatę poszła w sufit. Ojciec schronił się w chlewie u sąsiada

– prawosławnego Białorusina. Komunistą chodził wściekły po całej wsi i go szukał. Na szczęście nie znalazł. Ojciec pojechał do Wołkowyska. Tam polska inteligencja zaczęła organizować ruch oporu. Tata od razu zaangażował się w konspirację. Do domu przyjechał dopiero po kilku miesiącach. Ciekawie potoczyły się natomiast losy tego komunisty, który chciał go zamordować. Otóż wyjechał do Związku Sowieckiego i tam go zabili jego towarzysze.

Nadszedł rok 1940. Była zima, gdy dowiedzieliśmy się, że nasza rodzina znalazła się na liście osób przewidzianych do wywózki. Jednak nikt po nas nie przychodził. Najwidoczniej czekali, aż pojawi się ojciec – chcieli nas złapać i wywieźć razem. Całe szczęście, że jednak nie zdążyli. W czerwcu 1941 r. rozpoczęła się wojna z Niemcami. Komuniści wpadli w panikę i uciekli w popłochu, a okupacja sowiecka zmieniła się w niemiecką. Rozpoczął się nowy rozdział naszego życia.

Pamiętam, jak przyjechali do nas żołnierze Wehrmachtu na ryczących motorach. Na pierwszy rzut oka wyglądali lepiej niż Sowietci. Mieli inteligentniejsze twarze, czystsze mundury. Szybko jednak przekonaliśmy się, że byli siebie warci. Najważniejsze było jednak to, że tata mógł wreszcie wrócić do domu.

We wsi był pewien młody chłopak, który zaciągnął się do stworzonej przez Niemców policji. To był

nasz, Polak. Zakochał się po uszy w mojej siostrze, ale ona nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Dała mu kosza. Wtedy on ze złości zapisał ją na roboty do Niemiec. Przyszli po Irenę do domu i zabrali ją do Wołkowyska. Tam udało jej się jakoś uciec i wróciła do Pacewicz. Od tamtej pory musiała się jednak ukrywać.

Mój brat Antoni działał w konspiracji. Bardzo mu zazdrościłam, rwałam się do działania. Czasami powierzał mi jakieś drobne zadania, pozwalał, żebym mu pomagała – przносиła meldunki i jakieś paczki. Nie zgadzał się jednak na formalne wstąpienie przeze mnie do Armii Krajowej. Mówił, że jestem za mała, że nie wytrzymam, nie podołam. Tak długo jednak go prosiłam i namawiałam, że w końcu ustąpił. To był rok 1944, miałam trzynaście lat. Kazał mi przyjechać w umówione miejsce do lasu, miałam tam zostać zaprzysiężona. Na miejscu był już mój brat, Antoni Oleszkiewicz ps. „Iwan”, lokalny komendant Bronisław Chwieduk ps. „Cietrzew” oraz kapelan ks. Antoni Bańkowski ps. „Eliasz”. Byłam bardzo przejęta. Tosiek, czyli mój brat, nagle zmienił jednak zdanie. Powiedział, że to za wcześnie, że może za rok mnie przyjmie. W jednej sekundzie zalałam się łzami. Wtedy ksiądz kapelan zaczął go przekonywać.

Antoni znowu musiał zmienić zdanie. Komendant wtedy zapytał, jaki bym chciała przyjąć pseudonim. Z tego wszystkiego nie pomyślałam

o pseudonimie! Stałam jak oniemiała próbując coś wymyślić, zanim znowu zmieniał zdanie. Wtedy ksiądz powiedział: „Zobaczcie, jaka ona śliczna, jak różyczka. Niech będzie «Różyczką»”. Taki mi właśnie nadali pseudonim. Stałam się członkiem Armii Krajowej.

A w międzyczasie znowu zmieniła się okupacja. Niemcy odeszli, na ich miejsce wrócili bolszewicy. Nasze okolice zostały wydarte Polsce i włączone do Związku Sowieckiego. Rozpoczęła się epopeja Żołnierzy Wyklętych. Byłam jednym z nich.

Na naszych oczach rozgrywał się wielki dramat. 19 stycznia 1945 r. Armia Krajowa została rozwiązana. Komendant naszego okręgu Władysław Liniarski „Mścisław” zniósł przysięgę i rozpuścił wojsko do domów. Nie mogliśmy się z tym pogodzić. Polska przecież nie odzyskała wolności, nasza walka zatem nie dobiegła końca. W 1945 r. złożyliśmy powtórnie przysięgę, teraz już w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”. Zadania dostawałam różne. Przenosiłam meldunki, zbierałam informacje na temat rozmieszczenia oddziałów Armii Czerwonej i NKWD. Gdy Sowietci urządzali obławę, razem z innymi łączniczkami nosiłam zaopatrzenie do leśnych bunkrów. Byłam niepozorna, zwinna i niesamowicie zaangażowana.

Zakończenie wojny było dla Polaków szokiem. Wielu straciło ducha. Kiedy okazało się, że znaleźliśmy się w Związku Sowieckim, dużo osób

postanowiło porzucić domy i wyjechać do komunistycznej Polski. Moja rodzina również. Mieliśmy już przygotowane dokumenty na tę podróż, byliśmy spakowani. Planowaliśmy dołączyć do sióstr ojca, które były już po tamtej stronie.

Ojciec nagle gdzieś jednak wyjechał. Wrócił dopiero po kilku dniach i powiedział: „Nigdzie nie jedziemy. Polska tu wróci”. Więc zostaliśmy, ale Polska nie wróciła. Długo żyliśmy jednak tą nadzieją. Kresowiaci nie chcieli pogodzić się z zaborem ich ziemi, nie chcieli zgodzić się na stworzenie kołchozów. Młodzież chciała się bić.

Sytuacja stawała się jednak coraz trudniejsza. Ziemie nasze „oczyszczano” z Polaków, bezpieka była coraz groźniejsza, zaciskała się wokół nas pętla. Obławy, areszty, śmierć. Znam takie rodziny, które miały pięcioro dzieci i wszystkie służyły w naszych leśnych oddziałach. I wszystkie zginęły. Nie tak to sobie wyobrażaliśmy. Pamiętam rozmowy, jakie toczyliśmy jeszcze podczas wojny. Mówiliśmy o naszych planach, o tym, co będziemy robić, kiedy skończy się wojna, kiedy Polska odzyska niepodległość. Oczywiście żaden z tych planów nie został zrealizowany. Nasze pokolenie było stracone.

Po wojnie nadeszły ciężkie czasy. Ojca aresztowali z czterdzieści razy. Bolszewikom nie podobało się to, że ojciec pod okupacją niemiecką

pracował w swoim zawodzie. Stąd te aresztowania. Za każdym razem jednak go wypuszczano, ktoś się musiał za nim wstawiać – był w końcu świetnym fachowcem. Niestety szczęście się od niego odwróciło. Po kolejnym aresztowaniu nie wrócił.

Ojca skazano na dziesięć lat. Siedział w więzieniu w Wołkowysku. Enkawudziści powiedzieli mi, że ojca mogą wypuścić na wolność, ale pod warunkiem, że mój brat wyjdzie z lasu. Gdy powtórzyłam to Antoniemu, zachnął się: „Czyś ty zwariowała? Złożyłem przysięgę i nigdy nie złożę broni. Nie porzucę swoich ludzi i nie zdradzę organizacji. Nigdy! Zresztą ojca i tak nie wypuszczą”.

Rozumiałam go, bo przecież w podziemiu byli wszyscy. Nawet mama pomagała. Potajemnie piekła chleb i prała bieliznę dla naszych chłopaków. Każdy Polak wspierał ich jak mógł. Ryzyko było olbrzymie, bo bezpieka miała wszędzie swoje oczy i uszy.

W 1948 r. nasz komendant „Cietrzew” został aresztowany. Wpadł również kapelan. Wtedy na czele oddziału stanął Alfons Kopacz „Wróbel”. A mój brat został jego zastępcą. Walczyliśmy dalej. Niedługo potem poznałam mojego Jasia. Był szalenie przystojny. Pochodził z zamożnej chłopskiej rodziny, bolszewicy takich jak on nazywali kułakami. Nadeszło Boże Narodzenie. Byłam u koleżanek na świątecznym spotkaniu, akurat był na nim Jasio. Na kolejnym

spotkaniu zaproponował, żebyśmy razem poszli na zabawę sylwestrową. I tak się zaczęło.

Wkrótce zauważyłam, że jestem śledzona. Chodzili za mną wszędzie. Gdy pojechałam z meldunkiem, wsiedli nawet ze mną do pociągu. Musiałam uciekać. Schroniłam się w innej wiosce w powiecie wołkowyskim. Tam poczułam się bezpiecznie, przestałam się bać. I to mnie zgubiło. Pojechałam w odwiedziny do siostry i wtedy dopadło mnie NKWD. Był 7 kwietnia 1951 r. Wtręcili mnie do straszliwego więzienia w Grodnie. Moje dotychczasowe życie zostało raptownie przecięte, urwane. Rozpoczął się koszmar.

Bito mnie co noc. Na ogół po przesłuchaniach nie trafiałam do celi, tylko do betonowego karceru. To była niewielka klitka, miała może metr na metr. Biegały po niej szczury, a blaszany kubek był przytwierdzony łańcuchem do ściany. Pamiętam, że raz kazali mi klęczeć z rękami wyprostowanymi nad głową, a do każdej dłoni wsadzili po cegle. Innym razem oprawcy złamali mi dwa palce w drzwiach. Po jednym z kopnięć pękła mi czaszka. Wgnieciona kość do dzisiaj uciska nerw. Chodziło im o Antoniego. „Gdzie jest twój brat?” – powtarzali to pytanie w kółko podczas bicia i katowania. Nic im jednak nie mówiłam. W końcu urządzili mi konferencję z pewnym młodym akowcem. Powiedział, że mnie rozpoznaje, że byłam łączniczką

komendanta. Nawet nie mam o to do niego wielkich pretensji. Zmaltretowali go w sposób nieludzki. Pytałam oficera śledczego, co się dzieje z moją mamą. Enkawudzista przyznał, że aresztowano ją kilka miesięcy po mnie. To był dla mnie straszny cios.

W sumie w więzieniu siedziałam pięć miesięcy. Pod koniec stałam się apatyczna, straciłam chęć do życia. Chciałam się zagłodzić na śmierć. Wtedy postawili mnie przed sądem. To była kpina. Trzech zbirów odczytało mi gotowy wyrok: jako „wróg ludu” zostałam skazana na dwadzieścia pięć lat łagru z artykułu 58. Po zakończeniu rozprawy próbowałam powiesić się w celi na ręczniku.

W sądzie poprosiłam, żeby zesłali moją mamę do tego samego miejsca, gdzie ja będę. O dziwo, zrobili to. Ona podczas śledztwa wcale nie kryła się z tym, że pomagała partyzantom. Mówiła o tym otwarcie: „Tam mój syn, tam dzieci, tam Polacy. Cóż więc dziwnego, że im nosiłam różne rzeczy”. W ten sposób również okazała się „zdrajcą sowieckiej ojczyzny” i „elementem kontrrewolucyjnym”. Kara mogła być tylko jedna – obóz koncentracyjny na straszliwej, skutej lodem Workucie.

Tak rozpoczęła się nasza łagrowa tułaczka. Na stacji kolejowej w Grodnie, jeszcze przed załadowaniem nas do wagonów bydłowych, spotkałam pewną polską staruszkę. Miała siedemdziesiąt pięć lat i była w naszym transporcie. „Dostałam wyrok za to,

że zajmuję się polityką. Ale ja nie wiem, o co chodzi. Przyszli chłopcy z mojej wioski, nakarmiłam ich, dałam im chleba na drogę. Jaka to polityka?”. Sowietci wlepili jej dwadzieścia pięć lat łagru za wspieranie „faszystowskiej organizacji podziemnej”. Nawet się z tego śmiała. Mówiła, że władze w ten sposób przedłużyły jej życie do stu lat. Nawet nie dojechała do Workuty. Jej ciało wyrzucili w drodze z pędzącego pociągu.

Ruszyliśmy w drogę. Mineliśmy Orszę, tam nas ostrzygli i odwyszawili. Potem była Moskwa i słynne więzienie na Łubiance. Najdłuższy był trzeci etap – na Workutę. Po wyładowaniu nas na miejscu rozpoczęła się procedura sprawdzania. Funkcjonariusze NKWD zadawali nam kolejne pytania. Imię nazwisko, imię ojca, z jakiego artykułu jesteście skazani. Wkrótce przyjechała również moja mama. Od razu zapędzono nas do katorżniczej pracy. Kopałyśmy kanał kilofami. Praca była nieprawdopodobnie ciężka. Brnęliśmy po pas w śniegu, najpierw nasze ubrania były całkowicie przemoknięte, a po dwóch godzinach zamarzały na kość. Do tego ten straszliwy głód. Dzienna racja żywnościowa wynosiła zaledwie trzysta gramów chleba. Szybko zaczęłam chorować. Pewnego dnia dostałam ataku ślepej kiszki. Upadłam na ziemię, z której podniosło mnie dwóch strażników. Wzięli mnie pod pachy i zaczęli prowadzić do lazaretu. Znowu się

jednak przewróciłam. Oni stanęli nade mną i jeden mówi do drugiego: „Chyba zdechła”. Wycharczałam więc: „Nie”. Wtedy mnie podnieśli i zaczęli prowadzić dalej.

W szpitalu trafiłam na świetnego lekarza. Był więźniem, Polakiem, nazywał się Andrzej. Po tygodniu pobytu w szpitalu zaproponował, żebym wyszła za niego za mąż. Odrzuciłam te oświadczenia. Powiedziałam mu, że nie mam najmniejszego zamiaru brać ślubu w łagrze. Po tygodniu od powrotu do baraku przeniesiono mnie do innego łagru, tak zwanego specjalnego. Był to obóz o zastrzonym rygorze, lepiej pilnowany. Rozdzielono mnie z mamą. W łagrze specjalnym

trzymali między innymi psychicznie chorych. Wielu ludzi w tym obozie zostało wykończonych.

Pewnego dnia do jednego z budynków podjechał ciężarowy samochód. Strażnicy zaczęli wrzucać do niego straszliwie wychudzone ludzkie ciała. Jedne na drugie, jak worki z kartoflami. Było ich mnóstwo. Nagle spostrzegłam coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Niektóre ręce i nogi drgały, ruszały się. Wiele tych osób nadal żyło! Jedna z nich wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi, pełnymi cierpienia i rozpaczyci oczami. Kim byli ci ludzie? Chorzy, wycieńczeni głodem i pracą więźniowie. Wymieszano ich z trupami i wywieziono na



step. Tam umierali, zwaleni na kupę. Dopiero kiedy przychodziła odwilż i ziemia odmrażała, władze obozowe kazały wykopać wielkie doły i wrzucano tam te wszystkie ciała.

W 1952 r. przewieziono mnie do łagru pod Krasnojarskiem. Tam pracowałam przy wyrębie lasu. Ważyłam czterdzieści pięć kilo, a piła, którą musiałam operować, ważyła trzydzieści sześć. Chleba dawali nam śmiesznie mało, do tego parzony owies – taki jak dla koni. Były dni, gdy zazdrościliśmy tym, którzy umierali. Ich udręka wtedy się kończyła. Pogoda była ekstremalna. Śnieg leżał do maja, a w lipcu temperatura dochodziła do ponad czterdziestu stopni na plusie. We wrześniu znowu jednak spadał śnieg i mróz trzymał aż do maja.

Miałam tam dwie koleżanki, Polki z Ukrainy, Stefę i Emilię. Staraliśmy się jakoś trzymać razem. Z chleba robiłyśmy różańce. Z miększu toczyło się kulki, a następnie nawlekałyśmy je na nić. Trwało to bardzo długo, bo chleba – jak wspominałam – dostawałyśmy śmieszne ilości. Nigdy wcześniej i nigdy później nie modliłam się tak żarliwie. Płakałam, błagałam Boga, aby pozwolił mi to przeżyć i wrócić do domu.

W październiku 1952 r. zostałam wezwana do obozowej kancelarii. Przyjął mnie tam oficer operacyjny, czyli miejscowy bezpiek. Powiedział: „Mogę cię pocieszyć, twój brat bandyta został zabity”. Gdy to

usłyszałam, ugięły się przede mną nogi. Okazało się, że bolszewicy zrobili obławę na oddział mojego brata. Został ranny, okrążony. Ostatni pocisk zostawił dla siebie, nie chciał dostać się żywcem w ręce wroga. Miał dwadzieścia cztery lata. Do dziś nie wiemy, gdzie zakopali jego ciało.

Ja w łagrze, mama w łagrze, tata w więzieniu, brat nie żyje. Na wolności była tylko moja siostra, ale i tak nie dawali jej żyć. Była przecież z rodziny „wrogów ludu”. Pomyślałam, że dobrnęłam do kresu. Że trzeba z tym skończyć. Rano, jak co dzień, poszłam na wyręb. Zasady na robotach były takie, jak wszędzie. Krok w prawo, krok w lewo, strażnik strzelał bez uprzedzenia. I wiele kobiet ten krok robiło. Miały dosyć, uważały to za jedyny sposób na wyzwolenie. Postanowiłam, że pójde w ich ślady. Nie chciałam jednak, żeby mnie zastrzelili. Postanowiłam zrobić to inaczej. W łagrze, kiedy kończy się piłować drzewo, należy krzyczeć: „strzeż się!”. Wtedy wszyscy się odsuwają, a drzewo spada na puste miejsce. Gdy usłyszałam ten okrzyk zamiast uskoczyć, poszłam w stronę upadającego drzewa. Żle to jednak wyliczyłam i drzewo tylko o mnie zahaczyło gałęziami. Była to moja kolejna próba samobójcza.

Pewnego dnia, był już rok 1953, wezwał mnie komendant obozu. Spytał, ile mam lat i na ile zostałam skazana. Okazało się, że właśnie zdechł Stalin. Użyłam takiego słowa,

bo uważam, że słowo „umarł” jest zarezerwowane dla ludzi. A on człowiekiem nie był.

Ogłoszono amnestię, w ramach której zmniejszono mi wyrok o piętnaście lat. Potem moja sprawa została jeszcze raz rozpatrzona. Uznano, że skoro wstąpiłam do Armii Krajowej jako niepełnoletnia, to można mnie już wypuścić. Wyszłam z łagru w 1955 r., tuż przed Sylwestrem. Na wolność wypuszczono również moich rodziców. Zamieszkaliśmy u siostry w Skidlu, mieście w Białoruskiej Republice Sowieckiej. Tu mieszkam do dzisiaj. Do naszej wsi nie mogliśmy powrócić. Ojciec pracował fizycznie, robił beczki. Podobnie mama, którą przydzielono do palenia w szpitalnym piecu.

Dopiero latem 1956 r. postanowiłam odwiedzić naszą rodzinną wieś. Spotkałam tam wielu znajomych. Wieczorem poszłam z kuzynką na zabawę. Weszłam do środka i nagle go zauważyłam. Nie mogłam uwierzyć. Mój Jasio. Był na parkiecie. Po chwili on również mnie zobaczył i podszedł do mnie. Usiedliśmy. Nie minęło pół godziny, gdy mi się oświadczył. Okazało się, że się nie ożenił, pozostał kawalerem. Odpowiedziałam mu jednak, że nie mogę wyjść za mąż, bo nie mam dosłownie nic. Ani pościeli, ani palta. Wszystko straciłam, wszystko rozkradli. Nie mam nawet pracy. Kiepska ze mnie partia. Wtedy on się uśmiechnął i powiedział: „Nie martw się tym.

Od tej pory o wszystko będziemy się starać razem”.

Kilka dni później jechaliśmy razem rowerem. Przejeżdżaliśmy akurat obok budynku gminy. Poszliśmy i z marszu wzięliśmy ślub cywilny. Potem pojechaliśmy szukać księdza, co w Związku Sowieckim nie było łatwe. Gdy go w końcu znaleźliśmy, nie zgodził się udzielić nam ślubu bez zapowiedzi. W efekcie ślub kościelny wzięliśmy dopiero po dłuższym czasie.

Rodzina dała nam jakieś domowe sprzęty. Od teściowej dostaliśmy dwie poduszki i dwie pierzyny, a ja za kilka rubli kupiłam noszone palto. Taki mieliśmy początek. Zamieszkałam u męża, ale kiedy zaszłam w ciążę, lekarz skierował mnie do szpitala w Grodnie. Po przeżyciach łagrowych miałam słabe serce. Dziecko na szczęście urodziło się zdrowe. To był chłopiec, nazwaliśmy go Eugeniusz. Przyszedł na świat w 1958 r., rok później urodziłam Marynę.

Było nam ciężko. W Związku Sowieckim panowała powszechna nędza, wszystkiego brakowało. A ja jeszcze nie mogłam dostać pracy. Trochę szłam, potem sprzedawałam lody. Kiedy już miałam dzieci, skończyłam technikum handlowe. Miałam dostać posadę, wszystko było już umówione. Aż tu nagle do tego zakładu zadzwonili z NKWD. Pracy oczywiście nie dostałam. Bezpieka mnie obserwowała, byłam inwigilowana. Nękali również mojego męża.

Był w końcu synem kulaka, a poza tym również służył w Armii Krajowej.

Kiedy w 1991 r. Związek Sowiecki wreszcie się zawalił, świętowaliśmy. To był jeden z najwspanialszych dni w moim życiu, nadzieje miałam olbrzymie. Od razu przywrócono katolickie święta, wydawało się, że będzie tak jak dawniej. Niestety, trwało to bardzo krótko. Na Białorusi szybko cofnięto zmiany. Kraj ten dzisiaj niewiele różni się od Związku Sowieckiego.

Mojego wyroku nie anulowano, nigdy nie zostałam zrehabilitowana. Władze uważają mnie więc za „wroga ludu”. A moich katów, zbirów z NKWD, za bohaterów. Wielokrotnie pisałam podania, żeby wskazano mi gdzie znajduje się grób naszego brata. Za każdym razem odmawiano. W ogóle Polakom jest tu źle. Musimy walczyć o to, żeby msza mogła być odprawiana po polsku, żeby nasze dzieci mogły w szkołach uczyć się polskiego. Wychodzimy na ulicę, protestujemy, a oni pakują nas do aresztów. Zupełnie jak dawniej. Nie składałam broni i walczę. Mam tyle energii, jest tyle do zrobienia. Jestem prezesem Związku Żołnierzy Armii Krajowej na Białorusi, działam też w niezależnym od władz Związku Polaków.

Czasami pytają mnie, dlaczego ja również nie wyjadę. Dlaczego nie opuszczę Białorusi. Odpowiadam, że nie ma o tym mowy. Że ja się stąd nie ruszę za żadne skarby. Jestem w tę ziemię wrośnięta korzeniami.

To jest bowiem nasza ziemia. Tu są groby moich przodków i moich najbliższych. W tę ziemię wsiąkła krew mojego brata. Tu jedenaście lat temu pochowany został mój mąż. Chcę spocząć u jego boku.

EUGENIUSZ CYDZIK



Eugeniusz Cydzik urodził się 28.12.1921 r. w Misiewiczach w powiecie grodzieńskim w województwie białostockim. 01.09.1939 r. zgłosił się na ochotnika do Wojska Polskiego, odbył służbę pomocniczą w Grodnie i aktywnie uczestniczył w obronie miasta. 02.02.1942 r. wstąpił do ZWZ-AK, awansowany na stopień kaprała podchorążego. Służył w Biurze Propagandy i Informacji oraz Kedywie, był sekcijnym i zwiadowcą. Uczestniczył w szkoleniach i brał udział w wielu akcjach przeciw Niemcom. Aresztowany latem 1945 r. przez „Smiersz” podczas oblawy w Misiewiczach. Trafił do aresztu w Grodnie, gdzie poddany został torturom, a następnie do więzień moskiewskich (Butyrki, Krasnaja Preśnia). Za przynależność do „antysowieckiej organizacji AK i współpracę z Niemcami

w zwalczaniu partyzantki sowieckiej” został skazany na 15 lat katorgi i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Trafił do obozu w Workucie, a od 19.04.1949 r. przebywał w Reczłagu. Zwolniony w kwietniu 1956 r., lecz na zesłaniu przebywał do października 1957 r. Gdy możliwy był w 1957 r. wyjazd z zesłania z ZSRR przeniósł się wraz z żoną (również żołnierzem AK i więźniem Workuty, ślub w Workucie) w Jej rodzinne strony, do Lwowa, gdzie pozostali. Ukończył Politechnikę we Lwowie w roku 1970. W latach 1984-1991 był prezesem Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, które powstało z jego inicjatywy. Niestrudzony w odszukiwaniu, odnawianiu i konserwowaniu polskich żołnierskich grobów na terenie Kresów II Rzeczypospolitej. Był jednym

z inicjatorów ustawienia w 1995 r. pierwszego pomnika i tablicy upamiętniającej rozstrzelanie przez Niemców polskich profesorów, odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa, renowacji grobów na Cmentarzu Janowskim czy m.in. kwater polskich żołnierzy w Zadwórzu. Wraz z żoną w 2006 r. uzyskał honorowy tytuł Kustosza Pamięci Narodowej nadawany przez IPN. Wieloletni, aktywny członek Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK, uczestnik Zjazdów organizacji. Zmarł 17.09.2012 r. i został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

WSPOMNIENIA¹

Urodziłem się 28 grudnia 1921 r. w Misiewiczach. To jest zaścianek, 14 domków, więc szkoły u nas nie było. Po ukończeniu szkoły w Wielkich Ejsmontach zapisałem się do szkoły handlowej Polskiej Macierzy Szkolnej. W Szkole Handlowej była 5. Żeglarska Drużyna Harcerska imienia Romualda Traugutta w Grodnie. My mieliśmy swoje żagłówki na Naroczy. Kajaki. Co roku lato spędzaliśmy na Niemnie. Od najmłodszych lat nosiłem mundurek harcerski. I teraz mam krzyż harcerski przypięty przy mundurze.

¹ Fragment rozmowy przeprowadzonej przez Archiwum Historii Mówionej, w ramach projektu „Polacy na Wschodzie” w dniu 09.09.2007 r. we Lwowie.

Zaczęła się wojna. 1939 rok. Zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Na razie wzięli jako służbę pomocniczą, ale byliśmy umundurowani. My przygotowywaliśmy obronę od Prus Wschodnich, natomiast na wiadomość, że 17 września przeszli granicę bolszewicy, przygotowaliśmy obronę od wschodu. Natomiast bolszewicy przeszli przez Niemen w Mostach i weszli od strony Wołkowyska, czyli od zachodu. A przeprowadzili ich grodzieńscy komuniści, którzy puciekali do Rosji sowieckiej: Lipszyc, Abraszkin i Margolis. Wjechali na czołgach sowieckich.

Młodzież w Grodnie walczyła bardzo dzielnie. My nie walczyliśmy o to, że my zwyciężymy. Tylko chcieliśmy z honorem. Nie tak jak Białorusini, komuniści, Żydzi – spotykali z kwiatami. Chyba 10 czołgów było unieszkodliwionych w Grodnie. I czym? Butelkami, granatami. Żal patrzeć było na żołnierzy sowieckich. W trzewikach takich, bucikach szli na gumowej podeszwie. Spodnie granatowe, karabiny na sznurkach. Boże! To było okropne! To nie było wojsko. To była masa. Mnie opowiadał taki porucznik Jarocki z Grodna, że w 1920 r. on miał dwa karabiny maszynowe na jakimś moście i w krzyżowy ogień. Bolszewicy szli, szli, a oni siekli. I mówi: „Kupa trupów była, a oni przez nich szli, szli naprzód”. I to samo było teraz, podczas tej wojny.

Po zdobyciu już Grodna chłopcy poszli na Litwę. Ja nic ze sobą nie

miałem - ani bielizny, ani grosza przy sobie, więc przedarłem się na wieś do ojca. Ponieważ ojciec bardzo dobrze żył z Białorusinami, to na razie ojca nie ruszali. Ja przyszedłem do domu, ale na razie półoficjalnie, tak nie bardzo pokazywałem się. Brat skończył dywizyjny kurs podchorążych rezerwy w Grodnie i on wrócił spod Poznania.

W styczniu 1940 r. nasz kolega przeprowadził swoją całą rodzinę za granicę, do Generalnego Gubernatorstwa. No i mnie przeprowadził również. Brata złapali na granicy, a ja przeszedłem do Warszawy. Potem na wsi u gospodarza pracowałem do '41 roku. I wróciłem pod Grodno. Z Warszawy dostawałem te *Biuletyny Informacyjne*, gazetki. Chodziłem tam, spotykałem swoich szkolnych kolegów.

Trzeba przyznać, że przede wszystkim, początki konspiracji u nas to ludzie, którzy mieli pewne przysposobienie wojskowe. Harcerstwo bardzo dobrze szkoliło. To kurs, można powiedzieć, podoficerski. Przysposobienie wojskowe. Ostre strzelanie. Trzeba wiedzieć, jak celownik postawić, jak odległość zmierzyć. To jest podstawa.

No i tak się zaczęło, że w 1942 r., 2 lutego, na Matki Boskiej Gromnicznej złożyłem przysięgę. Przyjechał do mnie pan, zawołał do pokoju u nas w domu i mówi: „Ja chcę ciebie zaprzysiężyć do Armii Krajowej”. Jeszcze wtedy ZWZ było. No i ja

pamiętam jeszcze rotę przysięgi, że „będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, a o jej wyzwolenie będę walczyć z bronią w ręku”. On mnie mówi: „Przyjmuję cię w szeregi walczących z bronią w ręku. Nagrodą twoją będzie zwycięstwo. A zdrada karana będzie śmiercią”.

Potem sierżant Bortkiewicz mianował mnie kapralem. Coś po czterech czy pięciu miesiącach dali mnie na podchorążówkę AK. I potem do Kedywu. Moim dowódcą był Zdzisław Jarosz, pseudonim „Czarny”. Przeszedłem szkolenie dywersyjne.

Pod naszą opieką była linia kolejowa Grodno-Białystok i drogi dojazdowe, szosy i droga Grodno-Druskienniki. Tereny bardzo dobrze mi znane. Przede wszystkim tu musiał być dokładny wywiad. Bez wywiadu nic nie mogło być. Jeżeli jest transport samochodowy, trzeba było unieszkodliwić jak najmniejsze ofiary. Bardzo skuteczne były liny stalowe. Na skos przez drogę przeciągnąć linę. To wieczorem się robiło. Jechał samochód, liny nie widać i jego lina od razu ściągała do rowu. No troszkę tam postrzelało się.

Natomiast więcej było akcji na *liegenschafty*. Czyli na te majątki, którymi zarządzali Niemcy. Bo Niemcy czuli się panami. U jednego Niemca wisiał pejcz na drzewie przed domem. Wyciągnęliśmy tego Niemca, wyprowadzili przed dom, wzięli ten pejcz i jemu wsypali. Na każdej takiej wyprawie zawsze trzeba było

coś zgubić ruskiego - bo sowieckie ubrania, tych mundurów, tych pilotek, tych furazerek z gwiazdami i bluz sowieckich pełno było - żeby ludność polska nie odpowiadała za te represje.

Pod koniec wojny Niemcy uciekali na Prusy Wschodnie. My za mało mieliśmy siły we trzech, żeby z wojskiem walczyć. My raczej te urzędy cywilne atakowaliśmy. Niemcy uciekali samochodami, furmankami. Cały dobytek, który tu zdobyli, wywozili do Prus Wschodnich. I my staraliśmy się przeszkodzić i zatrzymać to. Rozdawaliśmy to ludziom miejscowym. Powiedzmy, zatrzymaliśmy kilka furmanek. Niemiec jechał ze swoimi furmanami. Naładowane było. Zatrzymywało się Niemca, dawaliśmy dobrze w skórę jemu. I do lasu. Ludzie do domu, a wozy te wszystkie na wieś. „Ludzie, rozbierajcie to sobie”. Takie były rozkazy.

W 1944 r., kiedy 1 sierpnia wybuchło powstanie, nas było trzech. Ja oczywiście byłem drużynowym. I my postanowiliśmy iść na pomoc do Warszawy. I szliśmy drogą w stronę Białegostoku, a w Korycinie nas zatrzymał patrol. „Dokąd wy idziecie?” - spytał. „Co wy za jedni?”. I pytali się, czy my nie AK, nie od Andersa. A mnie się kojarzyło: andrus, czyli baciary [łobuz, włóczęga - przyp. red.]. Mówię: „Jakie my baciary? Jakie my andrusy? My Niemców biliśmy”. „A dokąd idziecie?”. „Do Białegostoku, do Wojska Polskiego. Do Ludowego Wojska Polskiego”. „No dobrze, wy idźcie”. Ale

nas rozbroili. My nie poszliśmy już na Białystok, tylko skierowaliśmy się w stronę Janowa.

Między Korycinem a Janowem był majątek rozparcelowany Wilkendorf, gdzie mieszkał naszego sąsiada brat. Jakiś czas pracowaliśmy u nich. No, ale trzeba przyznać, że polska milicja już wtedy była zorganizowana. I NKWD. Zaczęli penetrować, więc poszliśmy. Lasy państwowe koło Krynek. Tam taka była osada Markowy Wygon. Mieszkał tam znajomy i ja do niego poszedłem. No cóż. W lesie, gospodarka nieduża. Opał? Pojechaliśmy do lasu, sosnę ścięliśmy, już jest opał. Nie ma mięsa? Karabin, poszedł, zastrzelił albo dzika, albo jakiegoś tam koziołka. I tak byliśmy.

W 1944 r., w grudniu, my we trzech przeszliśmy granicę i zorganizowaliśmy jeszcze tam kilku naszych tych akowców i wypuściliśmy jeden areszt. To było na Sylwestra, bo służba więzienna, ta milicja, pijani leżeli. Zamki z karabinów powyciągaliśmy, otworzyliśmy więzienie, no i wypuściliśmy tych [osadzonych - przyp. red.]. Szczęśliwi wróciliśmy z powrotem.

W lipcu w '45 roku ja przeszedłem granicę, też z dwoma jeszcze kolegami. Miałem pewne polecenie, bo tam jeden Polak wysługiwał się bolszewikom. Niektórych tam prześladował, więc my mieliśmy zobaczyć, względnie nastraszyć albo zlikwidować. Taki był rozkaz. I gdy przechodziłem przez granicę, mnie

przypadkowo złapali 3 sierpnia, na kolonii jednej. Akurat ta armia Rokossowskiego wycofywała się i przeczyszczała teren. Tych różnych dezertów łapała wszystkich. I ja tak zostałem aresztowany.

Ze mną siedział ksiądz Nurkowski z Zabłocia i on powiedział: „Słuchaj. Nikogo z AK nie znasz i w ogóle żadnych nazwisk nie podawaj, bo to będzie cały łańcuch. Ty nie masz pojęcia, jak oni się obchodzą. Ja nie mam ani jednego zęba. Żebra połamane”. Najpierw szła taka cielesna obróbka, a potem pytania. Bicie. Kopanie. Żebra mam połamane. Przesłuchiwał zawsze jeden. Takie śledztwo było. Ja byłem bardzo wychudzony. Zmaltretowany byłem do ostatka. To było rzeczywiście, jak gdyby worek od człowieka został tylko. Samo opakowanie. W jednej celi siedziało 20 osób w pojedynce. Spaliśmy na śledzia, na komendę, na lewo, na prawo.

Zarzucili mi, że ja współpracowałem z Niemcami w walce z sowieckimi partyzantami. Oni akowców zawsze oskarżali, że oni wspomagali Niemców w walce z bolszewikami. To im pozwoliło dać mi piętnaście lat katorgi.

W Grodnie było najgorzej pod śledztwem. Potem siedziałem w Moskwie w Butyrce dwa tygodnie, a potem na Krasnej Preśni. Następnie zawieźli nas na stację, wsadzili do wagonu-więźniarki i jechaliśmy do Workuty. To był wagon metalowy, zakratowany, z lewej strony duże

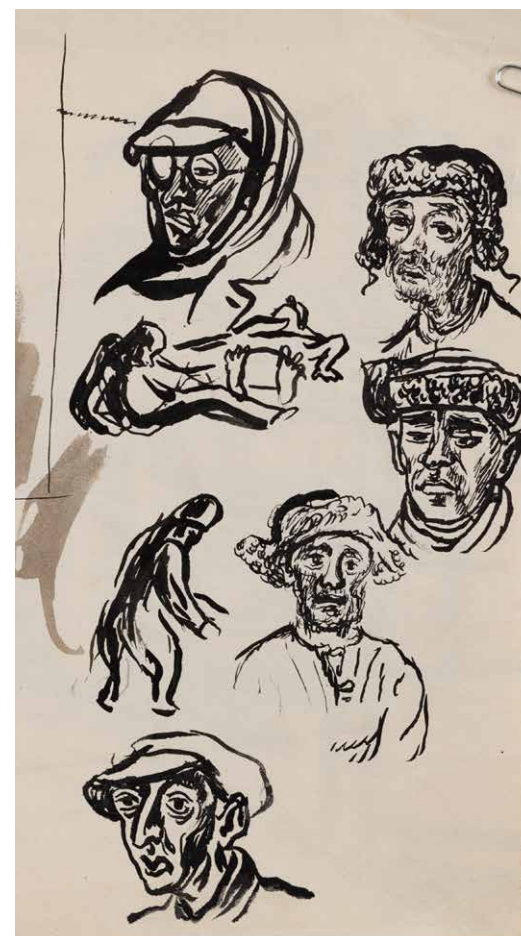
okna były i korytarz. I cele były. Nas w jednej takiej celi było około 20 osób. Na górze leżeli, na dole na siedzeniach siedzieliśmy i jeszcze pod tymi siedzeniami leżeli chłopcy. Nie było miejsca. Karmili nas główkami takiej drobnej rybki, solona strasznie. Ona śmierdząca była, zepsuta. Ja jej nie jadłem. Chleb. Szklanka wody zimnej z tendra, z lokomotywy. I łyżeczka cukru.

Po podróży, przyjechaliśmy na Workutę 24 grudnia 1945 r. Po pierwsze, przestrzeń, powietrze. 37 stopni mrozu było. Posadzili na torach nas. Ja miałem ze sobą koc i nakryłem na głowę. Potem zaprowadzili do baraku. Kazali nam na ubraniu naszyć łatki białe. Wypisali numery. Ja miałem najpierw numer 359. Potem obiad do stołówki. Obozowa zupa, to wiadomo, jaka była. Troszkę kaszy jakiejś jęczmiennej było tam. Woda. Kartofli nie było, bo kartofle zmarznięte były. No i chleb. Bo tak, pierwszy kocioł – 450 gram chleba. A karny – 350. Lepszy kocioł – drugi. Tam już koło pół kilo chleba. Proszę pana, ten, który nie palił, przeżył, bo zjadał to wszystko. Najgorzej ci palacze, którzy palili i chleb sprzedawali za machorkę. Mało kto z nich przeżył.

Spać na deskach, gołe prycze. Po kwarantannie już brygady i do pracy. Wyprowadzili nas w tundrę odkopywać śnieg i budować stadion koło miasta. Śniegu było bardzo dużo. Łopatami odkopywaliśmy śnieg. Potem dużo drzewa było. Palili ogniska,

łomy żelazne nagrzewali w ognisku i w ziemi robili dziury tymi gorącymi łomami. Potem amonit i wysadzali to.

Z początku 8 godzin pracowało się. Może więcej. Zresztą, kto tam widział zegarek jakiś. Słońce nie wschodziło zimą, a latem nie zachodziło. Białe noce. Pierwsze miesiące najtrudniejsze były, a potem jakoś tak człowiek sobie poradził. Trzeba przyznać, że w każdych warunkach człowiek potrafi się przyzwyczaić, przystosować. W każdych warunkach. Nawet w najgorszych.



Coś po dwóch tygodniach – ja byłem bardzo słabutki, tylko z łopata chodziłem i odkopywałem śnieg – przyszedł mierniczy i postawił niwelator. W trójnogu. A u nas w ‘35 roku była komasacja – scalenie gruntów i mieszkał u nas mierniczy i on mnie pokazał, na jakiej zasadzie działa niwelator. Więc, jak ja zobaczyłem, że on wetknął, ale nie rozstawił, to ja rozstawiłem i reguluję nóżkami. Ustawiam poziomnicę. Mierniczy przyszedł i mnie tak za ramię: „Co? Znasz się na tym?”. Ja: „Nie, nie, nie”. „Ty się znasz na tym, będziesz u mnie pracował”. Dwa miesiące u niego odkopywałem. Zachorowałem na anginę i dostałem się do szpitala. To już było pod koniec 1946 r.

Ja byłem chory dwukrotnie na anginę. I mnie pierwszy raz przycinał te migdałki, profesor Katlaps, Łotysz. Aspiryna to było lekarstwo jedyne. Potem doktor Bielecki mnie wziął jako sanitariusza – gorączkę mierzyć, lekarstwa roznosić. Ja tam 2 miesiące u niego byłem i najgorsze te miesiące zimowe przetrwałem. Chodziłem ja z termometrem, gorączki mierzyłem i zapisywałem na desce, papieru nie było.

U nas w obozie byli tak: Litwini, Łotysze, Estończycy. Jeden był Węgier. Ukraińców bardzo dużo było. Litwinów dużo było. My, Polacy trzymaliśmy się razem. Pisaliśmy grypsy, cały czas! My mieliśmy bardzo dobre kontakty, śpiewaliśmy, chodziliśmy. Rosjanie mówili: „Pan

za pana chowaj się!”. A my: „Gdzie morda, tam żopa, powiernys!”, czyli w tył zwrot. I oni odchodzili, nic nie mówili. Takie przycinki były, ale to było nieszkodliwe.

Bardzo dużo osób wymarło. Kto kopał dół temu nieboszczykowi? Wywieźli w tundrę, wyrzucali w śnieg. Do dużego palca przywiązywali deseczkę taką i był wypisany numer.

Ja ani w szachy, ani w warcaby, ani w domino, ani w karty nigdy nie grałem. Bo ja widziałem, jak ostatnie rzeczy przegrywali w karty, nawet głowy.

Ja byłem wychowany w duchu patriotycznym i religijnym. Z całą pewnością mogę powiedzieć, że dzięki modlitwie mojej mamy ja przeżyłem obóz. To była jedna z podstawowych rzeczy. Tam na Workucie zrobiłem ryngraf. Dostałem obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, pięknie to w ebonit oprawiłem i załaziłem w bakelitowy lakier. To przezroczyście, tak troszkę taki kolor wiśniowy był. A żona narysowała orła. Ja z drugiej strony orła założyłem. Podarowałem mamie swojej. Ona trafiła do Kazachstanu na 4 lata w 1951 r., od razu po śmierci ojca. Strasznie go męczyli, bo był kułak, czyli bogaty. I oni musieli kułaka tego zniszczyć. I okładali różnymi kontyngentami, podatkami. Nabawił się choroby jakiejś i zmarł. Nie przetrzymał tego. Wtedy mamę wywieźli do Kazachstanu.

Po tym obozie nas dali na 25 kopalnię. My tam pobyliśmy tydzień

i przewieźli w tundrę, gdzie tylko palik był zabity. Tam miał być szyb kopalni 26. I ja tam przepracowałem około dwóch lat. Potem przenieśli mnie do Rieczłagu. Kiedy mnie tam dali, poszedłem pracować do elektrocechu jako elektryk. Tam nie można było ubrania cywilnego nosić i pieniędzy nie było. Nawet na znaczki. Dwa razy do roku list i to przy dobrej pracy. Wypisywali bony. Czyli, powiedzmy, jeżeli ja dostałem 100 rubli, to musiałem od razu na te 100 rubli kupić wszystko w obozowym sklepiu. Najczęściej to prawie nic tam nie było. Musiało się kupić jakieś tam konserwy rybne czy jakieś przetwory z jarzyn. Potem już, po śmierci Stalina, dawali nam pieniądze. I była stołówka komercyjna.

Zapisałem się do technikum górniczego. To nie było prawdziwe technikum górnicze. To był kurs tzw. *otwietstwiennika*, czyli człowieka, który odpowiada za swoją pracę. Jeżeli ja nieświadomie zrobię jakąś awarię na kopalni, to mnie nie mają prawa sądzić, ale jeżeli ja jestem przeszkolony w tym fachu i zrobię awarię, a, to mnie mają prawo sądzić, bo ja specjalnie zrobiłem dywersję. Po ukończeniu technikum to już był 1953 rok, śmierć Stalina i zaczęli zwalniać. Główny energetyk zwalnia się i jedzie do Donbasu, a Skiera, starszy elektryk, który był naszym naczelnikiem, on idzie na energetyka. Ja jako technik jestem na stanowisku. I jeszcze mam 15 lat

katorgi. Trzy kopalnie: 9, 10 i 11 i wentylacyjny szyb, to 2 kilometry za kopalnią, ja muszę mieć przepustkę [żeby tam jeździć - przyp. red.]. Dali mnie przepustkę. Mieszkalem na posiołku, w jurcie takiej. Miałem telefon. Kupiłem sobie motocykl jednośladowy - używanego Iża. Od razu nawiązałem kontakty z obozami. Najpierw aparat zrobiliśmy, a potem ja przyniosłem go do obozu i robiliśmy zdjęcia.

Zaczęliśmy jedni drugich w odwiedziny chodzić. Ja zacząłem wozić grypsy do obozu kobiecego, 14 kilometrów od naszego. Moja żona, plastik, ona miała przepustkę również i ja do niej woziłem grypsy, a ona nosiła do obozu dziewczynkom. Bardzo dużo było akowców z Wilna i wilnianki też tam siedziały. I tak u nas nawiązała się znajomość z moją przyszłą żoną.

Mnie złapał tak zwany *operupolnomoczennyj*, to taki śledczy, który śledził nas na każdym kroku, poza obozem. I on powiedział tak: „Jeżeli podpiszesz ze mną współpracę, to wszystko będzie dobrze, a jeżeli nie podpiszesz, ja ciebie zamknę do obozu, bo ty jesteś bardzo operatywny. Ty bywasz po wszystkich obozach. Ja ciebie zamknę!”. Pojechałem na cegielnię i mojej żonie przyszłej już opowiadam: „Jeżeli ja w przyszłą sobotę nie przyjadę, ja jestem zamknięty. Mnie werbuje już na współpracę. Przecież ja nie mogę się zgodzić na to!”. Przybiegła

dziewczynka z poczty, bo szukała mnie. Zawsze mówiłem, gdzie ja jestem, żeby w każdej chwili można było skontaktować się ze mną. Bo główny inżynier kopalni miał prawo wyłączyć, ale na włączenie prawa nie miał. Tylko ja miałem prawo włączyć wysokie napięcie. No i szukała mnie do telefonu. Ja przychodzę, dzwonię do elektrocechu, a ten mówi: „Dzwonił naczelnik, [odsyła - przyp. red.] was na zwolnienie”. To była sobota, w biurach krótki dzień, póki ja przyjadę, to już będzie zamknięte.

Czyli, jak jest zwolnienie, to będzie w poniedziałek. Kupiłem szampan, tam jeszcze jakieś słodycze, przyszedłem, a tam dziewczyny wszystkie zbiegły się. „Co, Gienek! Co takiego! To nie może być!”. Ja mówię: „No nie wiem”. No i w poniedziałek przyszedłem, dostałem tak zwany *obchodnoj list* [obiegówka - przyp. red.]. Ja to wszystko podpisałem, poszedłem do naczelnika obozu, ten mnie podpisał, wychodzę, a ten sam *operupolnomoczennyj*, który mnie werbował: „No, no, zachodzi. Będziem kończyć rozmowę!”. A ja mówię: „Ja już do was nie pójde!”. Pokazuję ja jemu. A on aż zzieleniał. „No! Ty z moich rąk wykręciłeś się!”.

No teraz, żeby gdzieś jechać, to trzeba paszport. Poszedłem. On mówi tak: „My mamy rozkaz łączyć rodziny. Twoja matka w Kazachstanie. Albo ty do Kazachstanu, albo ona tutaj!”. A ja mówię: „Moja mama już jest w domu!”. „Dobrze, przyjdiesz

jutro”. No i dają mnie paszport czysty do Grodna i 1 maja ja jestem w Grodnie. Spotyka mnie siostra, szwagier, stryjek z Czelabińska przyjechał, wrócił z zsyłki. Pojechałem zobaczyć mamę. Pobyłem tam 10 dni, ale narzeczoną moja – już my byliśmy po słowie z narzeczoną – dała mi adres swojej matki, a ja we Lwowie nigdy nie byłem. Przyjechałem. Najpierw Cmentarz Obrońców Lwowa, potem Wysoki Zamek. Tu dwa dni pobyłem i dostałem telegram. Z kopalni główny mechanik mnie wyzywa: „Montaż zaczynamy.” No, matka żony dała dwa worki gruszek, jabłek, tego wszystkiego. Załadowali do pociągu. Przyjechałem na Workutę. Pojechałem tam na cegielnię, do narzeczonej. W sobotę przyjechałem, a w poniedziałek do pracy – montaż. I ja tak przepracowałem – już jako wolny – do 1957 r.

W 1956 r., 11 listopada – ona jeszcze jako katorżanka, a ja już jako wolny – wzięliśmy ślub. No, mieszkaliśmy razem na posiołku. Ona z przepustką, tylko co pewien czas meldowała się u siebie w obozie. Żona nigdy nie pisała żadnych skarg – bo to nic nie daje – więc ja zaprosiłem 3 kolegów, którzy znali prawo i przeprowadzili śledztwo. Zobaczyli, że dużo nieścisłości jest i 25 lat wyroku zmienili na 10, a ona już 11 odpracowała i ją zwolnili.

Wzięliśmy paszporty i przyjechaliśmy do Lwowa. Udało się zameldować. Byliśmy jednak najpierw

nastawieni, żeby do Polski jechać. Ale kiedy myśmy przyjechali tutaj, matka żony powiedziała tak: „My z mężem wybudowaliśmy ten dom. I tu jest moje miejsce. Chcesz? Sprzedaj. Wyjeżdżajcie. Ja tu zostanę!”. Moja mama powiedziała „Chcesz? Jedź. Ja nie pojadę nigdzie. Tu leży twój ojciec, mój mąż. Tu leży mój ojciec i tu moje miejsce!”. Jeszcze matka żony powiedziała: „A Rota? Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród. Chcecie jechać? Uciekajcie!”. Czy my mieliśmy prawo wyjechać? No nie.

Pracowałem tutaj najpierw w POM-ie. To 40 kilometrów, w majątku hrabiego Dzieduszyckiego. Jako energetyk. A potem przeszedłem do Lwowa. Pracowałem w Laboratorium Przyrządów Elektropomiarowych. Cechowałem, sprawdzałem wszystkie przyrządy te. To do mnie należało. I po ukończeniu 60 lat przeszedłem na emeryturę. Był taki inżynier Bobrowski, który postanowił zająć się Cmentarzem Obrońców Lwowa i od pierwszego dnia ja tam zacząłem pracować społecznie.

Okręg Nowogródzki AK



ANTONI SKRENDO PS. „LIS”

Antoni Skrendo przyszedł na świat 23.03.1926 r. w Lubczu w powiecie Nowogródek województwa nowogródzkiego. Pod koniec 1943 r. wstąpił do Armii Krajowej i służył w Okręgu Nowogródzkim Armii Krajowej – w 4 batalionie 77 Pułku Piechoty AK pod dowództwem ppor. Czesława Zajączkowskiego (ps. „Ragner”). W czerwcu i lipcu 1944 r. maszerował w kierunku na Wilno, lecz w obawie przed aresztowaniem skrył się u swojej cioci w miejscowości Ruda. Tam 28.11.1944 r. został odnaleziony i aresztowany w czasie obławy przez NKWD. Więziony w Nowogródku i Orszy. Sądzony według Kodeksu Karnego BSSR skazany został na 10 lat łagrów i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich za zdradę ojczyzny. Trafił do łagrów położonych na dalekim wschodzie ZSRR: Nachodka,

Magadan, Indygirka. 27.10.1952 r. został zwolniony z obozu, lecz nie mógł wrócić do Kraju. Do 1955 r. przebywał na zesłaniu, pracując w miejscowości Orotukan w obwodzie magadańskim. 15.10.1955 r. otrzymał pozwolenie na powrót do Polski i 03.12.1955 r. przekroczył granicę w Przemyślu. Zamieszkał wraz z rodziną w Zielonej Górze, gdzie pracował m.in. jako elektryk.

WSPOMNIENIA¹

Rok 1939. Wypoczęci, opaleni, z głowami wypełnionymi jeszcze wakacyjnymi pomysłami psot i figli udaliśmy się rano 1 września 1939 r. do szkoły. Niestety, okazało się, że

¹ Wspomnienia pochodzą z nr 3(48)/2008 *Kwartalnika Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej*

w tym roku nauki nie rozpoczęliśmy. Dyrektor szkoły ogłosił, że wybuchła wojna i zajęcia szkolne zostały odwołane. Powiało grozą, chociaż my – psotne wyrostki – nie mieliśmy wówczas pojęcia o dramacie nastącej sytuacji. Słowo „wojna” było dla nas jedynie hasłem z dziecięcych zabaw. Czas przyszedł miał nas dopiero okrutnie doświadczyć i pokazać cały ogrom ludzkich nieszczęść i dramatów, nieszczęść i dramatów całych narodów.

Byłem wówczas (a raczej miałem być) uczniem klasy siódmej. Mieszkaliśmy wraz z rodzicami i rodzeństwem (trzy siostry: Marysia, Lodzia, Wanda) na terenach kresowych Polski w miasteczku Lubcza nad Niemnem. Po wybuchu wojny władza polska trwała do 17 września. Po upływie tego czasu wkroczyli Rosjanie. Na wiadomość o tym całą rodziną wyjechaliśmy do odległej o 30 km wsi Ruda, gdzie mieszkali rodzice mojej mamusi, Maria i Jan Urbanowiczowie. Mama zajęła się szyciem, a dzieci pomagały w gospodarstwie. Tatusia nie było z nami, gdyż już wcześniej, tj. 16 września schronił się na Litwie. Był on urzędnikiem państwowym i musiał uciekać przed żołnierzami radzieckimi.

Wkrótce nadeszła pierwsza wojenna zima, a NKWD zaczęło wywozić miejscową ludność na Sybir. Nam na szczęście udało się schronić przed wywiezieniem dzięki częstym zmianom miejsca zamieszkania.

Rok 1940. Mamusia w dalszym ciągu obszywała całą naszą rodzinę i okolicznych sąsiadów; dzieci pomagały w pracy na roli. Rok ten upłynął w miarę spokojnie. NKWD parę razy ponawiało próby wywiezienia nas na Sybir, jednak jak dotąd bezskutecznie. W porę ostrzeżenia korzystaliśmy z wcześniej już wypróbowanej metody obrony. Otóż dom dziadków stał tyłem do pobliskiego wiejskiego cmentarza. Na znak, że zbliża się NKWD udawało mi się zawsze czmychnąć tylnym oknem na cmentarz. W ten sposób przyszło mi wiele razy nocować na cmentarzu. Mamusia z siostrami w dalszym ciągu chroniły się przez częste zmiany adresu. Jednak w pewnym momencie to ciągle uciekanie zmęczyło je. Mamusia pogodziła się w myślach z perspektywą wywózki na Sybir i postanowiła dzielnie czekać na to, co los przyniesie.

Rok 1941. Wichry wojny zaczęły nas wciągać w rozszalałą już na dobre wojenną zawieruchę. Na trzy dni przed wybuchem wojny między Związkiem Radzieckim a hitlerowskimi Niemcami, tj. 19 czerwca, do naszego domu wkroczyło niespodziewanie NKWD. Mnie po raz któryś z rzędu udało się uciec tylnym oknem na pole i dalej do lasu. Niestety, Mamusię i dwie młodsze siostry – Lodzię i Wandę – NKWD aresztowało (najstarsza siostra Marysia w tym czasie przebywała w Wilnie. Miała tam pracę, a mieszkała u znajomych). Dali

im 2 godziny na spakowanie podręcznego bagażu i wiejskimi wozami przewieźli do stacji kolejowej Niemien. Następnie bydłocymi wagonami NKWD wywiozło moją rodzinę wraz z innymi aresztowanymi w głąb Rosji na Sybir (Altajski Kraj). Tak więc, mając 15 lat, zostałem nagle pozostawiony sam sobie, zdany na własny spryt, własną przebiegłość, własny rozsądek. Rozpocząłem moją własną wojnę, która zakończyła się dla mnie wielkim osobistym dramatem.

Również w tym roku, na drugi dzień po uderzeniu Niemiec na Związek Radziecki, tj. 22 czerwca, zginął zastrzelony o świcie mój Dziadek - Jan Urbanowicz. Doszło do tego w następujący sposób: dziadek codziennie rano wyganiał krowy na łąki. Tak też było i tego dnia. Tym razem jednak krowy pasły się na poboczu torów, po których spokojnie spacerował sobie dziadek. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że w tym momencie nadeszli Niemcy i zauważyli spacerującego dziadka. Krzyknęli parę razy, aby się usunął. Dziadek był już ponad osiemdziesięcioletnim starcem i nie dosłyszał niemieckich okrzyków, spokojnie dalej pasąc krowy. Niemcy puścili krótką serię z karabinu maszynowego. W taki sposób zginął mój dziadek, kończąc swe długie, pracowite życie.

Pod koniec 1942 r. powstała we wsi konspiracyjna placówka AK, która liczyła sobie ok. 15-20 chłopców. Zaraz na początku jej działalności

zostałem wciągnięty do konspiracji przez kolegów, którzy darzyli mnie zaufaniem. Główną siedzibą naszej placówki była kwatera, która znajdowała się we wsi Brzozówka oddalonej o 6 km od Rudy. W Brzozówce znajdowała się huta szkła, której właścicielem był pan Stohle. Nieco dalej, za Niemnem, było Hołdowo, gdzie mieścił się sztab 77 Nadniemeńskiego Pułku Piechoty AK. Na początku mojej konspiracyjnej pracy powierzono mi funkcję łącznika między Brzozówką a Hołdowem.

Rok 1943. Na przełomie lat 1942/1943 Niemcy z większą częstotliwością zaczęli przeprowadzać łapanki, co zmusiło naszą placówkę do wstąpienia do partyzantki, tj. do regularnego oddziału AK. Pod koniec roku zostaliśmy wysłani na dwa miesiące do kompanii szkoleniowej. Ze względu na konspirację zajęcia odbywały się w różnych miejscowościach. Po zakończeniu szkolenia zostałem wcielony do regularnej jednostki bojowej AK.

Rok 1944. Pod koniec lutego 1944 r., mając 17 lat, przeszedłem swój chrzest bojowy pod wsią Bogdanka. Było to starcie z policją białoruską, a chodziło w nim o pomoc dla polskich oddziałów przebijających się spod Nowogródka w kierunku Lidy, tj. na tereny działalności i wpływów AK. W skład tych oddziałów wchodził Polacy, którzy wcześniej byli zmuszeni do wstąpienia w szeregi niemieckiej policji. W końcu jednak sprzykrzyła

się im ta przykra służba i na umówiony znak rozbili swe oddziały, udając się w kierunku, idących im na pomoc, naszych oddziałów AK. W starciu zginęło dwóch partyzantów. Na drugi dzień po bitwie, nocą, łodziami i tratwami przeprawiliśmy się na prawy brzeg Niemna. Z Polaków, którzy rozbili Niemców, została utworzona samodzielna kompania pod nazwą „Bogdanka”. Dalsza działalność w AK polegała na tym, że razem z kolegami zdobywaliśmy broń, mundury, zajmowaliśmy się aprowizacją i strzeżeniem ludności cywilnej.

Pod koniec czerwca nasza kompania, licząca ok. 100 osób, otrzymała rozkaz wymarszu w kierunku Wilna. Marsz w kierunku Wilna trwał ok. 10 dni, gdyż w tym czasie panował duży ruch wśród Niemców, którzy wycofywali się. W odległości ok. 20 km od Wilna przekroczyliśmy linię frontu i tu nastąpiło powitanie z Rosjanami oraz postój. 17 lipca rano nieoczekiwana pobudka postawiła nas na nogi. Dostaliśmy rozkaz, aby udać się dalej w kierunku Wilna w celu koncentracji polskich oddziałów, ale już w drodze otrzymaliśmy wiadomość, która wzburzyła krew w naszych żyłach: Rosjanie rozbrajają polskie oddziały partyzanckie. Wówczas to nasz dowódca polecił nam, abyśmy się skupili w pobliskim lesie i zaproponował, że kto ma blisko rodzinę, niech uda się do domu, a pozostali mogą próbować przebić się przez Puszczyę Rudnicką do Warszawy. W tej sytuacji,

w kompanii pozostał pluton, w którym również i ja zostałem.

Po dotarciu do Puszczy Rudnickiej okazało się, że NKWD obstawiło już wszystkie przejścia w puszczy. O zamknięciu przejść dowiedzieliśmy się od polskich oddziałów wracających z puszczy i kierujących się w kierunku Wilna w celu poddania się. W tej sytuacji nie pozostawało nam nic innego jak dołączyć do innych polskich oddziałów. Dla mnie, dla osiemnastoletniego chłopca, wizja aresztowania i więzienia był straszna, a jej realność z każdą godziną przybliżała się coraz bardziej: im bliżej Wilna, tym bliżej więzienia. Wydawało mi się wtedy, że już nic gorszego nie może mnie spotkać w marszu do niewoli. Postanowiłem, że ucieknę, że nie pozwolę, aby mnie to piekło pochłonęło.

Tak więc ogarnięty strachem przed aresztowaniem lub rozstrzelaniem, uciekłem i udałem się do wsi Ruda nad Niemnem, gdzie ukrywałem się u cioci. W dniu 18 listopada w domu pojawiło się niespodziewanie NKWD, aresztowało mnie i osadziło w celi więziennej w Nowogródku. Tam też odbył się proces i wydano na mnie wyrok. Ciekawe jest to, że aresztowano mnie pod zarzutem zdrady ojczyzny z artykułu 63-1a Kodeksu Karnego BSSR. Był to zarzut bzdurny i wyspany z palca. Byłem Polakiem, a nie Białorusinem, urodziłem się w Polsce, zawsze mieszkalem na ziemiach polskich

i podlegałem prawu polskiemu, a nie białoruskiemu. Jednak NKWD miało już wcześniej dokładnie opracowane metody nękania i wykańczania ludzi pod płaszczykiem prawa i legalności tak, że na zewnątrz wszystko wydawało się być w jak najlepszej zgodzie z prawem. Tak więc, ponieważ nie można było mi postawić zarzutów o działalność przeciwko ZSRR, postawiono mi zarzut zdrady ojczyzny, gdyż moja Polska – tereny na których się wychowałem i ludzie, którzy na nich mieszkali – należała już do ZSRR. Uznany zostałem więc za więźnia politycznego, udowodniono mi zdradę ojczyzny i skazano na 10 lat pozbawienia wolności i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Wyrok został wydany w marcu 1945 r. przez Wojenny Trybunał Wojsk NKWD w Nowogródku. Cały proces odbywał się w celi więziennej i wyrok również mi oznajmiono w tym miejscu.

Tak więc rok 1945 stał się rokiem, w którym rozpoczęła się moja powojenna tułaczka. Wielu milionom ludzi przyniósł on zakończenie wojny, radość i szczęście z powrotu do domu, a dla wielu tysięcy Polaków stał się początkiem tragedii. Walcząc w AK, nie oczekiwaliśmy żadnych nagród i podziękowań, ale nie oczekiwaliśmy za to aresztowań, więzień, rozstrzelań i prześladowań. Dla wielu z nas ta wojna trwała jeszcze wiele lat po jej zakończeniu i całkiem nie liczyło się w niej to, że my również walczyliśmy o Polskę, o wolną Polskę dla

siebie i dla wielu swoich najbliższych.

Po otrzymaniu wyroku, jeszcze w tym samym miesiącu przewieziono nas do stacji kolejowej Nowojelnia. Tam załadowano nas w wagony pulmanowskie z zakratowanymi oknami i przewieziono do Orszy. Tam byłem więziony 2 miesiące. Spotkałem się tam z siostrą Marią, która za to, że była łączniczką AK również otrzymała wyrok 10 lat pozbawienia wolności. W tutejszym więzieniu zastała nas też wiadomość o zakończeniu wojny. Pod koniec maja ruszyliśmy w dalszą podróż, której kres był jeszcze bardzo odległy. Wszystkich mężczyzn załadowano w bydłowe wagony i stały się one naszym domem na półtora miesiąca. Tyle bowiem trwała podróż do Buchty Nachodki niedaleko Władywostoku. W czasie jej trwania byliśmy bardzo słabo odżywiani: otrzymywaliśmy jeden gorący posiłek raz na trzy dni, a podstawowym naszym menu była suszona ryba i chleb lub suchar popijane wodą. W tamtych czasach cieszyliśmy się i z tego. Każde jedzenie było lepsze niż dokuczliwy głód, który było nam dane niejednokrotnie dokładnie poznać. Na stacjach kolejowych mieliśmy czasem postoje i wtedy mogliśmy trochę pospacerować. Spacerowały się na placu otoczonym gęsto ustawionymi żołnierzami NKWD, co nie najlepiej wpływało na nasze nastroje i samopoczucie. Nie byliśmy przecież żadnymi przestępcami ani kryminalistami – byliśmy żołnierzami AK, co

brzmiało tak dumnie, tyle tylko, że wyłącznie dla nas.

W Buchcie Nachodce zakwaterowano nas na dwa tygodnie w tamtejszym obozie. Po upływie tego czasu kontynuowaliśmy podróż pod pokładem statku „Sowietskaja Gawań”. Była to mordercza podróż, chociaż trwała tylko 7 dni. Był to przecież środek lata (przełom lipca i sierpnia), a więc pod pokładem było duszno, parno, gorąco. Podróż jeszcze bardziej czynił dokuczliwą ciągły brak pitnej wody, którą nam dawano w bardzo ograniczonych ilościach. Na pokład wypuszczano nas tylko raz dziennie i to tylko po to, abyśmy się mogli załatwić w prowizorycznej latrynie ustawionej na ten czas na pokładzie. Zauważyłem wówczas, że na pokładzie były ustawione działa przeciwlotnicze.

Morską część podróży zakończyliśmy w Magadanie na Kołymie. Poddano nas tam badaniom lekarskim, umundurowano w ubrania więzienne i ruszyliśmy dalej w drogę. Tym razem samochodami, a jechaliśmy „tylko” 3 dni. W ten sposób dotarliśmy na Indigirkę, gdzie był kres naszej długotrwałej podróży. Ku naszemu zdziwieniu nie było tam żadnego obozu, jedynie teren otoczony drutem kolczastym i namioty. Obóz mieliśmy dopiero stworzyć my – więźniowie, sami dla siebie. Podzielono nas na dwie grupy: jedna grupa otrzymała jako główne zadanie budowę baraków, a druga zajęła się wydobywaniem złota w kopalni

odkrywkowej. Najgorsza i najcięższa praca była w kopalni w okresie zimowym. Pracowaliśmy wówczas przy mrozach -50 st. C do -60 st. C i nic nas nie mogło zwolnić z tego obowiązku. Dopiero gdy temperatura przekroczyła magiczną liczbę -60 st. C nie szliśmy do pracy w kopalni. Nie oznaczało to, że nie będziemy pracować w ogóle. W takie dni szliśmy do lasu, aby zbierać opał do naszych baraków.

Na czym polegała praca w tej kopalni? W okresie od końca września do maja na obszarze 2-3 hektarów kopaliśmy tzw. „szufry”. Były to prostokątne doły rozstawione w odległości 3 m od siebie i o głębokości 2-3 m, tj. do głębokości zalegania warstwy złota. Gdy wszystkie były już gotowe w czterech rogach szurf zakładaliśmy ładunek wybuchowy i jednocześnie cały obszar był wysadzany. Odbywało się to zazwyczaj na przełomie kwietnia i maja. Następnie na wysadzony teren wjeżdżały spychacze i zgarniały ziemię. W pozostałe miesiące roku, tj. od maja do końca września wydobywaliśmy złoto na wcześniej już przygotowanym terenie. Przy przekroczeniu dziennej normy wydobycia podnoszono nam dzienną normę chleba do 800-1200 g dziennie; natomiast przy nie wyrobieniu normy (co zdarzało się bardzo często, o wiele częściej niż dni z przekroczeniem normy) normę dzienną chleba i kaszy obniżano.



Co się tyczy warunków higienicznych, to były one bardzo złe. Z początku musieliśmy spać w ubraniach dziennych. Dopiero po paru miesiącach wydano nam po jednym kocu, jednej powłoczce i jednej poduszce oraz worku do wypchania sianem. Nie dbano również o naszą kondycję fizyczną, gdyżienne racje żywnościowe były bardzo skąpe. Więźniowie z grupy wydobywającej złoto musieli po pracy iść jeszcze do lasu, gdzie rąbali i nosili drewniane bele na budowę baraków. Razem więc pracowaliśmy 14-16 godzin dziennie.

Będąc tak traktowani, byliśmy osłabieni i wycieńczeni, dodatkowo nękani jeszcze chorobami. Panowała wśród nas choroba zwana „cyngą”, która prawdopodobnie

była spowodowana brakiem witamin. Liczne były również przypadki „kurzej ślepoty”. Ludzie masowo umierali, a najwięcej zgonów było wśród inteligencji i ludzi starszych. Ja sam również ciężko chorowałem, wpadłem w anemię i przy wzroście 178 cm ważyłem zaledwie 36 kg. W tym obozie, o ile sobie przypominam, przebywałem nieco ponad rok.

Rok 1946. Jesienią z obozu w Indigirce przeniesiono mnie do innego obozu, 77 kilometrów w kierunku Magadanu, z zamiarem przyuczenia do zawodu hutnika szklarza. Byłem jednak za bardzo osłabiony, aby wykonać jakąkolwiek pracę i skierowano mnie do obozowego szpitala. Przebywałem w nim ok. pół roku, gdyż oprócz anemii leczono mi stopy,

odmrożone wcześniej w kopalni złota. Spotkałem tam pana Szapiro, bardzo życzliwego człowieka, który był Żydem polskiego pochodzenia. W 1939 r. musiał on uciekać przed Niemcami do Rosji, gdzie następnie był aresztowany jako szpieg i skazany na 10 lat więzienia. W szpitalu obozowym został mianowany kierownikiem gospodarczym i miał pewne wpływy. Dlatego też mógł mi pomóc w zaangażowaniu mnie w szpitalu, gdzie jako sanitariusz przepracowałem ok. 8 miesięcy. W tym czasie stan mojego zdrowia uległ znacznej poprawie, przytyłem i odzyskałem pełnię sił. Wobec tego ponownie skierowano mnie do pracy w odkrywkowych i głębokich kopalniach złota. Pracowałem również w fabryce przeróbki rudy złota i odzysku złota oraz przy chałupniczym wydobywaniu złota.

Po zakończeniu sezonu przyszedł rozkaz, aby oddzielić więźniów politycznych od kryminalnych, i dla więźniów politycznych (wśród których i ja byłem) stworzono odrębny obóz o zaostrzonym reżimie. Zaostrzony reżim przejawiał się m.in. w tym, że na noc zamykano nam baraki, a numery obozowe (mój numer 836) mieliśmy od tej pory wypisane w trzech miejscach: na czapce z przodu, z tyłu na kufajce i na jednej nogawce od spodni z przodu. Dojście do pracy, tym razem do głębokiej kopalni złota i powrót z niej, odbywał się pod wieloosobową eskortą uzbrojonych żołnierzy z psami.

W drodze powrotnej do obozu na portierni przeprowadzano rewizję osobistą i zabierano nam jedzenie. Otrzymywaliśmy je czasami od wolnonajemnych kolegów z kopalni, gdyż i tacy tam pracowali.

Głębinowa kopalnia złota miała ok. 100-120 m głębokości i usytuowana była równolegle do żyły złota. W samej kopalni było bardzo duszno i chociaż na dworze było -60 st. C, to w kopalni na głębokości 100 m była już temperatura dodatnia. Oczywiście nie było mowy o żadnych warunkach bezpiecznej pracy i każdą chwilę pracy ryzykowaliśmy własnym życiem. Dodatkowo pracowałem również przy wydobywaniu złota z wyrobisk pomaszynowych. Dawano nam korytka do ręcznego wypłukiwania złota, wypuszczano do wyrobisk pomaszynowych i tam ręcznie przepłukiwaliśmy złotonośny piasek, wyszukując grudki złota.

Tak więc w latach 1945-1952 byłem w wielu obozach i pracowałem w różnych kopalniach złota. Z perspektywy czasu jako najgorsze wspominam lata 1946-1947. Były to ciężkie lata, gdyż zapadłem na zdrowiu, a i psychiczna moja kondycja również była nie najlepsza. Byłem wówczas załamany, zawiedziony i rozczarowany, wątpiący w sens życia, wątpiący w to, że kiedykolwiek jeszcze nadejdą lepsze czasy. Udało mi się jednak zebrać wewnętrznie i przetrwać, chociaż wielu moich towarzyszy poddało się rozpacz. Wielu

spośród nich, pod wpływem całkowitego załamania dokonywało samo-okaleczeń (po to tylko, aby przez jakiś czas być zwolnionym z obowiązku wychodzenia do morderczej pracy) lub popełniało samobójstwo.

Pracując w wielu obozach i mając kontakt z różnymi ludźmi, napatrzyłem się na wiele ludzkich nieszczęść. Ciężka praca, złe odżywianie, brak nadziei na jakąkolwiek przyszłość powodowały obniżenie morale ludzi. Sprawily, że u wielu spośród nich zanikały wszelkie uczucia, a w świadomości trwał tylko jeden instynkt: instynkt przetrwania. Ludzie kierowali się nim i oczywisty zdaje się być fakt, że w stosunkach między więźniami nierzadko jedynym prawem było prawo dżungli. Sam osobiście doświadczyłem tego na sobie. Otóż, gdy staliśmy w kolejce po zupeł, podszedł do mnie wysoki, mocno zbudowany i dosyć dobrze umięśniony mężczyzna z żądaniem, abym go wpuścił przed siebie. Rzecz jasna, że odmówiłem, bo zgoda byłaby równoznaczna z możliwością pozostania bez obiadu w ogóle. Na moją odmowę zareagował błyskawicznie w ten sposób, że chwycił mnie za barki, uniósł w górę i rzucił prosto na wkopany w ziemię kołek. Poczułem ostry ból w lewym boku, który uporczywie powracał jeszcze przez wiele miesięcy od daty tego zajścia. Dużo później, będąc już w Polsce, podczas jednej z wizyt u lekarza, stwierdził on, że

w młodości miałem złamane jedno z lewych żeber.

Lata 1952-1955. Minęło już 8 lat od chwili mego uwięzienia, z czego ponad 7 spędziłem na Syberii na Kołymie. W miesiącu października 1952 poinformowano mnie, że za dobrą pracę, tj. systematyczne przekraczanie dziennych norm wydobywania, wyrok mój zmniejszono o 2 lata. Szczęście moje nie znało wówczas granic, tym bardziej, że było tak nieoczekiwane. Będę wolny! Nic innego nie mogło brzmieć w tym momencie piękniej. Niestety, przyszłość miała pokazać, jak złudna i krótka była to chwila szczęścia. Po wyjściu z łagru zawieziono nas (było nas więcej z taką rozbudzoną nadzieją na wolność) do powiatowego miasta Jagodnaja, gdzie była siedziba NKWD i oświadczono mi tam, że dodatkowo skazano mnie na zsyłkę na czas nieokreślony z określonym miejscem zamieszkania, gdzie miałem się meldować co dwa tygodnie w miejscowym organie NKWD. Nic gorszego nie mogłem w tym momencie usłyszeć. Do dzisiaj zadaję sobie pytanie, czy nie była to dodatkowa forma represji, takie psychiczne znęcanie się nad ludźmi. Wszystkie marzenia i plany na przyszłość, tak jak szybko powstały, tak momentalnie legły w gruzach.

Zesłano mnie na Daleką Północ do miejscowości Orotukan, niedaleko rzeki Kołyma, gdzie zostałem zatrudniony za wynagrodzeniem w Fabryce Naprawczej Urządzeń Górniczych.

Zakwaterowano mnie w hotelu robotniczym, gdzie mieszkalem w pokojach 20-osobowych. Ponieważ nie miałem żadnego zawodu (w momencie wybuchu wojny miałem przecież być uczniem klasy siódmej, a później już nie było możliwości nauki zawodu w ogóle) skierowano mnie do transportu fabrycznego. Nie dano mi jednak ani ubrania fabrycznego, ani też żadnej zaliczki pieniężnej na życie. Bez żadnej nadziei na przyszłość, bez pieniędzy, w jednym waciaku do pracy, na co dzień i na święto przeżywałem po raz drugi głęboki kryzys.

W tych trudnych chwilach spotkałem w fabryce kolegę z obozu, który otoczył mnie troskliwą opieką i udzielił szerokiej pomocy, na jaką tylko było go stać w tych warunkach. Kolega pracował tutaj już pół roku i miał pewne znajomości zarówno w fabryce, jak i w mieście. Mógł więc załatwić mi pracę, co też uczynił. Zostałem zatrudniony w Fabryce Budowy Maszyn i Urządzeń Energetycznych, która mieściła się w tym samym mieście. Kierownikiem fabryki była starsza pani. Darzyła ona więźniów politycznych szczerą sympatią i umożliwiła mi naukę zawodu elektryka-montera, bez odrywania się od pracy. Tak więc zostałem skierowany do wysoko wykwalifikowanego pracownika, z którym pracowałem i jednocześnie uczyłem się w szkole wieczorowej. Bardzo mi zależało, aby się czegoś nauczyć, zdobyć zawód, albowiem miałem już przecież 26 lat.

Moje starania zaowocowały, gdyż już po dwóch latach zostałem mianowany brygadzystą zespołu elektryków – elektromonterów, przydzielono mi samochód – warsztat i na podstawie przepustki mogłem jeździć po całej Kołymie, przeprowadzając wszelkie naprawy urządzeń energetycznych.

Tak więc jest rok 1955 – jest to już jedenasty rok od momentu, gdy mnie aresztowano, a trzeci na zsyłce. Uczęszczając do szkoły wieczorowej, zapoznałem się z oficerem frontowym NKWD, który również się dokształcał. Był to człowiek dobrego serca. Podpowiedział mi, abym zaczął czynić starania o wyjazd do Polski, w czym zresztą bardzo mi pomógł. Jednak warunkiem uzyskania zgody na taki wyjazd było udowodnienie, że się posiada rodzinę w Polsce, która z kolei musiała przysłać pisemne zapewnienie, że mnie przyjmie i da mi pełne utrzymanie po powrocie. Kontakt z rodziną, przebywającą po tułaczce syberyjskiej w Polsce w Zielonej Górze, nawiązałem już wcześniej i w tej chwili oczekiwałem na efekty działań ze strony mamusi i dwóch sióstr. Po dłuższym, beznadziejnym już oczekiwaniu, nadeszła wiadomość z NKWD, że w ciągu 24 godzin mam się rozliczyć z zakładem pracy i zameldować w wojewódzkim Urzędzie NKWD w Magadanie. Żadna, inna wiadomość nie była w tym momencie tak ważna. Marzyłem o niej przez tysiąc nocy i dni, i oto marzenia spełniły

się jak w najcudowniejszej bajce. Będę wolny, jestem wolny. Aż bałem się uwierzyć, że to prawda, że to nie sen. Ale tym razem los już nie zakpił sobie ze mnie tak, jak to było trzy lata temu i okazało się, że naprawdę będę wolny, że już jestem jedną nogą na wolności. Gdy przyjechałem do Magadanu okazało się, że jest nas więcej, bo ok. 150 osób, wyłącznie Polaków. Załadowano nas na statek towarowo-osobowy, o warunkach bardziej znośnych niż prawie jedenaście lat temu i ruszyliśmy w drogę powrotną, drogę do wolności.

Tym razem podróż z Magadanu do Buchty Nachodki trwała 6, a nie 5 dni, gdyż była akurat sztormowa pogoda. Była to jesień, koniec października, czas wiatrów i deszczów, wichur i burz. Muszę dodać, że gdy przybyliśmy do Buchty Nachodki, to witała nas orkiestra dęta. Przy dźwiękach orkiestry dętej żegnano nas także w Magadanie. Przypominam sobie, że był to zwyczaj często stosowany przez Rosjan. W niektórych kopalniach, w których dane było mi przebywać, orkiestry dęte żegnały i witały więźniów wychodzących do pracy w kopalni i powracających z niej.

W Buchcie Nachodce prosto z portu przewieziono nas do poczekalni na dworcu kolejowym, gdzie szybko urządzono dla nas prowizoryczny kiosk spożywczy. Był on świetnie zaopatrzony, wszystkiego było w bród (nawet owoce południowe),

ale zaopatrzyć w nim mogli się tylko i wyłącznie byli więźniowie polityczni (a byli to sami Polacy). Postój w dworcowej poczekalni trwał ok. 8 godzin. Po upływie tego czasu kontynuowaliśmy naszą podróż, tym razem pociągiem, a miejscem docelowym był Chabarowsk. W Chabarowsku znowu się zatrzymaliśmy, ale tym razem postój był dłuższy, bo trwający ok. 1 tygodnia, a czas upłynął nam na oczekiwaniu na rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. Mieszkaliśmy wówczas w hotelu wojsk NKWD. W dniu rocznicy byliśmy na placu defilad i oglądaliśmy defiladę. Pracując w kopalniach bądź w innych miejscach, każdy z nas musiał dobrowolnie – obowiązkowo przeznaczyć jedną pensję w roku na tzw. pożyczkę narodową, tj. na odbudowę kraju ze zniszczeń wojennych. W zamian otrzymywaliśmy wówczas obligacje, które teraz po zakończeniu obchodów rocznicy, wymieniano nam na pieniądze.

Czując się bogaczami, 10 listopada ruszyliśmy w dalszą podróż. Załadowano nas w wagony osobowe, które dołączono do pociągu towarowego. Podróż pociągiem trwała ok. 1 miesiąca i 10 dni. W czasie jej trwania otrzymywaliśmy codziennie na dworcach kolejowych jeden gorący posiłek. Pozostałe posiłki przygotowywaliśmy sobie sami i na ten cel wypłacano nam pieniądze w ilości 10 starych rubli dziennie. Z przygotowaniem posiłków nie było większych

problemów. Na każdej stacji kolejowej można było zaopatrzyć się we wrzątek, tzw. *kipiatok*, który był za darmo. Mogliśmy więc zaparzyć sobie herbatę lub sporządzić inny jakiś ciepły napój. Ponieważ posiadaliśmy suchy prowiant zakupiony za otrzymane wcześniej pieniądze, mogliśmy więc zjadać normalne posiłki.

W trakcie tej części podróży mieliśmy dwa razy nieoczekiwane wizyty. Pierwsza z nich była w Moskwie. Do pociągu wszedł przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wypytывał nas o to, jak przebiegała podróż, jakie mamy skargi i zażalenia. Towarzysze niedoli zgłaszali swoje uwagi, ale wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że była to tylko czysta formalność. Drugą, tym razem nocną wizytę odbieraliśmy przed Lwowem. Do pociągu wsiedli pracownicy NKWD i zażądali, abyśmy zwrócili wszystkie dokumenty związane z pobytem w obozach pracy i na zsyłce. Wolno nam był zatrzymać tylko dokumenty z pracy na wolności. Pozbawiono nas w ten sposób jakichkolwiek dokumentów z naszej męki i cierpień, możliwości żądania wyrównania krzywd moralnych i fizycznych, ukradziono nam po prostu po kilka (w moim przypadku aż 11) lat życia, a potraktowano nas i te fakty jakby ich w ogóle nie było.

Granicę przekraczaliśmy w Przemyślu. Płakaliśmy ze szczęścia i radości, że jesteśmy w kraju rodzinnym. Koledzy ściskali WOP-istów [w PRL

służba graniczna nazywała się Wojska Ochrony Pogranicza – przyp. red.] i całowali ziemię ojczystą. W Polsce otoczono nas troskliwą opieką. Wstępnie umieszczono nas w koszarach wojskowych w Przemyślu. Następnie zbadano nas szczegółowo i osoby wymagające leczenia skierowano do odpowiednich szpitali i sanatoriów. Kto nie miał rodziny, dostawał na własność ziemię lub inną materialną pomoc w zależności od zawodu i umiejętności. Wszyscy dostali po 1000 zł bezzwrotnej zapomogi i bezpłatne bilety do miejsc docelowych. Udałem się więc do najbliższej rodziny zamieszkałej w Zielonej Górze – było to 5 grudnia 1955 r. Jakie szczęśliwe i miłe były te chwile powitań! Byłem wolny, byłem wśród swoich, mogłem decydować sam o sobie i sam za siebie. Zamieszkałem u siostry Wandy, u której mieszkała też moja mamusia. Postanowiłem, że zostanę na stałe w Zielonej Górze. Trzy miesiące nie pracowałem, odpoczywałem i dochodziłem do siebie. Po upływie tego czasu podjąłem pracę w Wytwórni Wódek, gdzie przepracowałem 8 miesięcy. Następnie od 1 stycznia 1957 r. do połowy 1965 r. pracowałem w Przemyśle Terenowym na etacie elektryka. W drugiej połowie 1965 r. podjąłem pracę w Spółdzielni Pracy „Inspra”, w której przepracowałem do 1981 r., tj. do czasu pójścia na emeryturę.

Okręg Poleski AK



MJR NATALIA ZARZYCKA z d. ODYŃSKA PS. „JASKÓŁKA” „SFINKS”

Natalia Zarzycka przyszła na świat 27.07.1927 r. we wsi Hola w powiecie wołkowyskim woj. białostockiego. W 1933 r. rodzina przeprowadziła się do Brześcia nad Bugiem, gdzie zastała ich wojna i dwie okupacje – niemiecka i sowiecka. Od 9 roku życia była harcerką i już w maju 1942 r. wstąpiła do AK. Działała aktywnie jako wywiadowca, sanitariuszka oraz łączniczka pomiędzy 30 Pułkiem Piechoty AK w Okręgu Polesie a 27 Wołyńską Dywizją Piechoty. Po zakończeniu II wojny światowej, w okresie od stycznia 1946 r. do lipca 1948 r. działała w konspiracyjnej organizacji niepodległościowej Związek Obrońców Wolności w Brześciu. 28.07.1948 r. została aresztowana przez NKWD. Więziona kolejno w Brześciu, Moskwie i Kirowie. Za



przynależność do AK została skazana na 25 lat łagrów i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Więziona w obozach w Workucie Predsachtnaja i II Kirpicznij. Zwolniona została w grudniu 1955 r., lecz do Polski wróciła dopiero rok później, ze względu na zakaz wjazdu do Kraju. Po powrocie ukończyła studia wyższe na Wydziale Sławistyki UW i pracowała jako tłumacz jęz. rosyjskiego. W latach 1993-2001 Prezes Zarządu Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej, obecnie Prezes Honorowa Stowarzyszenia.

WSPOMNIENIA

Ja, Natalia Zarzycka z domu Odyńska, urodziłam się 27.07.1927 r. w Holi, wsi, która obecnie leży na terenie Białorusi. Byłam czwartym

z dziewięciorga dzieci Teodory i Feliksa Odyńskich. We wsi Hola mieszkaliśmy do 1933 r., a do przeprowadzki do Brześcia zmusiły nas nieurodzaje, które trwały od 1930 r.

Do szkoły podstawowej poszłam w wieku 6 lat, gdyż umiałam zarówno liczyć do tysiąca, jak i pisać i czytać. Przyjęli mnie do szkoły żeńskiej im. Marii Rodziewiczówny w Brześciu, do której uczęszczała już moja starsza siostra Irena. W 1939 r. byłam już gimnazjalistką, ale niestety nauki nie rozpoczęłam, gdyż wybuchła II wojna światowa. Miałam wówczas dwanaście lat i jeden miesiąc. Od trzech lat byłam harcerką. Od 1 września miałyśmy rozkaz nieść pomoc rannym mieszkańcom poszkodowanym podczas nalotów na Brześć nad Bugiem, który był miastem strategicznym.

Niemcy do Brześcia wkroczyli 12 września 1939 r. W tym samym dniu wróciliśmy ze wsi Motykały od Państwa Piwonich, u których „wegetowaliśmy” od 9 września w stodole. Ich dom „pękał w szwach” od uciekinierów z Brześcia. 12 września wróciliśmy do domu, który zastaliśmy w tragicznym stanie. Wyłamane drzwi wiszące na jednym zawiasie, powybijane szyby w oknach... okropny widok. W środku zostały tylko ciężkie, masywne meble, które ze względu na swój ciężar nie nadawały się do wyniesienia. Reszta naszego dobytku to było zaledwie to, co udało nam się wynieść na naszych grzbietach podczas ucieczki na wieś 9

września. Ów 9 września był to dzień bardzo ciężkiego nalotu na Brześć. Moi rodzice przed ucieczką ukryli niektóre cenne przedmioty oraz zapasy żywności w piwnicy, której 2 pary drzwi były zamykane na sztaby i podwójne zamki bardzo trudne do sforsowania. To nas uratowało, bo drzwi od piwnicy nie zostały sforsowane. I tak rozpoczęło się nasze życie w czasie okupacji niemieckiej od 12 września, a od 23 września 1939 r. w okupacji sowieckiej.

Sowieci wkroczyli do Brześcia 21 września, a dwa dni potem odbyła się słynna defilada Niemcy – Sowieci. Niemcy prezentowali się wspaniale. Dumnie, równym krokiem maszerowali w pięknych mundurach, czapkach i wypolerowanych butach. Sowieci natomiast wyglądali tak marnie, że na ich widok oniemieliśmy. Brudni, cuchnący i zaniebdani. Tak rozpoczęła się dwuletnia okupacja sowiecka.

Harcerze spotykali się od czasu do czasu. Dyskutowaliśmy o tym, jak przetrwać tę sowiecką okupację, jakie środki zapobiegawcze mamy zastosować, by zachować wiarę, język ojczysty i uratować wiele rodzin przed nędzą.

Od czerwca 1941 r., po napaści Niemiec na ZSRR rozpoczęła się okupacja niemiecka. Młodzież polska, zwłaszcza harcerze, a w tym i ja, pomagaliśmy ludziom biednym, często przymierającym głodem. Otwarto szkoły podstawowe

i gimnazja. Rozpoczęłam naukę w gimnazjum kupieckim. Nie dano mi skończyć pierwszego roku, ponieważ pewnego dnia Niemcy aresztowali wszystkich profesorów, a nam, uczniom, dali imienne skierowania do *Arbeitsamt-u*. Mnie skierowali do pracy w Zakładach Naprawczych Telefonów. Miałam wtedy 15 lat. Od razu włączyłam się do „małego sabotażu”, który polegał na tym, że kiedy niosłyśmy wyremontowane telefony polowe do składziku, to starałyśmy się co trzeci zepsuć. Kiedy one trafiały na front, to nie działały. Oprócz tego otrzymałam zlecenie obserwacji pociągów jadących na front wschodni. Warsztaty były usytuowane na „zapleczu” stacji Brześć Centralny. Wszystkie transporty jadące na front wschodni przejeżdżały przez tę stację. Miałam obserwować i liczyć pociągi z amunicją, sprzętem wojskowym i wojskiem.

Po kilku tygodniach zostałam zaprzysiężona i nadano mi ps. „Jaskółka”. Z upływem czasu powierzano mi coraz większe i bardziej odpowiedzialne zadania do wykonania. Zostałam łączniczką. Przewoziłam rozkazy, broń, amunicję oraz leki i środki opatrunkowe do Białegostoku, a stamtąd do punktów, „melin” w żargonie Armii Krajowej, rozsianych po wsiach. Będąc łączniczką, przetrwałam do 1943 r. Oprócz Białegostoku i pobliskich wsi, jeździłam na Wołyń do różnych miast. Wiele razy musiałam

wyskakiwać z pędzącego pociągu, ponieważ Niemcy na stacji urządzali „łapanki”. Jakimś cudem Ten w Niebiosach uchronił mnie i każdy mój „skok” kończył się dobrze.

W październiku 1943 r. SD aresztowało mojego starszego o dwa lata brata Stefana i moją Mamę. Mamę bardzo bili i katowali, ale ponieważ nic nie wiedziała o konspiracji Stefana i mojej, to nic im nie powiedziała. Po dwóch tygodniach ją zwolnili. Byłam wówczas w Białymstoku. Po powrocie, na dworcu czekała na mnie łączniczka, która powiedziała, że w domu jest „kocioł”. W ten „kocioł” wpadła moja siostra Irena i też została aresztowana. Irena miała bardzo dobre dokumenty, bo pracowała w niemieckim banku, znała biegle język niemiecki i nic nie wiedziała o naszej konspiracji, więc wypuszczono ją z więzienia po tygodniu.

Nie zastanawiając się długo, poszłam do oddalonej o 12 km od Brześcia wsi Motykały, do Państwa Piwonich, u których w 1939 r. obozowaliśmy w stodole. Mieli trzech synów i wszyscy należeli do AK. W ich posiadłości odbywały się szkolenia przyszłych partyzantów, szkolenia sanitariuszek i wiele innych AK-owskich przysposobień do przetrwania niemieckiej okupacji. Tam i ja zostałam przeszkolona w strzelaniu, obronie wręcz i doszkolono mnie w zakresie medycyny.

Pod koniec października 1943 r. nastąpił przerzut do partyzantki.

Znalazłam się na Białostocczyźnie w oddziale dowódcy ps. „Boruta”, ale po kilku dniach przerzucono mnie do oddziału komendanta ps. „Skorpion”. W jego oddziale byłam sanitariuszką przez 7 miesięcy. W tamtym czasie stoczyliśmy wiele bitew, uciekaliśmy przed „Szwabami”, przedzieraliśmy się przez lasy. Moim zadaniem było opatrywanie rannych, więc wywiązywałam się ze swoich obowiązków sumiennie. Dotarliśmy do Lasów Janowskich i podczas walki z Niemcami zostałam ranna. Przez 9 dni byłam nieprzytomna, a po trzech miesiącach wróciłam do domu w Brześciu.

Po 1945 r., po zakończeniu wojny i rozwiązaniu Armii Krajowej, młodzież polska na Polesiu spotykając się tak samo, jak za okupacji, rozmawiała o założeniu nowej formacji. Nie mogła się pogodzić z nową okupacją sowiecką, więc cały czas podejmowała działania związane z ruchem oporu. I tak w 1945 r. powstał Związek Obrońców Wolności, do którego również należałam i przyjęłam nowy pseudonim „Sfinks”. Celem organizacji było zachowanie polskości tych ziem, szerzenie świadomości narodowej, utrwalanie wartości kultury polskiej oraz nauczanie języka polskiego, historii i geografii. Naszym obowiązkiem było ratowanie polskich książek, które Sowieci palili w różnych miejscach w Brześciu.

Organizacja przetrwała do 1948 r., gdy miała miejsce duża „wsypa”. Aresztowano około dwóch

tysięcy młodzieży z ZOW-u, w tym mnie i mojego młodszego brata Jeremiego. Najpierw w urzędzie NKWD przeprowadzili śledztwo, potem nas torturowali, bili i znęcali się nad nami zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Po tygodniu bestialskich tortur przewieźli nas do więzienia w Brześciu, gdzie między lutym a czerwcem 1941 r. siedział mój Tata, jako obszar-nik i wróg ludu ze wschodniej Ukrainy. Zaczęło się nasze metodyczne, trzytorowe śledztwo: działalność podczas okupacji niemieckiej, działalność po wojnie (ZOW) i szpiegostwo. Dlaczego za szpiegostwo byliśmy przesłuchiwanie? Otóż mój starszy brat Stefan po powrocie z łagrów niemieckich poszedł na studia w Warszawie. Rodzice co jakiś czas przesyłali mu przez znajomego kolejarza pana Wereszczyńskiego złote carskie 10-cio rublowki. Po ich sprzedaży Stefan miał pieniądze na życie. Wielu Brześcian wyjechało do Polski i dzięki mojemu bratu i panu Wereszczyńskiemu mogli utrzymywać stały kontakt z bliskimi, którzy zostali w Brześciu. Pan Wereszczyński przewoził listy, a moi młodszy bracia roznosili je pod wskazane adresy. Ostatnia partia listów wpadła w ręce NKWD. Stefan został aresztowany przez UB w Warszawie, siedział na Rakowieckiej przez półtora roku, a UB-owcy próbowali mu wmówić, że był skrzynką kontaktową między nami a rządem w Londynie. Była to totalna bzdura. Zarówno ja, jak

i Jarek wypieraliśmy się szpiegostwa. Mojego brata wiele razy pobili tak dotkliwie, że nie mógł sam iść. Baliśmy się, bo w ZSRR za szpiegostwo rozstrzeliwali, a myśmy byli młodzi i chcieliśmy żyć.

Po kilku miesiącach nasze śledztwo dotyczące działalności okupacyjnej oraz ZOW zostało zakończone i jako jedni z pierwszych byliśmy z Jarkiem sądzeni przed Wojskowym Trybunałem NKWD Białoruskiej Republiki. Prawie wszyscy dostaliśmy po 25 lat pozbawienia wolności i po 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Niektórzy z nas, w tym i ja, mieli klauzulę „Wykorzystać wyłącznie przy ciężkich pracach fizycznych”.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 1948 r. wywieźli nas do Moskwy. Trafiłam do więzienia „Krasnaja Preśnia”. W nim był punkt przesylny. Spędziłam tam około dwóch tygodni. Początkowo wprowadzono nas do ogromnej celi, gdzie osadzone były tzw. *Blatnyje*, czyli recydywistki odsiadujące wyroki za kradzieże, zabójstwa i inne przestępstwa. Okradły nas ze wszystkiego, w co zaopatrzyły nas rodzice. Mało tego, każdą więzienną kaszę czy kromkę czerstwego chleba też nam zabierały. Na górnych pryczach siedziały nago wytatuowane „okazy” i grały w karty, a że nie miały pieniędzy, to grały o nas. Ta, która przegra, miała nas zamordować. To był koszmar! Na następny dzień, wynosząc „parasze” z ekskrementami całej celi, powiedziałam klawiszowi, że

jeśli nas nie przeniosą do celi, w której siedzą więźniarki sądzone za przestępstwa polityczne, to będzie kilka trupów. Opowiedziałam mu, że *blatnyje* nas okradły. Po godzinie do naszej celi weszło kilku funkcjonariuszy więziennych, a najstarszy rangą powiedział, że za minutę mają się przed nim znaleźć wszystkie nasze rzeczy, a jeśli nie, to zostanie na nie nałożony dwudniowy karcer o chlebie i wodzie. Za chwilę z górnych prycz leciały nasze ubrania. „A gdzie prowiant?” zapytał ten sam funkcjonariusz, a one „Zjadłyśmy!”. „To znaczy, że macie 5 dni karceru tylko o chlebie i wodzie” - odpowiedział. Zostałyśmy przeniesione do mniejszej celi, do więźniarek politycznych. Cisza, spokój. Dostałyśmy miejsca do spania na pryczy. W poprzedniej celi spałyśmy na zimnej, betonowej podłodze.

Po dwóch tygodniach przewieźli nas bydlęcymi wagonami na północ do Kirowa. Tu trafiłyśmy od razu do celi więźniarek politycznych. Po trzech tygodniach nastąpił kolejny etap i z Kirowa w bydlęcych wagonach, z dziurą w podłodze na załatwianie potrzeb fizjologicznych, wieźli nas dalej na północ. Karmiono nas słonymi śledziami. Dawali bardzo mało wody do picia, więc ludzie często mdleli z pragnienia.

W takich warunkach dojechalibyśmy do Workuty. Pociąg zatrzymał się. Rozpoczęto „sortowanie”. Mężczyźni na lewo, kobiety na prawo. Po uformowaniu kolumn, z workami

na plecach ruszyliśmy do „łagru przesylnego”. Jak długo maszerowaliśmy, nie pamiętam. Człowiek mierzy czas wschodem i zachodem słońca. Na Workucie na przełomie lutego i marca występuje zjawisko „czarnych nocy”, a więc mrok panuje 18 h, a dzień, tzn. półmrok ok. 5-ciu. Odmierzanie czasu nie było możliwe. Po dojściu do obozu, który pełnił funkcję punktu „przesylnego”, porozmieszczali nas w barakach. Mieliśmy tu czekać na etap do właściwego łagru. Kiedy weszliśmy do nich, to padliśmy na pryczach z kompletnego wycieńczenia. Po kilku dniach zaczęli wywoływać pojedyncze osoby z baraków. Znowu kazano uformować nam kolumnę i pod konwojem żołnierzy z bronią i psami ruszyliśmy do łagru. Kiedy do niego dotarliśmy moim oczom ukazał się ogrom śniegu. Wszystko było zasypane, moja wyobraźnia nie była na tyle wybujała, aby wyobrazić sobie wykopane w śniegu tunele, które były ścieżkami.

Po sprawdzeniu dokumentów, wpuszczono nas do łagru, gdzie nadal musieliśmy czekać na trzaskającym mrozie. Tupaliśmy, dreptaaliśmy, ruszaaliśmy się, aby nie zamarznąć. Wreszcie po długim czasie stania na tym mrozie, przyszła kobieta w mundurze i zaprowadziła nas do baraku. W każdym była tzw. *dniewalnaja*, czyli porządkowa, która była odpowiedzialna za palenie w piecach i sprzątanie. Zazwyczaj funkcje te

pełniły stare, schorowane kobiety, nie nadające się już do ciężkich robót fizycznych. Nowoprzybyłe więźniarki musiały stawić się na komisji lekarskiej. Byłam młoda, silna i jeszcze nie zagłodzona, więc dali mi najtrudniejszą kategorię pracy TFT („tiazolij fizyczny trud”). Otrzymałam łagierniczy mundur, czapkę uszatkę i walonki w rozmiarze 44, choć noszę 36. Do spania wydano nam cienki jak palec materac i koc do przykrycia. Łagier, do którego trafiłam nazywał się „Predsachtnaja”, co po polsku znaczy „przedkopalniana”.

Po otrzymaniu całego wyposażenia wróciłam do baraku, pościeliłam sobie pryczę i zasnęłam. Kiedy spałam, do baraku przyszła wyznaczona na brygadzystkę więźniarka i wyczytała nazwiska, w tym i moje, ale mnie to nie obudziło. Babcia *dniewalnaja* wzięła jednak sobie do serca opiekę nade mną, ponieważ obudziła mnie i powiedziała, że wszyscy poszli do stołówki na obiad. Wy tłumaczyła mi, jak do niej dotrzeć i poszłam. Dostałam ugotowaną na śledziowych głowach i ościach zupę zwaną *bałanda* i kilka krupinek. Zupa była tak ohydna, że nie dałam rady jej zjeść. Na drugie danie była kasza z naparstkiem oleju, śmierdzącego smarem do maszyn. Zastanawiałam się czy to zjeść, ale doszłam do wniosku, że jak nie będę nic jadła, to się wykończę. Zjadłam kaszę, ale bez oleju. Po powrocie do baraku zagrzebałam się w swoim wyrku i zasnęłam.



Rano szybko ubrałam się, wzięłam szczoteczkę do zębów i proszek oraz mały ręczniczek i pobiegłam, żeby się umyć, a tu kolejka. Nawet tak nieskomplikowanej toalety nie można było uczynić. Wraz z brygadą ruszyłam do stołówki, gdzie znowu była kasza z naparstkiem oleju i kromka razowego chleba namoczonego w wodzie. Zjadłam chleb, bo byłam głodna. Po „śniadaniu” cała brygada podeszła do bramy. Rozdano nam łopaty. Formowaliśmy kolumnę, która udawała się na wyznaczone przez *naziadczyka*, czyli programistę robót, miejsce pracy. Raz było to odśnieżanie drogi, innym razem torów, kolejnym rozładowywanie worków mąki ważących po 100 kg każdy i noszenie ich do łagrowej piekarni, czy rozładowywanie produktów takich jak

kasze, makarony do łagrowej kuchni.

Po powrocie z pracy przez kilka pierwszych dni byłam tak niesamowicie wykończona, że padałam na swoją pryczę i zasypiałam. Nie miałam siły iść do stołówki. Miałam jeszcze suchary i soloną słoninę, więc moczyłam suchary w gorącej wodzie, którą dostawałam od *dniewalnej* i wyjadałam z kubka jak zupę. Po kilku dniach starsza z więźniarek Jadwiga Filipiska, roztoczyła nade mną „parasol ochronny”. Była to moja pierwsza „Mama Workucka”, opiekowała się mną jak matka. Wisia codziennie przed powrotem brygad z pracy chodziła do stołówki, aby zjeść obiad, bo była inwalidką i przynosiła moją porcję dla mnie w menażce. Matkowała mi ponad rok, potem ją przenieśli i zostałam sama, bez opiekunki.

W międzyczasie przysły dwie paczki od moich Rodziców. Jedna z żywnością, druga z pościelą i miedniczką.

Wkrótce przywieźli kilka starszych Polek, a jedna z nich, Pani Stanisława Maciejewska, trafiła do naszego baraku i zajęła miejsce *dniewalnej*. To ona zastąpiła mi Panią Wiśnię. Pilnowała pryczy i moich rzeczy, przynosiła obiad ze stołówki. Z Panią Stasią przeżyłam około 3 lat. Została zwolniona wcześniej i w 1954 r. transportem wyjechała do Polski. Nie byłam długo sama, ponieważ wkrótce pojawiła się moja trzecia łagrowa mama – Maria Kwiatkowska, która mieszkała z nami w baraku. Pracowała w „Sapożnojmastierskoj”, ponieważ umiała szyc i reperować buty – walonki. Z nią miałam „złote życie”, bo nie dość, że dbała o mnie, o moje wyżywienie, to jeszcze prała moje ubrania, bieliznę i pościel. Traktowała mnie jak własną córkę, a była starsza ode mnie zaledwie o 16 lat.

Zostałam przeniesiona do brygady, która wydobywała glinę na „Bezimiance”. Najpierw zdejmowaliśmy nadkład: żwir, ziemię, kamyki i tym podobne, oskardami odbijałyśmy po niedużym kawałku gliny i wydobywałyśmy go na powierzchnię. Kopalnia gliny wyglądała tak, że były porobione tzw. tarasy jeden nad drugim, oddalone od siebie na wysokość ok. 1,5 metra. W momencie, kiedy odbijało się kawałek gliny, to przerzucało się go na wyższy taras, potem jeszcze na wyższy, aż do

poziomu powierzchni ziemi. Na powierzchni ładowaliśmy te kawałki na taczki i przewożyliśmy do kolejnej brygady, która ładowała je do wagoników. W tej kopalni było bardzo zimno, gdyż była na powierzchni ziemi i łatwo było się tam przeziębować. Pracowałam tam około pół roku i zachorowałam. Przewieźli mnie do łagru „Sanczasti”, który pełnił rolę przychodni, a z niej skierowano mnie do szpitala łagrowego. Okazało się, że miałam ostre zapalenie stawów. W szpitalu leżałam trzy miesiące. Od tego czasu, czyli od 1952 lub 1953 r. choruję na reumatyzm.

Był 3 maja 1954 r. Wezwał mnie *Operupołnomoczennyj* (szef komórki NKWD w łagrze) do swojego biura i odczytał mi nowy wyrok. Po śmierci Stalina w 1953 r. wszystkie wyroki grupowe rozpatrywane były w pierwszej kolejności, a nasza grupa była bardzo liczna – 73 osoby. Po rozpatrzeniu wyroków naszej grupy widocznie doszli wniosku, że zbyt surowo nas potraktowano, dając najwyższe w owym czasie wyroki, więc 25 lat pozbawienia wolności zmieniono nam na 10 lat, ale pozbawienie praw obywatelskich pozostało bez zmian, czyli 5 lat. *Operupołnomoczennyj* po odczytaniu wyroku powiedział do mnie: „Widzisz jaki Związek Radziecki jest dobry?! Powinnaś to docenić! Ja nie zmieniałbym ci wyroku. Zgniłabyś tu w Workucie.” Chciałam mu odszczeknąć, ale ugryzłam się w język. Nie mogłam się doczekać, aż

pozwole mi odmaszerować. Do baraku, do swoich łagrowych przyjaciółek leciałam jak na skrzydłach. Wpadłam i krzyczę „Teraz wiem, że wyjdę na wolność, bo cztery lata, które mi pozostały miną i odzyskam wolność!”.

W pierwszej dekadzie 1955 r. wyszło jednak rozporządzenie mówiące, że więźniowie, którzy odbyli 2/3 wyroku i nienagannie się sprawowali w łagrze, po rozpatrzeniu sprawy, będą mieli umorzoną 1/3 wyroku, ale bez prawa wyjazdu. Będzie to tzw. zsyłka. Pomyślałam, że to rozporządzenie mnie nie obejmie, ponieważ nie można było powiedzieć „nienaganny” o moim pobycie w łagrze. Ku mojemu zdziwieniu na początku trzeciej dekady zostałam zawieziona do Workuty na pseudo sąd. Wszystkie otrzymałyśmy zwolnienia, więc do łagru wracałyśmy jako wolne obywatelki. Na następny dzień wyrzucano mnie z baraku. Nie miałam dokąd iść, gdzie spać, nie miałam pieniędzy, żeby się utrzymać. Błąkałam się za dnia po pustkowiu, a na noc wracałam do baraku. Współwięźniarki pomagały mi, jak tylko mogły. Była to kolejna straszliwa tortura bezwzględnego sowieckiego systemu. Mogliśmy wyjść na „wolność”, ale nie mogliśmy wrócić do Kraju.

Szukałam pomocy u Olgierda, którego znałam z korespondencji, kiedy to przez grypsy poszukiwałam mojego młodszego brata. Szukając Jarka, wysłałam kilkadziesiąt grypsów do różnych łagrów męskich.

Odpowiedział mi między innymi Olgierd Zarzycki, który opisywał ze szczegółami, co się wydarzyło. Jeremi wraz z kolegą zorganizowali ucieczkę z łagru. Przepłynęli rzekę Workutę wpływ i podążali na północ ku Karskim Wrotom, oddalonym od obozu o 80 km. Tam znajdował się dość duży port, więc chcieli wejść na jakiś zagraniczny statek i odpłynąć na zachód. Niestety akurat wtedy spadł pierwszy śnieg, który ukazał ich ślady grupie pościgowej, która dopadła ich już po 12 km. Po złapaniu, jak wszyscy uciekinierzy, dostali kulkę prosto w czoło. Ciała przywieźli pod łagier, rozebrali do naga i rzucili pod bramą na śniegu. Widok ten miał być przestrogą dla innych więźniów myślących o ucieczce. Kiedy ciała zasypał śnieg, oczyszczali je miotłą. Nocami obgryzały ich dzikie zwierzęta. Po tygodniu zostali pochowani w jednym grobie. Wszystko to opisał mi Olgierd w grypsie z 1954 r. Po tych doniesieniach chodziłam na wpół przytomna. Nic nie pamiętam z tego okresu oprócz bólu i żalu do Pana Boga. Minęło już tyle lat, a ja nadal nie mogę się pogodzić ze śmiercią Jarka. Tylko dzicz sowiecka mogła tak postępować, bo ludzie cywilizowani nie mieliby serca.

W 1955 r. spotkałam się z Olgierdem. Poprosiłam o widzenie, podając się za jego kuzynkę. Mój Boże cóż to był za widok. Olgierd przy wzroście 175 cm ważył 46 kg, a ja przy wzroście 164 cm zaledwie 36 kg.

Dwa kościotrupy. Olgierd załatwił mi kąt u łagiernika inwalidy w zamian za opiekę nad nim. Tak rozpoczęło się moje życie wolnego człowieka. Zaraz wyszło rozporządzenie, które umożliwiało zawarcie ślubu wolnego z więźniem, więc postanowiliśmy się pobrać. Miało to miejsce 12 lutego 1956 r. W Workucie nie było kościołów, więc w pokoju, w którym mieszkaliśmy, zrobiliśmy ołtarzyk i kapelan wojskowy ks. Józef Kuczyński udzielił nam ślubu. Trzy dni przed ślubem mama przywiozła biały materiał na suknię, bieliznę, pończochy buty oraz garnitur dla Olka. Nie wspomnę o wódce i swojskich wyrobach na wesele. Koledzy łagrowi Olgierda zrobili wąskie stoły na krzyżykach, a prześcieradła służyły za obrusy.

Do Kraju z Workuty wyjechaliśmy z Olkiem w grudniu 1956 r. Po 16 dniach od przekroczenia granicy urodził się mój syn Jeremi. Imię otrzymał po moim zamordowanym w Workucie bracie. Po dwóch latach i 8 miesiącach urodziłam córkę Marię Jolantę.

Olgierd zmarł w kwietniu 1989 r. Od lat zajmował się pracą charytatywną na rzecz Akowców Łagierników. Postanowiłam kontynuować jego prace. W 1993 r., na VIII Zjeździe zostałam wybrana nowym Prezesem Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej. Byłam nim przez 9 lat, a więc 3 kadencje.

Mam 93 lata. Najwyższy w Niebiesiech pozwolił mi przeżyć czas od

najmniejszych „załążków” naszego Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej poprzez jego rozkwit w 1995 r. – po „zmierzchu” tegoż Stowarzyszenia. Ta mała obecnie garstka tych prawdziwych łagierników - żołnierzy Armii Krajowej wciąż jeszcze trwa i będzie trwać aż do odejścia na wieczną wartę ostatniego członka Stowarzyszenia.

Już teraz młodzi przejęli pałeczkę, to dobrze. Święty Jan Paweł II powiedział: „Naród, który nie zna swoich korzeni, nie zna swojej historii jest pozbawiony swojej tożsamości”. To my musimy zadbać o to, aby ta tożsamość i polskość była zachowana.

Okręg Wołyński AK



BRONISŁAW GRAJBER PS. „RYBA”



Bronisław Grajber urodził się 04.04.1923 r. w miejscowości Ok-tawin, pow. Włodzimerz Wołyński, woj. wołyńskie. Przed wojną należał do organizacji Krakusy, znanej jako Przysposobienie Wojskowe Konne. Od kwietnia 1943 r. do lipca 1944 r. działał aktywnie w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Latem 1944 r. został skierowany do Szkoły Podchorążych Artylerii w Chełmie. W grudniu 1944 r. otrzymał ze Szkoły przepustkę na odwiedzenie we Włodzimerzu Wołyńskim swoich rodziców, gdzie został aresztowany przez NKWD. Przebywał w więzieniach we Włodzimerzu Wołyńskim, Łucku, Moskwie, Tule i Uchcie. 24.04.1946 r. został skazany na 4 lata łagrów za udział w AK z bro-nią w ręku. Przebywał w Komi ASSR - w łagrze w Uchcie. Decyzją władz

ZSRR z dnia 29.07.1948 r. jego dalsze odbywanie kary zamieniono na wy-dalenie z terytorium ZSRR i przeka-zano go władzom polskim na granicy. Po powrocie do Kraju pracował jako mechanik w przemyśle okrętowym. Mieszkał w Gdańsku, gdzie zmarł 17.01.2012 r. Został pochowany na gdańskim Cmentarzu Łostowickim – kwatera 95, rząd 9, grób 16.

WSPOMNIENIA¹

Wychowywałem się w pol-skiej kolonii do 18 roku życia. To piękna kolonia położona wśród ła-sów, wzgórz. Południe. Poza szkołą młodzież była kształtowana w róż-nych organizacjach, tak jak Krakusy,

¹ Fragment rozmowy przeprowadzonej przez Archiwum Historii Mówionej w dniu 07.08.1991 r. w Gdańsku.

względnie Strzelce. Do dzisiaj je bar-dzo mile wspominam. Bo to były organizacje, które pozwoliły nam zdobyć wiedzę wojskową, co później bardzo zaowocowało już podczas okupacji. Organizacja wojskowa Kra-kusy miała charakter. Mieliśmy pełen sprzęt ułana: siodło, szablą, lanca i tak dalej. Nauczono nas, w pełni, jak to się mówiło, po ułańsku siedzieć dobrze w siodle i władać dobrze szablą. I oczywiście to później żeśmy mogli w praktyce wypróbować, już będąc w Armii Krajowej. Losy naszej młodzieży były dość trudne. Wyda-wało się na początku, że to wszystko jest takie piękne.

Kiedy wojna wybuchła w 1939, później okupacja dość długa, prze-śladowania, organizacje wojskowe poszły w podziemie. Należało się organizować, żeby ocalić tysiące rodzin polskich właśnie na tych te-renach. Dlatego zaczęły powstawać organizacje, a później już normalne organizacje zbrojne Armii Krajowej. W tej dostałem przydział do zbrojnej organizacji, czyli do partyzantki, tak jak to się mówiło.

Zresztą to było nie bez znaczenia to szkolenie poprzednio na ułanów. Miałem szczęście, bo to nie wszyscy mogli mieć ten zaszczyt być ułanem. Tak było, zawsze przed wojną, ułan był zawsze jakimś uprzywilejowa-nym. No, w każdym razie imponował. Toteż i ja dostałem przydział do szwa-dronu kawalerii, pod dowództwem porucznika Hińcza. W szwadronie

mieliśmy bardzo szerokie pole do działania. Jak wiadomo ułan miał o wiele łatwiej, miał możliwość prze-mieszczania się, a teren był rozległy. Nasza Dywizja 27 zasięg miała nawet do 500 [kilo]metrów na tym terenie wołyńskim. Także przejeżdżało się setki kilometrów.

W tych warunkach wojennych, ułan zawsze był narażony na niebez-pieczestwo, zasadzki. Był dobrym polem i celem dla nieprzyjaciela. Natomiast o tyle było lepiej, że za-wsze można było szybko zniknąć. Mimo wszystko zasadzki były bardzo groźne. Czas mijał, raz było lepiej, raz gorzej. Zostałem ranny w Bindudze pod Dubienką. No ale to wszystko nie było najgorsze.

Trza było się przeprowadzić na drugą stronę Bugu i działać na te-renach Lubelszczyzny, tam było tyle do zrobienia. I to właśnie dla żołnie-rza było najważniejsze - żeby mieć dobre pole do działania i mieć z tego tytułu efekty. Zdobywać i wyzwać poszczególne wioski, poszczególne gminy. Kiedy wydawało się, że to jeszcze tyle jest do zrobienia, kiedy wojska ruskie zbliżyły się, a już do-tarły do tych naszych terenów, już wyzwolonych przez nas, kazano nam złożyć broń.

No i cóż, z wielką przykrością i z przygnębieniem, musieliśmy wr-cać do domu. W moim przypadku, moja rodzina była we Włodzimerzu, po drugiej stronie Bugu, gdzie miała złożone dokumenty o wyjazd przez

polski urząd repatriacyjny. Zostałem tam, na tych terenach, sam. I dla takich ludzi było to najgorsze, bo później NKWD zaczęło ścigać wszystkich AK-owców. Łatwiej było tym, którzy mieli własny dom na Lubelszczyźnie czy własne rodziny, które już zajęły gospodarstwa kiedyś mieszkających na Wołyniu, a już znalazły się po tej stronie. Mieliśmy już namacalne dowody, że aresztowano i rozstrzeliwano.

Poradzono nam, młodym chłopcom, wstąpić do wojska, bo przecież wojna jeszcze nadal trwała. W Hrubieszowie, zgłosiłem się do WKR i o dziwo przyjęli mnie do Szkoły Podchorążych Artylerii w Chełmie. Nawet dostałem urlop na około 10 dni i pojechałem do Włodzimierza Wołyńskiego, do rodziców. Po takim długim czasie nieobecności, chciałem się z rodziną zobaczyć. Tam rzeczywiście trochę się podleczyłem i zgłosiłem się do komendy już o wyjazd, a że tam komendy polskiej nie było, musiałem się zgłosić do ruskich. Oni odpowiedzieli mi, żeby przyjść w przyszłym tygodniu. Po tygodniu znów przyszedłem, znów za tydzień. I zaczęło to trochę niepokoić. Choć rodzina, szczególnie mama, była zadowolona, bo jeszcze trochę w domu jestem. Ale to niebezpieczeństwo wisiało.

W wigilię Bożego Narodzenia zadzwonił dzwonek i zaczęły się łomotania do drzwi. Ojciec szybko światła zgasił, wygląda przez okno.

Okazuje się, że to NKWD. Postanowił nie otwierać. Oni postukali, postukali i poszli, ale już był niepokój. Ja myślałem, że to nie chodziło o mnie, że to raczej może dotyczyło mojej mamy, która była działaczką Armii Krajowej. Po świętach Bożego Narodzenia przyszło ich więcej. Zaczęli stukać i powiedzieli że drzwi wyłamią, jeżeli ich nie wpuszczymy, więc ojciec zdecydował otworzyć. Kazali mi się zebrać w celu wyjaśnienia pewnych spraw. [Powiedzieli: - przyp. red.] „Wyjaśni się i jeszcze dzisiaj wróci”. Tak naprawdę wróciłem dopiero po 4 latach.

Zaprowadzono mnie do podziemi KGB. Zaczęły się przesłuchania, dość trudne i przykre. Mieli swoje metody do wymuszania zeznań. Po kilku dniach takiego intensywnego dzień i noc przesłuchania, przywieźli nas do więzienia włodzimierskiego. Po kilku dniach stamtąd załadowano nas na transport do wagonów towarowych. Jedni mówili, że może do wojska. Inni, że to może jednak gdzieś daleko na wschód, na Sybir.

To był bardzo mroźny styczeń w 1945 r. Dowieziono nas do stacji Kiwerce pod Łuckiem. Tam zauważono, w kilku wagonach, tyfus, więc myśmy kilka dób na tym dworcu, na bocznicę w Kiwercach, spędzili. Zdecydowano nas skierować do więzienia w Łucku. Więzienie było przepełnione i to bardzo. Ponad 100 osób włączano do celi. Tak było ciasno, że nie było mowy nawet dobrze usiąść

na posadzce. I tam ten tyfus zaczął zbierać swoje żniwo. Po każdej nocy zabierano rano nieżywych. Zmarł na przykład słynny dość we Włodzimierzu właściciel młyna, zresztą obok mnie. Ze zmarłym spędziłem obok tyle godzin do rana.

Po 3 miesiącach zaczęto organizować następny transport, tych ludzi, którzy przeżyli. Mnie udało się przeżyć ten tyfus. Był to widok okropny, kiedy nas wyprowadzono z cel więziennych na podwórze, sformowano taką kolumnę. Kazano nam się trzymać, zresztą musieliśmy się trzymać pod ręce, bo trudno było się utrzymać na własnych nogach. I tak pędzono nas w kierunku stacji kolejowej, ulicami Łucka. Obstawiono nas NKWD-zistami, jeden przy drugim z karabinami, bagnietami. To był okropny widok. Ludzie przechodząc obok chodnikami, żegnali się na nasz widok. Załadowano nas do wagonów towarowych i wieziono w kierunku wschodnim, w nieznaną.

To była wiosna, bodajże 18 kwietnia. Nie odczuwaliśmy chłodu, tylko głód nam dokuczał i pragnienie było olbrzymie. Ale gdzieś tam daleko za Moskwą już było coraz chłodniej. Był już mróz i to duży. Ludzie zaczęli nie wytrzymywać tych warunków transportu, zaczęli umierać. Jak pociąg stawał, to zabierali trupy do ostatniego wagonu. No i tych zmarłych gdzieś na olbrzymich przestrzeniach, między stacjami wyrzucano w biegu z pociągu na śnieg.

Po dwudziestu trzech czy czterech dniach znaleźliśmy się na Syberii północnej. Miejscowość Uchta. To jest na pograniczu, bo nas tam też przewożono do Workuty. Tam w wagonie panował półmrok, bo okien nie było. Kiedy nas wyprowadzono na zewnątrz, nasz układ wzrokowy został porażony. Zaczęły nam się łzy lać. Usiłowano znów sformować taką kolumnę, ale nie udało się, bo prawie nikt nie był w stanie, o własnych siłach iść. To po iluś godzinach siedzenia na śniegu przyjechał samochód ciężarowy i zaczęli nas wozić grupami. Widok po wyładowaniu był okropny, bo każdy miał pomrożone kończyny. Z nóg ciekła ropa. To było okropne.

Kiedy nas zawieziono do takiego punktu rozdzielczego, to tam nas doprowadzono do możliwości o własnych siłach poruszania się i skierowania nas do poszczególnych obozów. Ja trafiłem do obozu numer 13 i tam byłem prawie do końca. Brali odpowiednich fachowców dla wypełnienia pewnego zadania w Workucie. Jako, że byłem po szkole mechanicznej, po chyba 2 latach, trafiłem do swojego zawodu tam. Bo 2 lata byłem przy bardziej ciężkich pracach, wydobywczych i przetwórczych. Na przykład przy wapnie. To bardzo szkodliwe dla organizmu było. Przerzucili później na ścinę drzew, później na cięcie drzew. Już później znalazłem się w brygadzie mechanicznej, obsługa

urządzeń, jakie tam były do ścinania drzew, do produkcji pewnych metali. Nie obyło się jednak bez śledztwa. Pierwsze 2 lata były najgorsze.

To jest klimat polarny. Zimą tego dnia nie było, na okrągło noc. 12-godzinny dzień pracy. Głód. Warunki barakowe były też okropne, woda zamarzała, nie było pościeli, nie było gdzie wysuszyć swojej odzieży. Wielu ludzi nie wytrzymało tych warunków, tego głodu, chłodu. I jeszcze brak żadnych wiadomości od rodziny, bo listy nie dochodziły i nasze też do naszych rodzin ginęły. To był obóz zamknięty, za drutami, pilnowany, strzeżony i to bardzo. Na terenie tego obozu panowały warunki wprost nieludzkie. Do więźniów politycznych, jakimi byliśmy, dołączano kryminalistów z najwyższymi wyrokami. Oni wprowadzali terror. Coś nieludzkiego. Przegrywali ludzkie życie w karty. Człowiek nie był pewny, kiedy może być przegrany. Taki, który przegrał, musiał ofiarować głowę ściąg i zanieść na portiernię. Te widoki czasami mam przed oczyma i jeszcze do dzisiaj mam sny, po których budzę się spocony.

Sądzę, w perspektywie czasu minionego, że to był jakiś laboratoryjny sposób wyniszczania niewygodnych im narodów. Syberia, obóz, druty, ograniczony sposób poruszania się, warunki obozowe, ciężka praca - to było wszystko za mało, trzeba wprowadzać terror. Przecież *łatnyje* to właśnie Ci, którzy przegrywali w karty

ludzi. Cały obóz drżał przed nimi. Przecież taki podchodził rano: „Proszę, daj, oddaj chleb”. I trzeba było oddać, bo nie wolno się narazić. On mógł do pracy nie wyjść, bo nikt mu nic nie zrobił. To było tu ułożone, to było napisane w tym scenariuszu obozowym.

Żeby się nie spotkać z zarzutem jednostronności, że Rosja i komunizm tylko mordował ludzi, ja mam na ten temat zdanie nieco inne. To są dwie sprawy - naród, a grupka ludzi. Ja oceniam naród, z którym byłem w obozie 4 lata. Naród rosyjski jest przyjazny, koleżeński, oddany, ostatnim kawałkiem chleba podzielił się. Także mam wiele sympatii do tych biednych, również narażonych przez ten terror komunistyczny. Ci ludzie też siedzieli w więzieniach, w obozach za nic. Poznałem taką dziewczynę, która w pobliżu pracowała, więc tak nawiązałem z nią kilka słów. Trafiła tam, dlatego, że z politrakiem nie chciała się przespać. Za takie nawet rzeczy siedziały. To był naprawdę sterroryzowany, biedny naród.

Tam byli Chińczycy, Irańczycy, Turcy, Litwini, Łotysze i Estończycy, oczywiście Rosjanie. Ormian było bardzo dużo też. Zresztą Ormianie to bardzo inteligentny i przyjazny naród. I w związku z tym, ja do dzisiaj mam taką tolerancję dla narodów. Nawzajem wspieraliśmy się. Codziennie w szeregu prowadzano nas do roboty i z powrotem. Dookoła straż z karabinami, z bagnietami i jeżeli ktoś potknie się, upadnie i nie ma

siły powstać, to strażnik go zastrzeli. I dlatego jeden drugiego wspierał, a tych słabszych brano do środka kolumny, żeby w razie gdy upadnie, to żeby go można podnieść było. Czyli ta solidarność między tymi więźniami była olbrzymia, bez względu na to czy był on Chińczykiem, Litwinem, Rosjaninem, Ormianinem czy Gruzinem.

Głód. Głód zaczyna się łącznie ze skrętami z bólu wewnętrzności. Kiedy już człowiek jest, jak to się mówi, przezroczysty. Skóra i kości. Wówczas dopiero to można nazwać głodem. To jest wielka męczarnia. 2 razy posiłek dziennie. To znaczy rano przed wyjściem do pracy i po 12 godzinach, kiedy wróciłeś z pracy. Chleba było niewiele. Były obliczane normy wykonanej pracy poszczególnych brygad i ci, którzy wykonali normę, to tego chleba dostawali trochę więcej. Rano kawałeczek chleba się dostało i *kipiatok*, gotowana woda czasami czymś zabarwiona, jakimś przypalonym ziarnem, albo też nie. I tak 12 godzin trzeba było o tym być. Po powrocie trzeba było już spać samą jakąś tam zupkę, bardzo wodnistą. Jeżeli czasami suszony plasterzek ziemniaka znalazł się w zupie to było bardzo dużo. Tam ziemniaków normalnych, surowych przez 4 lata nie widziałem. Tylko suszone, bez tłuszczu.

Sprawa wyjałowienia organizmu z witamin. Taki człowiek pozbawiony witamin jest słaby i słabo widzi, refleks jest zupełnie inny, jest

ograniczony. Stacza się ku śmierci. Dawano nam parzoną sośninę, czyli szyszki i to parzono. To miało zrekomensować jakiś tam ten brakujący skład witamin. To po prostu było okropne do picia, ale czego się nie robi dla przeżycia. Żeby można było wyjmować prawie.

Wytrzymałość ludzka zależała od charakteru człowieka. Wielu takich, którzy nie wytrzymałali psychicznie, targało się na własne życie. Bardziej uparci, bardziej wytrzymali, między innymi ja, jakoś tam starali się przetrzymać, walczyć z tą gehenną, jaka nas otaczała.

Ubikacje były dość daleko rozstawione między barakami, ale jeżeli jest zamieć śnieżna, potężne zaspasy i trudno dojść, to człowiek nieraz zrobił siusiu na śniegu. Jeżeli patrol złapał takiego osobnika, to czekał go karcer. No i to pamiętam, noc wigilijna, nie zdążyłem dobiec i zrobiłem siusiu na śniegu i mnie dorwali strażnicy. To była godzina gdzieś około północy. Do rana siedziałem w karcerze obozowym. Jak wygląda karcer obozowy? Taki mały budynek. Kiedyś był utkany mchem, ale gdzieś wydmuchał wiatr, także przez te szczeliny pełno śniegu było nawiane. Inaczej mówiąc taka sama chyba była temperatura na zewnątrz, jak i wewnątrz tego. W tym czasie było gdzieś około -50 stopni. W tej temperaturze to był cud, żeby przeżyć w tym małym budynku. Miałem dwa wyjścia. Albo usiąść - to była najłżejsza śmierć. Albo walczyć

o życie. Postanowiłem walczyć i do-
czekałem do apelu.

À propos świąt. Zbieraliśmy się
gdzieś tam w jakimś kąteczku i dzie-
liliśmy się tym kawałkiem chleba
trzymanego przez cały dzień. Cier-
piąc tak olbrzymi głód, trzeba było
przezwyćżyć to wszystko i dotrzy-
mać ten kawałeczek.

Życia kulturalnego nie było
przez cały okres. Nie wolno było po-
ruszać się po obozie. Po 12 godzinach
z pracy do baraku. Z baraku na sto-
łówkę i z powrotem. I siedzieć przy
swoim łóżku.

Z naszego transportu zdecydo-
wało się trzech uciec. Po 3 dniach ich
złapano i zrobiono taką pokazówkę,
która polegała na tym, że pokazali,
jak oni wyglądają po ucieczce. Byli
poszarpani przez psy tak, że ich
trudno było rozpoznać.

Codziennie rano wywożono wóz
ciągnany przez więźniów poza obóz do
pobliskiego wąwozu. I tam grzebano
tychże zmarłych. Jakie to grzebanie.
Ta wieczna zmarzlina uniemożliwiała
pochówek, toteż przegrzebywano
śniegiem, mchem. Ten pochówek był
taki, że zwierzyna później roznosiła
te szczątki po całym terenie. Te kości
ludzkie, to jest wszędzie, na całym
terenie Syberii.

I tak 4 lata, bez 2 czy 3 miesięcy,
byłem właśnie w tym obozie numer
13 za drutami. W ostatnich dniach
sierpnia [1948 - przyp. red.] powiado-
miono kilku nas, że mamy się przygo-
tować do transportu. Załadowano nas

do wagonów, tym razem osobowych,
ale przystosowanych do przewożenia
więźniów. I wieziono nas już w kie-
runku na zachód. Przywieziono nas
do Moskwy po, chyba, 2 tygodniach
i zawieziono do więzienia. Tam byli-
śmy kilka dni. Tam też tych pluskiew
nie brakowało. Tak potrafią gryźć
i ciąć pluskwy, że człowiek jest mokry,
pobrudzony krwią własną, rano bu-
dząc się. To jest okropna plaga. Przez
4 lata nie było rady, żeby ich wytępić.
Ni mrozu się nie bały, ni nic.

Załadowano nas do wagonów,
też takich osobowych, przystoso-
wanych do przewożenia więźniów.
Przywieziono nas do Brześcia nad
Bugiem i zawieziono do takich ba-
raków z ogrodzeniem i z bramą. Ale
to już nie było to, co na Syberii.

Załadowano nas ponownie do
wagonów, ale już bez konwojów. Przy-
wieziono nas do Białej Podlaskiej. Tam
zderzyliśmy się z innym światem. Ta
Polska była komunistyczna, ale jednak
to nie było to, co tam. Po prostu poczu-
liśmy się znacznie lepiej. Całowaliśmy
tę ziemię. Trudno sobie wyobrazić tę
gehennę. To trzeba przeżyć, żeby coś
takiego można było sobie wyobrazić.
Po przesłuchaniu przez funkcjonariu-
sza Urzędu Bezpieczeństwa, wydano
nam zaświadczenie, które upoważ-
niało nas do bezpłatnego biletu na
miesiąc w celu poszukiwaniu rodzin.
To zaświadczenie służyło również do
wYROBIEŃA sobie dowodu osobistego.
Funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeń-
stwa, wzywając pojedynczo każdego

z nas, otwierał akta zaplombowane.
Odczytywał akt oskarżenia z zapyta-
niem, czy przyznaje się do zarzutów
za udział w Armii Krajowej z bronią
w ręku. Taki był zarzut od początku.
Tak oni stawiali pierwszy zarzut, po
aresztowaniu w KGB we Włodzimie-
rzu. Oczywiście nikt nie zaprzeczał,
każdy chciał się znaleźć jak najszybciej
w domu czy względnie na wolności.
Przebrano nas w odzież z demobilu
zachodniego. Tam angielskie były
buty, bluzy, mundur, płaszcz. I każdy
z nas dostał taką dużą paczkę artyku-
łów pierwszej potrzeby i czekoladę,
mleko w proszku i tym podobne.

Rodzinę odnalazłem w Hru-
bieszowie. To znaczy rodzinę już
nie w komplecie. Ojciec zmarł 2 lata
wcześniej, w 1946 r. Zmarł, bo na-
sza rodzina cała była zaangażowana
w konspirację. Był aresztowany,
przetrzymany i niejednokrotnie
bity. To wszystko przyczyniło się do
jego przedwczesnej śmierci, bo miał
53 lata. I po odnalezieniu rodziny,
przeżyłem to okropnie. Mama moja
mnie nie poznała. Kiedy znalazłem
się przed domem, wyszła gdzieś
z ogródka i pyta się mnie: „Pan do
kogo?”. Takie to było spotkanie.

Po miesiącu pobytu w domu
w Hrubieszowie, pojechałem do
Gdańska. Po prostu trzeba było za-
cząć pracować. Z trudem znalazłem
pracę, bo z tym moim zaświadcze-
niem powrotu stamtąd i z numerem
tymże na piersiach, nie bardzo mnie
chciano przyjąć. Zresztą ankietą

była. Wiedziałem, że nie mogę nic
tuszować, bo i tak wiem, że mają
wszystkie moje akta. Taki, jak zoba-
czył że byłem karany i za co, to zaraz
z miejsca zmieniał ton i „Nie, nie
ma miejsca”. W końcu znalazłem tę
pracę. No i gdy wydawało się, że to
już jest w porządku, to znów mnie
zaczęli prześladować i musiałem się
meldować w Urzędzie Bezpieczeń-
stwa. I znów przesłuchania. Mnie to
już było wszystko jedno, już to co
przeszedłem, to już więcej chyba mi
tutaj zrobić nie mogą. Wiedziałem,
że jestem w Polsce. A jeszcze będąc
tam w obozie, to było moje marzenie.
Prosiłem Boga, modląc się, żebym
mógł powrócić do kraju, do rodziny,
a później to już mogę nawet i umrzeć.
Czułem się pewnie, mogłem im tro-
chę napyskować, nagadać i otrzą-
snąć się z tego. Takie meldowanie się
trwało chyba do roku. W pracy byłem
zawsze kimś, komu można było na-
wymyślać. Każdy mój jakiś odruch
obrony, no to wiadomo, zaraz „Aha ty
taki, Panie AK-owiec, a ty przestępca”
i tak dalej. Myślałem że będzie lepiej,
bo to w kraju, ale i tutaj były szykany.
Ja kwalifikowałem się, żeby pójść na
studia. Kierowano mnie, ale zaczęły
sprzeciwiać się organizacje partyjne.
Taki przestępca może być kształcony
na koszt państwa? I kierownik zawe-
zwał mnie, żebym zrezygnował, bo
z moją przeszłością nie mam szans.
Przyznam, że ten bagaż polityczny
pokutował nie tylko na mnie, ale na
mojej całej rodzinie.

Okręg Lwowski AK



KAZIMIERZ CHMURA PS. „JULEK”

Kazimierz Chmura przyszedł na świat 19.06.1922 r. w miejscowości Sarzyno, położonej w województwie rzeszowskim. W 1932 r. rodzina przeprowadziła się do Drohobycza. 20.02.1942 r. wstąpił do AK i do 31.07.1944 r. był radiotelegrafistą w plutonie komendanta dzielnicy miasta Drohobycz – kpt Władysława Fuglewicza ps. „Szron”. Aresztowany 15.03.1945 r. przez NKWD za przynależność do Armii Krajowej, choć działał tylko w czasie okupacji niemieckiej. Po kilku miesiącach pobytu w więzieniu w Drohobyczu, został bez sądu wywieziony do obozu w Workucie, gdzie przebywał do 09.06.1946 r. Zwolniony z łagru pozostał na zesłaniu. Wiosną 1947 r. uciekł i dotarł do Drohobycza, ale został aresztowany i przewieziony z powrotem do obozu w Workucie. Z łagru został



zwolniony w grudniu 1947 r., jednak nie mógł wrócić do Kraju. Od stycznia 1948 do lata 1953 r. pracował w straży pożarnej w Workucie, następnie do 25.04.1955 r. w tamtejszej cementowni. Do Polski powrócił 13.05.1955 r. i zamieszkał w Leżajsku, gdzie zmarł 23.10.2019 r.

WSPOMNIENIA¹

Jesienią 1945 r. z Drohobycza dowieziono nas do Workuty, gdzie w Drugim Rejonie znalazłem się w obozie „Stroj Kantory”, tj. w brygadzie remontowo-budowlanej. Do wiosny 1946 r. wykuwaliśmy w wiecz- nie zamrożonej ziemi wykop pod mający powstać budynek na terenie

¹ Wspomnienia pochodzą z nr 3(48)/2008 *Kwartalnika Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej*

kopalni węgla. Aby to wykonać, wbialiśmy w ziemię rozgrzane do czerwoności łomy i w powstałe dziury zakładano materiał wybuchowy. Powstałe po wybuchu duże bryły łatwiej było rozbijać na mniejsze i wyrzucać z wykopu. Ciężka praca i mróz bardzo wyczerpywały, a dodatkowo wzywano na niedokończone śledztwo.

I tak wiosną 1946 r. zaocznie Moskwa zawyrokowała mi 6 lat zesłania, lecz nie mówiąc prawdy ogłoszono, że jesteśmy wolni i na razie musimy trochę popracować na południu od Workuty. To „południe” to też daleka północ. Została za nami tundra i pojawiła się tajga. Po drodze wysadzano z wagonów w różnych miejscowościach większe grupy ludzi, a mnie i kilku kolegów oraz kilkunastu Litwinów dowieziono do miejscowości Trakt. Było to raczej małe osiedle. Od stacyjki zaprowadzono nas torami daleko do walącej się rudery, strasznie zapluskwionej i tam czasowo mieliśmy mieszkać i pracować. Po kilku dniach jeden z Litwinów zmarł, a pozostali wszczęli protest, że tutaj nie będą pracowali i gdzieś ich przeniesiono.

Obok walącego się baraku było sporo przywiezionych kłoców i z nich mieliśmy budować nowy dom. Zaczęło się korowanie, piłowanie i wkopywanie odziomków do ziemi – na nich miały być kładzione belki ścian. Przyjeżdżał jakiś mundurowy i pouczał, jak mamy prowadzić budowę. Było nas, Polaków, siedmiu.

Zaczęliśmy układać ściany, wyciosując rowek wzdłuż belki, by lepiej na sobie leżały, a między belki układaliśmy mech. Jeden z nas przewiercał otwory, w który wbijano kolek mocujący belki ze sobą. Nadzorujący często przyjeżdżał, sprawdzał i czasem przywiózł jakieś narzędzie lub materiał. Ostatni strugałem z drzewa „fińską strużkę” (coś w rodzaju gontów) i przecinałem drut na kawałki – jako gwoździe.

Pracowaliśmy solidnie, bo chcieliśmy szybko przenieść się z tej rudery. Nie było jeszcze drzwi i okien, ale postanowiliśmy zamieszkać i już bez pośpiechu dokonywaliśmy uzupełnień. Krótka trwało nasze wygodniejsze życie.

W tajdze wybuchł pożar i nas wszystkich oraz ludzi z pobliskich osiedli ściągnęli do gaszenia pożaru. Gałęziami tłumiliśmy linię ognia, innego sprzętu nie było. Jak na złość, w tym czasie ogarnęła mnie, z braku witamin „kurza ślepota”. Po zachodzie słońca nic nie widziałem i kole-dzy przeprowadzali mnie do baraku w odległym osiedlu.

Pewnego razu postanowiłem zanocować obok pałatek naczalstwa i przy ognisku, zwinięty jak pies, przemęczyłem całą noc. Komary przekonały mnie, że lepsze jest szarpanie prowadzącego kolegi niż te męki.

Kilkunastodniowa walka z pożarem nic nie dała, dopiero ulewny deszcz zakończył akcję. My już nie

powróciliśmy do Traktu oraz nie poinformowano nas, do jakich celów ten dom był stawiany, nas zaś przeniesiono do osiedla Wezdino. Nic nam nie zapłacono za czas walki z pożarem.

Na osiedlu Wezdino był duży skład kłoców i trzeba było tam poprawić plan wykonania, więc nas tam zatrudniono. Gdy plan został wykonany, przewieziono nas do Ajkino, aby tam wykorzystać nas przy załadunku dłużyc na wagony. Przy okazji (jak zawsze) przewiezienia w inne miejsce, stale byliśmy „obskubywani” z zarobku. Typowe w tych warunkach.

I znowu przewieziono nas, tym razem na północ do dość dużego osiedla Lejmu. Na mapie nie widnieje ta miejscowość, ale jest rzeka Lejmu i prawie u jej źródła, przy torach kolejowych Workuta-Kotłas jest to osiedle. Nadal cała nasza siódemka była w komplecie. Wciąż praca na składzie dłużyc, podtaczanie do torów i załadunek. Bezleśna Workuta i jej kopalnia potrzebowały dużo drewna.

W Lejmu zwerbował nas bezczelny i bardzo sprytny „kierownik” do wzięcia udziału w ekspedycji i na zachętę dał wszystkim nowe watowane ubrania i walonki. Dołączył do nas Liwosz Józef, też z Drohobycza oraz kilku Ukraińców i jeden Armeńczyk.

Wyruszyliśmy w towarzystwie pięciu sań z końmi, kierownik i jego pomocnik oraz pięciu furmanów. Słowo „ekspedycja” poprawiło nam

humory. Widok produktów na saniach też działał zachęcająco. Lepiej iść jak dźwigać kłocce. Jednak Armeńczyk (Nisza) coś węszył, zostawał w tyle i ostatecznie zawrócił. Niebawem odczuliśmy smak tej wyprawy. Na tym szlaku były domki myśliwych (zaniedbane), tzw. izbuszki i w nich nocowali kierownik z pomocnikiem, my zaś przy ognisku, na ułożonych na śniegu gałęziach świerkowych.

Przecieranie drogi zasypanej śniegiem było trudne, a gdy drogę przecinał wąwóz zasypany całkiem śniegiem, trzeba było budować mostki. Ścinało się zdrowe drzewa, wysokie by wierzchołki sięgały drugiej strony i na tych dwóch podkładach układało się ciasno pomost, który wyścielaliśmy gałęziami i gałązkami drzew szpilkowych. Przeprowadzano przez ten most konie, a później przeciągaliśmy sanie. Takich mostków na trasie 100 km trzeba było wykonać siedem, dlatego ten odcinek 100 km pokonaliśmy w ciągu dziesięciu dni.

Na miejscu, tuż nad rzeką Peczorą, stał rozwalający się barak i ma-lutki, w dobrym stanie, domek (izba dla naczelnika i magazyn). Ot tobie ekspedycja, a to w celu wybudowania tam piekarni i stołówki, nowy barak lub dwa i tam miało powstać osiedle Lemta. Kiedyś ludzie tam mieszkający (czy do tego doszło?) mieli ścinać drzewa i spławiać rzeką Peczorą do miasta Peczory, gdzie by je ładowano na wagony i przewożono do Workuty.

Najpierw mieliśmy poprawiać barak, aby można było w nim zamieszkać. Był środek zimy, silne mrozy i w nocy słychać było jak drzewa pękają. Wodę brano z przełębli w rzece. Przez dwa miesiące nie jedliśmy chleba, bo łatwiej było przewieźć mąkę, więc piekliśmy placki. Co dwa tygodnie dwoma saniami przywożono nam produkty. Siano w belikach dla koni było spleśniałe, nic dziwnego, że konie padały. Ludzie wyczerpani pracą, głodem i mrozami ratowali swoje życie, jak mogli. Na pracę zostawało mało czasu, choć poganiał nas najedzony i często podpity naczelnik. Pościnaliśmy trochę drzew, wykrzesali kłocę, przygotowali teren pod budowę (którą ledwie zaczęliśmy), kiedy zaczęła rysować się niewykonalność tego zamiaru. Ludzie zaczęli chorować, konie padały w drodze, kiedy spadły jeszcze większe śniegi, brak żywności, bo jej nie dowieziono, zaczęto więc likwidować placówkę. Postanowiono odsyłać najsłabszych, ja i Józef Liwosz z dwoma Ukraińcami opuściliśmy placówkę ostatni. Naczelnik i jego pomocnik czekali na przyjazd sań, aby zabrać produkty i narzędzia.

W Lejmu, po przybyciu na piechotę, nic nam nie zapłacono za dwa miesiące pracy w Lemcie, bo potrącono nam na nową odzież i wyżywienie. Jakież to pech stałe utrudniał nam życie. Nikt nie wspominał o możliwości odesłania nas do Kraju lub do nowych miejscowości. Nadal w Lejmu

ładowaliśmy drzewo na wagony, ale system enkawudowski działał sprawnie i przewieźli nas nieco na południe do osiedla Tałyj. Brak na mapach tego osiedla, gdzie też przy torach kolejowych były wielkie składy dłużyc. Cały czas byliśmy głodni, raczej żywnościowe małe, a później brak pieniędzy na wykupienie produktów na kartki żywnościowe. Brak mydła i łaźni, to już klęska.

W Tałyj zostaliśmy przydzieleni do brygady awaryjnej, to jest o każdej godzinie dnia i nocy ładowaliśmy wagony. Mieliśmy więcej zarobić. Kulig i Stęzka podtaczali nam te kłody, zarabiali jeszcze mniej i mieszkali na tak zwanej „Sachalinie” – rozpadające się baraki. Reszta z naszej polskiej grupy pozostała w Lejmu.

Praca w Tałyj była bardzo ciężka, nocne załadunki męczyły, człowiek czuł się jak zaniedbane zwierzę pociągowe – nikt go nie czyścił, dostatecznie nie odżywiał, a zmuszał do ciężkiej pracy. Zapominało się o modlitwie i Bogu – jedzenie i spanie to były najważniejsze potrzeby. W tym osiedlu byli też przesiedleńcy, Niemcy znad Wołgi, którym dopisywano ładowane przez nas wagony w nocy. Za nasze zarobione pieniądze można było wykupić tylko część najtańszych produktów, jakie należały się na kartki. Część kartek sprzedawaliśmy.

Jeszcze w osiedlu Trakt próbowaliśmy w tajdze znaleźć jakieś jagody – zabłądziłem i cudem ocalałem

życie. Próbowałem gotować grzyby – były inne jak nasze, więc dwa razy odlewałem wodę, aby się nie zatruci. Smakiem przypominały hubę.

Z Tałyj wiosną 1947 r. postanowiłem uciekać, by ratować życie. Sprzedałem wszystkie kartki żywnościowe, kupiłem bilet do Drohobycza i dwa bochenki chleba. Wsiadłem do pociągu, pomagając rodzinie, która wyjeżdżała do Niemiec, wnosząc im tobołki i wraz z nimi opuściłem Tałyj. W pociągu udawałem, że jestem członkiem tej rodziny, ostatecznie zwyciężył sen i na najwyższej półce zasnąłem. Miasto Kotłas, miejsce największych kontroli pasażerów, minąłem w nieświadomości. Do Moskwy pociąg jechał bez przerwy cztery doby, oczywiście stając na stacjach. W Moskwie mnie zatrzymano, ale udało się ich okłamać. Miałem jeszcze kłopoty z przedłużeniem ważności biletu w Moskwie, później na trasie do Kijowa wyszedłem na chwilę na pobliski bazar i uciekł mi mój pociąg. Po kilkugodzinym wałęsaniu zostałem zatrzymany przez patrol milicji i wylegitymowany, ale wybawił mnie z opresji naczelnik stacji mówiąc, że nadszedł pociąg, którym dojadę. Milicjanci oniemieli, a naczelnik poinformował ich, że poprzedni pociąg mi uciekł. Dojechałem szczęśliwie do Kijowa, następnie do Lwowa i kiedy wsiadłem do pociągu do Drohobycza, byłem już jakby ze swoimi. Tak dotarłem do Drohobycza, zatrzymałem się u znajomych Liwosza – przekazując

dokładny jego adres – później kilka dni byłem w swoim mieszkaniu (mama wyjechała już do Polski). Panią Julię Szmidt i Panią Sowiakową zastałem jako nasze byłe lokatorki. Szukałem kontaktów, by przedostać się do Polski. Odwiedziłem gajowego Dydyńskiego i jego syna leśniczego, który był aresztowany z moim bratem Zygmuntem. Obaj byli w obozie Karaganda po wyroku 10 lat. Po dwóch latach byli jako zesłańcy w Kijowie – Dydyńskiego zwolniono.

Napisałem do brata list. W połowie 1947 r. brata Zygmunta zwolniono (prawdopodobnie też z powodu złego zdrowia). Przyjechał do Drohobycza i rozpoczął pracę jako leśniczy koło Truskawca, ale niestety w 1948 r. zmarł. Gdzie jest jego grób nie jest nam wiadome, tak jak i mego ojca Maksymiliana, aresztowanego w 1940 r.

Skusiło mnie odwiedzić Wisznę, gdzie pracowałem z bratem w leśnictwie. Liczyłem na pomoc leśniczego Rosjanina, z którym po aresztowaniu brata pracowałem. Mieszkali tam już inni ludzie. Odwiedziłem naszą znajomą Wandyczową i w nocy, gdy u niej spałem, powrócił pijany komсомолец. Następnego dnia odstawił mnie na milicję i tak skończyły się dni pełne strachu i niepewności.

Moje wyjaśnienia o nieludzkich warunkach pracy nikogo nie rozczyliły i postanowiono mnie odesłać do Workuty. Uwężenie trwało 9 miesięcy: w Drohobyczu 2 miesiące, we

Lwowie 2 miesiące i w Workucie 2 miesiące, pozostałe 3 miesiące to transport i pobyt w Kijowie, Leningradzie, Kirowie i Syktywkarze.

Leśniczy w Workucie okazał zainteresowanie, a nawet zdziwienie. Prawdopodobnie był w osiedlu Tałyj, bo mogłem tam popełnić jakieś przekroczenie. Pod koniec grudnia 1947 r. wezwał mnie i bardzo grzecznie podał mi pismo z Moskwy - sprawę anulować, zwolnić z więzienia i odesłać do Polski. Ręce mi się trzęsły, poczęstował mnie papierosem i powiedział: „Jutro rano zwolnię ciebie, a ty z tym pismem zgłosisz się w II-gim Oddziale NWKD, gdzie wystawią powrót do Polski”.

Niestety, radość trwała krótko, Moskwa daleko, a ludzi do pracy trzeba. Major II-go Oddziału NKWD oświadczył: „Byłeś zesłańcem i nim jesteś - zamelduj się w speckomendanturze”. Dokument mi zabrał, wyjaśnienia nic nie dały i wyszedłem roztrzęsiony. W korytarzu spotkałem mojego śledczego i powiedziałem, co się stało - wszedł do majora (słyszałem, jak kłócili się) i szybko wyszedł zdenerwowany, a pod nosem mruknął „*wot kakoj Jewrej*”.

W speckomendanturze sekretarka rozmyślała, co ze mną począć - lichy ubrany, bez pieniędzy, jak zacznie pracę? Skierowała mnie do Straży Pożarnej, otrzymałem ubranie, koszary i stołówkę. I tak doba dyżuru w remizie, doba w rezerwie (w koszarach) i doba wolny dzień.

Apetyt wilczy, praca lekka, przeważnie dyżury w teatrze (jakoby miałem dobrą prezencję). Początkowo dyżury (w jednym dniu 8 godzin) miałem na terenie kopalni „Kapitalna nr 1”, czasem na Bazie OIS (baza produktów żywnościowych i różnych materiałów) i tylko raz brałem udział w gaszeniu pożarów. W koszarach były trzy sale po dwanaście osób każda, wszyscy zesłańcy ze wszystkich republik radzieckich i krajów ościennych. Kucharzem był Chińczyk. Na stanowiskach dyrektorskich (nawet członkowie partii) zostali przeniesieni za karę, na parę lat (widocznie podpadli). Oni jednak jako całkiem wolni, wyjeżdżali na 2 miesiące urlopu, otrzymywali podwójne pobory i lata przepracowane w tym klimacie zaliczano podwójnie. To dla tych „panów” był teatr (artystów przyprowadzano z obozów), początkowo wystawiano opery i operetki zachodnioeuropejskie, później tylko rosyjskie. W orkiestrze grali dwaj Polacy: Kłopotek i Żukowski. Był też balet, dyrygował nim narkoman Gruzin.

W mieście Workucie był szpital, stadion, elektrownie TEC 1 i 2, a do niektórych domów było doprowadzone centralne ogrzewanie. Prywatnych domów nie było. Wszystkie były z drewna.

W 1950 r. upłynął termin mego i innych zesłania. Zebrano nas i oświadczone: „Jesteście wolni bez prawa wyjazdu na stałe, tutaj wam

żyć i umierać, żenić się i rozmnażać się”. W tym też roku poznałem na wspólnej wigilii Jadwigę Lipnicką z Nowoświecian koło Wilna. W 1951 r. postanowiliśmy wspólnie dzielić trudy zesłania (choć w innej formie). Po oficjalnym ożenieniu się przy interwencji prokuratury (ona tam decydowała o trudnych rozwiązaniach) zostałem przeniesiony na drugą stronę rzeki Workuty do Osiedla Rudnik jako instruktor przeciwpożarowej profilaktyki.

Dostałem pokój w domku tuż nad rzeką, obok mieszkali strażacy z kończącym się wyrokiem. Po roku przeniesiono mnie do remizy, otrzymaliśmy pokój, a ja stanowisko zastępcy komendanta do spraw profilaktyki. Miałem nadzór nad całym osiedlem i przedsiębiorstwami, za wyjątkiem kopalni nr 8. Nadzór nad warsztatami kopalni należał też do mnie.

Był tam REMZ-2 (remonty maszyn elektrycznych - kierował tam kolega Edmund Weber), był też cech modeli i odlewów różnych części, były warsztaty mechaniczne i na tokarce pracował Edward Zieliński i Kubica ze Śląska. Na osiedlu były przedsiębiorstwa: GRU - poszukiwania węgla przez wiercenia - pracowali tam Pietrasiewicz i Narkun, „WNIMS” Instytut Badań Zmarzlin ZES-2 (lekkomobilna elektrownia), „ZIMS” (Zakład Wyrobów Materiałów Budowlanych) i pracował tam Skoczylas. W biurze GRU dozorcą

był Książkiewicz, w garażach GRU dozorcami byli Baliński i Baranowski. W stajni koni weterynarzem był Kaszkur. W aptece dozorował Łukawski (ten zmarł). Było „ŻKK” - odpowiedzialnik naszych usług komunalnych.

Gdy w 1952 r. urodził się Zbigniew, otrzymałem w budynku remizy pokój z kuchnią. Tam wszystkie paleniska były od strony korytarza, przez pół roku ogień nie wygasł, bo był mróz. W tym czasie wielu Polaków odwiedzało nas. Nawiązałem kontakt z Palaczem w tajdze, przyjechał i zamieszkał u nas. Udało mu się nawiązać kontakt z żoną w Polsce i wyjechał do Kraju przede mną.

W rejonach Workuty była cementownia, cegielnia, zakład wypalania wapna, a wszystko oparte na pracy więźniów i zesłańców. Czynnych kopalni ponad 20.

W straży pożarnej zarabiałem mało. Znajomy nasz inż. chemik pracował w cementowni i namówił mnie na zmianę pracy. Walento Stanisław powiedział: „Będzie kurs na mistrzów wypalania cementu, budują blok, dostaniecie mieszkanie i posadę majstra”. Tak się stało, zdałem egzamin na 5 (w tym okresie byłem ślusarzem, później mistrzem zmianowym). Pracowałem tam od 1953 r. do 01.05.1955 r., tj. do dnia wyjazdu do Polski.

Takie koleje losy były moim udziałem, ile szczęścia w nieszczęściu i ile uszczerbku na zdrowiu.

Okręg Stanisławowski AK



MIECZYŚLAW ZABIEROWSKI PS. „PLUTO”, „MARS”

Mieczysław Zabierowski urodził się w Stanisławowie 07.03.1918 r. W czasie wojny działał w Podziemiu. Od kwietnia 1943 r. do 30.12.1944 r. należał do Okręgu Stanisławowski AK, służył w Oddziale Sabotażowo-Dywerysyjnym. Był instruktorem oddziałów łączności i radiotelegrafistą w stopniu kaprała podchorążego, zajmował się obsługą radiostacji oddziału AK. Aresztowany przez NKWD 30.12.1944 r. z bronią w ręku, pełniąc służbę przy radiostacji. Więziony początkowo w Stanisławowie w więzieniu śledczym, a następnie we Lwowie. Wyrokiem Trybunału Wojennego skazany na 8 lat łagrów, pozbawienie praw obywatelskich i dożywotnią zsyłkę. W latach 1946-1948 przebywał w łagrach - Uchta, gdzie pracował przy budowie cegielni, oraz Wietłosim, w szpitalu i cechu

głównego mechanika. W roku 1948 przeniesiony do Workuty do pracy w kopalni. Z obozu został zwolniony z początkiem roku 1953, jednak nie mógł wtedy wrócić do Kraju. Do maja 1955 r. pracował w Workucie jako technik. Powrócił do Polski 20.05.1955 r. i zamieszkał w Głubczycach. W Kraju pracował jako tele-radiotechnik. Był pasjonatem telegrafii, konstruktorem sprzętu krótkofalarskiego, wieloletnim kierownikiem młodzieżowego klubu krótkofalowców. Zmarł 20.03.2004 r. w Głubczycach i został pochowany na miejscowym Cmentarzu Komunalnym - sektor 7, rząd 1, grób 30.

Największym problemem w obozie było, jak zaspokoić głód. Głód doskwierał nam ogromnie. Nasze wnętrzności nocą i dniem domagały się jakiegokolwiek strawy. Idę więc do stołówki, bo może uda mi się uprosić kogoś o miskę *bałandy* [obozowej zupy – przyp. red.] za pomoc w myciu kotłów lub myciu podłogi, ale już tam są i inni, sprytniejsi. Więc wracam upokorzony swą postawą, zalegam na swoich narach w samym rogu baraku, skręcony w kłębek, nakryty buształem. Usiłuję zasnąć. We śnie widzę się w swoim domu, a na stole leży cały *kirpicz* chleba. Kiedy się budzę od wrzasków brygadzystów, wszystko wraca do normy, dostaję swoją pajkę, całe 400 gram gliniastego chleba, którą zjadam natychmiast. Pewną ulgę przynosi... machorka!

Od zaciągania się silnym dy-mem machorki przechodził nieustanny, wręcz fizyczny ból uczucia głodu. Pamiętam, niepalący od chwili aresztowania, w stanie permanentnego głodu, potrafiłem wyrzec się połowy pajki chleba, którą zamieniałem na pudełko od zapalek (*spiczecznaja karobka*) machorki, którą „handlowali” na obozowym „bazarze”. Oczywiście nie pieniędzmi tam płacono, a pajkami chleba, machorką oraz *forszmakiem*, czyli gałkami ulepionej,

mielonej ryby. Raz w miesiącu otrzymywaliśmy 10 deko cukru, który był w cenie na obozowym bazarze. „Wypychywali” go brygadziści i ci, którzy pracowali w kuchni, w „*chleboreżce*”.

Chleboreżczyk to „*car i boh*” w obozie, krojący bochny chleba na „pajki”: 400 gram - *garantijnije*, 600 gram - *otlicznije*, 800 gram - *rekordnije* pajki.

Ja, za cały czas mego pobytu w obozach, nigdy nie otrzymywałem innego niż *garantijnij* *pajok*. Do tego dochodziła miska marnej *bałandy* i 50 gram owsianki czy pszona. Tacy, którzy wypracowywali normę otrzymywali *otlicznij* *pajok*, dostawali 600 gram chleba, 60 gram kaszy i dodatkowo ów *forszmak*. Rekordziści otrzymywali 800 gram chleba, 100 gram kaszy i porcję ryby - *krasnuchy*. Zupa była niby jednakowa z tym, że *rozdałczyk* mógł ją różnie zaczerpnąć: jednemu gęstsza, innemu zaś samą *juszkę*.

Sposób obliczania wykonanej normy to była „czarna magia”, po prostu oparta na „tufcie” (tufta – lipa). Trzeba mieć na uwadze, że w obozie rządziła sitwa. Mnóstwo było pasożytów, takich jak brygadziści, *proraby* [zwierzchnicy brygadzystów - przyp. red.], personel medyczny, *wochrowcy* [więźniowie, którzy dla ochrony obozu otrzymywali broń - przyp. red.], wolne *naczalstwo* [kierownictwo – przyp. red.], których zaopatrywano bezpośrednio w ich pokojach. Wszyscy

zjadali te produkty, które winny były trafić do kotła, na wyżywienie dla *zeków* [więźniów - przyp. red.]. Na ogół kierowałem się radami doświadczonych więźniów. A ci powiadali: „Chcesz przeżyć - żyj na *garantii*. Zechcesz *otlicznego* *ili rekordnego* *pajka* – *podochniesz*”. Dlatego zadowalałem się porcją gwarantowaną i nie goniłem za wykonaniem normy, by otrzymać *otlicznij* przydział i nie biłem rekordów. Zresztą nie było mnie stać na taki wysiłek. Więźniowie, którzy w obozie przeżyli dziesięć i więcej lat, tłumaczyli to tym, że ilość wydatkowanej energii na wykonanie normy była niewspółmiernie wyższa od otrzymanej, dodatkowej porcji żywnościowej.

Muszę tu nadmienić, że wykonana czy przekroczona norma pracy bardzo często była przez brygadzystę i *normiowszczyka* podskubywana na rzecz zupełnie niepracujących *woriagów*, którzy po przybyciu na wyznaczone miejsce pracy rozpalałi duże ognisko, przy którym wraz z brygadzystą grali w karty. Reszta więźniów musiała kilofami i łopatami ryc zamarzniętą, twardą jak lita skała ziemię, ryc wykopy dla przewodów rurowych czy robić wykopy pod projektowaną linię kolejową - dojazd do nowo budującej się cegielni. Musieliśmy wykonywać tę, ponad nasze siły, pracę, gdyż zmuszał nas do tego panujący 25-30-stopniowy mróz. Groziły odmrożenia nóg i twarzy

nawet w przypadku kilkuminutowego odpoczynku. Kto próbował ogrzać się przy ognisku, bywał brutalnie odepchnięty lub przepędzony kijem brygadzysty.

Aby przeżyć trzeba było ciągle walczyć o życie, przede wszystkim z głodnym, skręcającym od bólu żołądkiem. Więzień, wiecznie głodny, zje wszystko. Pamiętam taki typowy obrazek w stołówce: z rozgotowanej w zupie ryby, niektórzy „intelektualiści” wyławiają głowy i rybkie ości i odkładają je na bok na stole. Wokół stołów kręcą się więźniowie najbardziej głodni, „szakale”. Zgarniają te odpadki do swoich *kotielków*, blaszanek po konserwach. Następnie do tych odpadków dodają jeszcze uzbierane opodal kuchni jakieś oberki ziemniaków czy strzępy kapusty. Wszystko to gotują gdzieś na uboczu obozu, jeśli to jest lato, to dla „poprawienia smaku” dołożą pokrajanego zielska i zjadają to wszystko z wilczym apetytem. Był to żalony widok tych „szakali”. W rezultacie takiego żywienia ludzie dostawali dyzenterii, dystrofii jelit i następowała nieuchronna śmierć. Określano to jako *dosrocnoje oswoboźdienie*, czyli przedterminowe zwolnienie. Trzeba było siły woli, by nie upaść do poziomu „szakala”, bo głód to „wielki pan” i potrafi złamać i ludzkie charaktery i osłabić siłę woli. Kto tam nie był, nie przeżył tego – nie zrozumie.

¹ Wspomnienia pochodzą z nr 1(14)/2000 Kwartalnika Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy Armii Krajowej

Okręg Tarnopolski AK



ZBIGNIEW LIS PS. „ZOSIK”

Zbigniew Lis urodził się 10.03.1911 r. w Podfilipiu w pow. Borszczów w woj. tarnopolskim. Przed II wojną światową wstąpił na ochotnika do wojska i służył w 12 Pułku Artylerii Lekkiej. W 1939 r. odbywał kurs w Centrum Wyszko-
lenia Kawalerii w Grudziądzu i tam zastała go wojna. Brał aktywny udział w kampanii wrześniowej, walcząc przeciwko Niemcom. W latach 1941-1944 r. działał w Okręgu Tarnopolskim ZWZ-AK, najpierw jako dowódca kompanii AK w Chodackowie Wielkim, a po spaleniu i przeniesieniu się do Podhajec od wiosny 1943 r. zastępca Komendanta Obwodu Podhajce AK. Aresztowany został w grudniu 1944 r. przez NKGB w Podhajcach i sądzony jako obywatel Ukrainy przez Trybunał Wojenny USSR w Czortkowie. 24.08.1945 r.

został skazany na 20 lat łagrów i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich za zdradę ojczyzny – przynależność i kierownictwo w AK. W latach 1946-1955 przebywał w Komi ASSR w Workutłagu i Rieczłagu. Zwolniony z obozu 23.06.1955 r., lecz do Kraju wrócił dopiero w maju 1956 r. Po przyjeździe do powojennej Polski mieszkał w Gdyni, gdzie zmarł 27.01.1991 r. i został pochowany na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni - sektor 71, rząd 9, grób 18.

WSPOMNIENIA¹

Nazywam się Zbigniew Lis, data urodzenia 1911 rok. Urodziłem się na granicy polsko-sowieckiej w Skajach

¹ Fragment rozmowy przeprowadzonej przez Archiwum Wschodnie Fundacji Ośrodka Karta w 1989 r.

nad Zbruczem. Ojciec jako urzędnik austriacki przeniesiony został do Tarnopola. Stamtąd przeniesliśmy się i pod Tarnopol. W Chodaczkowie Wielkim ojciec zakupił gospodarstwo rolne. Tym gospodarstwem zajmowała się moja matka. Tam się wychowywałem i chodziłem do szkoły podstawowej, następnie do II Gimnazjum w Tarnopolu. Nie skończyłem go ze względu na chorobę i wstąpiłem do wojska jako ochotnik. W wojsku ukończyłem gimnazjum i zdałem maturę. Poszedłem do szkoły oficerskiej w Bydgoszczy. Ze specjalnością artyleria. Do wybuchu wojny służyłem w 12 Pułku Artylerii Lekkiej.

Następnie rok 1939. Byłem na kursie Wyższej Szkoły Jazdy Konnej w Grudziądzu. Stamtąd dostaję powołanie do mobilizacji i jako dowódca plutonu artylerii 3 baterii wyjechałem na front. Mobilizacja odbyła się bardzo sprawnie i z początkiem września wyjechaliśmy na swoje miejsca. Mieliśmy przydział - Armia Prusy - w rejonie Starachowice, Skarżysko, Iłża, jako armia odwodowa Naczelnego Wodza. Przyjechaliśmy koleją i 4 września byliśmy już na miejscu. Przyjechaliśmy do Wierzbnika pod Starachowicami i tam dopiero dowiedzieliśmy się, że 19 Dywizja z Armii Prusy jest już rozbita i cofa się na tę linię, którą my mamy zająć. My idziemy wprost na kontakt z Niemcami i zaczęły się walki. Najcięższy bój był pod Iłżą. Z 9 na 10 września my jako armia, jako

dywizja i nawet jako pułk artylerii przestaliśmy istnieć. Wszystko było rozbite i wycofywało się w kierunku Wisły. Uderzyły na nas wojska pancerne i lotnictwo.

Później cała ta gehenna wycofywania się i te różne bombardowania. Był nalot i bomba upadła niedaleko mnie. Miałem w plecach kawałek żelaza i rozbite czoło. Byłem oszłamiony, tak że zabrali mnie do niewoli, ale jak przyszedłem do siebie, to uciekłem. Przyszliśmy pod Lwów, ale nic jeszcze nie wiedzieliśmy o Rosjanach. Dopiero pod Lwowem się dowiedziałem, że się poddał. No i wtedy wycofywałem się w kierunku swoich stron, bo mieszkalem bliżej Zbrucza.

Zaczęła się okupacja Związku Radzieckiego i ich porządku. Ja nie miałem zamiaru wycofywać się dalej poza granice Polski, postanowiłem zostać w Kraju i walczyć. Zaczęliśmy się organizować samorzutnie, nie mieliśmy kontaktu z żadną polską organizacją. Nie ruszyli mnie. Myśmy mieli tam opinię - ojciec był bardzo lubiany w tej wsi, nikt nas nie wydał. Wywózki były później, pierwsze 10 lutego w 1940 r. Naszą rodzinę i jeszcze kilka innych zostawili. Nowe porządki: to było zaprowadzanie kołchozów, z miejsca, za miesiąc, dwa już zaczęli. Zobaczyłem, że rodziców moich mogą wziąć do kołchozu, więc poszedłem na kurs szoferski, żeby oddalić się z domu, bo kiedy byłem w domu, mogli rodziców zabrać do kołchozu.

Tylko odcięli ziemię, którą oni mieli, a ja ukończyłem kurs i jeździłem samochodem aż wybuchła wojna niemiecko-sowiecka w 1941 r. Chcieli mnie jako kierowcę wziąć do pracy do rejonu i dali mi pisemko, że mnie z tej kolumny samochodowej zwalniają i przesuwają do rejonu. Kiedy Niemcy nacierali, a bolszewicy uciekali, chwycili mnie oficerowie bolszewicy i zaczęli udowodniać, że jestem szpiegiem i prowadzili mnie do oddziału NKWD na rozstrzelanie. Po drodze jedna pani, która mnie dobrze знаła, awantury narobiła, baby się zleciały dookoła. „To nieprawda, żaden szpieg, to jest nasz człowiek!”. Miałem dokumenty, ale zapomniałem, gdzie ja włożył tę karteczkę żem zwolniony z kolumny – bo jak uciekł z samochodu, to jak wyrok śmierci. Znalazłem wreszcie ten świstek i powiedział: „Idi w czortu!”

Później przyszli Niemcy, a z Niemcami Ukraińcy. W pierwszych liniach, zakasane rękawy, sino-żółte opaski. Byłem w domu, otoczyli dom i przyszli po mnie. Tam był tylko jeden Niemiec, reszta Ukraińcy. Plułem sobie w brodę, że dałem się złapać tak w łóżku. Wyprawdzili mnie na szosę, tam stał samochód, kilka osób aresztowanych i mówią: Panie Lis, za pańską tę tutaj [działalność - przyp. red.] już 5 rozstrzelanych”. Nacjonałści ukraińscy mścili się. W tym momencie pędzi samochód, patrol SS. Zatrzymali się:

„Co się tu dzieje?”. Jeden z Ukraińców, że to komuniści. Ojciec wtedy do tego kapitana, że to nieprawda, że Ukraińcy mordują Polaków, przecież to jest niedopuszczalne. „Wobec tego, ja tych ludzi oddam na posterunek”, a tam kwaterowała dywizja słowacka. Dał jednego żołnierza, ten wziął nas wszystkich pod karabin i zaprowadził tam. Zauważyłem, że wśród tych Ukraińców był taki, który w czasie, gdy byli Sowietci, był milicjantem. Słowacy przyszli, powiedzieli, że rano przyjedzie tutaj Gestapo i powiedzą, co z nami robić: każą rozstrzelać, to rozstrzelamy, każą uwolnić, to uwolnimy. Rano przyjeżdża rzeczywiście gestapowiec: „Panowie, wynosić się do domu”. Od tej pory ja zrozumiałem, że muszę pójść pod ziemię. Jak wróciłem do domu, to ojciec mój siedział z lampką wina, naprzeciw niego kapitan niemiecki, rozmawiają. Ojciec prosił, żeby on mnie wydobył z rąk ukraińskich. Ucieszył się, że jestem i mówi do mnie, że powinienem uciekać, bo mnie Ukraińcy sprzątną. „Jutro jedzie mój motocykl do Tarnopola, proszę siadać i jechać”. I rzeczywiście wsiadłem na ten motocykl i mnie zawieźli. Dowiedziałem się, że ten milicjant, który pokazywał, kogo aresztować, został przez Gestapo rozstrzelany.

Okupacja niemiecka to było zupełnie co innego, ale Niemcy zaczęli ścigać też ludzi, których mieli w indeksie. Wyraźnie też agitowali tych Ukraińców, żeby występowali

przeciwko Polakom i pomagali im. Dawali im broń, organizowali ich. Z chwilą, kiedy Niemcy przyszli na nasze tereny, rozpoczęła się praca organizacji, najpierw ZWZ, a potem AK. Okazało się, że myśmy się w taki sam sposób organizowaliśmy samorządnie, jak AK i podporządkowaliśmy się w całości władzy polskich organizacji. Przyłączyli nas jako obwód tarnopolski, wyznaczili jakiegoś pana, który był komendantem obwodu, a ja zostałem jako dowódca kompanii w swojej miejscowości.

W tym czasie rozszyfrowali mnie Ukraińcy. Jechałem do Tarnopola na umówione spotkanie. Mówię o 1942 r. Styczeń albo luty. Wsiadłem z pociągu, a za mną Ukrainiec. On spotkał jedną panią, coś tam z nią rozmawiał. Do mnie w międzyczasie podszedł jeden znajomy. Ukrainiec odszedł, a ta panna stała, przed nami otworzyła torebkę i coś tam manipulowała. Już wiedziałem, że ona robi zdjęcie. Poprosiłem dwóch ludzi z osłony, żeby w jakiejś bramie odebrali jej torebkę, istotnie był tam aparat i filmy. To był ukraiński wywiad. Zdjęcie, gdybyśmy go nie przechwycili, byłoby oddane do oddziału wykonawczego, taki jak my mieli „Kedyw”, który likwidował.

Ja wtedy już wiedziałem, że zostałem zdemaskowany i musiałem zabierać się z tamtego terenu. Przerzucili mnie do inspektoratu w Brzeżanach, gdzie komendantem był oficer artylerii, mój były dowódca.

Oni przygotowywali tam wysadzenie pociągu, to był urlopowy – i mnie do tego dołączyli. Szkoda mi było, bo to był węgierski pociąg, ale było w nim 3 generałów niemieckich. Dużo strat nie było, okaleczenia, ci generałowie też byli ranni, pociąg wyleciał z szyn.

Ten kapitan poinformował mnie, że w obwodzie Podhajce źle się dzieje. Społeczeństwo nie ma zaufania do AK. Komendant obwodu pijak, piją z gestapowcami, oficjalnie mówią o AK. Mówi mi: „Mam tutaj meldunki, ale chciałbym posłać swojego człowieka, który by to sprawdził”. Dali mi kwaterę, zamieszkałem tam i zacząłem się rozglądać. Różne historie mi opowiadano: że folwarki dawały zboże, a on sobie przywłaszczał, że gorzelnia dała beczkę spirytusu na AK (żeby sprzedali), a on to sam chlał. Napisałem raport, że są sprawy, których nie powinno być, ale prawdopodobnie jest więcej anonsów osobistych, więc tak poważnie chyba sprawy nie należałoby stawiać, a po prostu go stąd zabrać. Zabrali go natychmiast i dali pod obserwację Kedywu.

Wtedy dostałem pismo, że przejmuję obwód. „Od kiedy pan przyszedł, to odetchnęliśmy tutaj”. Tak powiedziało społeczeństwo. Były różne dywersje, ale poważniejszych akcji nie było. Organizacja jako taka istniała, było wszystko w porządku, dopóki Niemcy nie zaczęli się cofać. Wtedy zaczęły się różne aresztowania. Okazało się, że ja byłem tam

rozszyfrowany przez Ukraińców znowu. Już było niebezpiecznie, w sąsiedztwie wymordowali Polaków. To był rok 1943, zabili 40 mężczyzn w Markowej. Pojechałem na inspektorat i powiedziałem, żeby zrobili odwet. „Proszę pana, my mamy taki rozkaz – nie prowadzić wojny z Ukraińcami. Jeśli pan zrobi odwet – on się uda. Ale jak się rozpęta walka, jaką siłę pan ma, żeby temu sprostać?”. Tak mi powiedzieli.

Ukrainiec – żaden żołnierz i żaden partyzant. Dam przykład. Dostajemy wiadomość, że jest wieś otoczona przez Ukraińców. Z miejsca wyruszyliśmy w tamtym kierunku. Tam proboszcz ukraiński wyprowadza procesję i zwraca się do nich, żeby tego nie robili, oni z wściekłością zaczęli krzyczeć, że „Wy zdraycy, Lachów bronicie!”. Nie wiedzieli, że nasz dowódca kompanii miał swoich ludzi uzbrojonych w tej procesji, a oni szli dalej na nich. Wtedy nasi ludzie ze środka tej procesji zaczęli ich siec, z jednej strony, z drugiej. Około 200 osób zabili. Było ich ok. 2000 i zaczęli uciekać w kierunku na nas. No i tam dali im takiego łupnia później, straszna masakra! I tak uratowaliśmy wszystkich: Ukraińców i Polaków. Takie akcje hamowały ich. Ukraińcy już swoich prowodyrów nie słuchali, bo oni ginęli.

Ponieważ nam nie było wolno prowokować żadnych akcji, które by sprowadzały represje ze strony Gestapo, staraliśmy się dywersje

uprawiać w taki sposób, żeby jak najdalej od miejscowości zamieszkałych przez Polaków. Działaliśmy raczej tam, gdzie były osiedla ukraińskie. Akcja dywersyjna miała mniejsze znaczenie, raczej byliśmy skoncentrowani na samoobronie przed Ukraińcami, przed bandytami. Przeciwko Niemcom to były tylko dywersje: wysadzanie pociągów, likwidacja donosicieli, łączność, telefony – takie dywersje o mniejszym znaczeniu.

Była też partyzantka sowiecka i coraz bardziej działała w miarę zbliżania się frontu. Do nich uciekali nasi Polacy, którzy mieli na sumieniu przestępstwa pospolite i byli ścigani przez nasze sądy.

W roku 1944 po przyjeździe żołnierzy sowieckich my zameldowaliśmy się u nich, ja jako terytorialny komendant pod kierownictwem rządu londyńskiego. Zgłosiliśmy się jako AK, nosiliśmy opaski białoczerwone. Kazano nam czekać, co dalej. Później zaczęliśmy pracować - ja jako buchalter w rybnym gospodarstwie. Wtedy zaczęli pobierać żołnierzy do wojska, do Armii Ludowej. W międzyczasie dostaliśmy rozkaz likwidacji Armii Krajowej, ja się sprzeciwiłem. Powiedziałem, że nie może być, żebyśmy zostali bez organizacji. Po pierwsze, musimy być w dalszym ciągu zorganizowani przeciwko Ukraińcom, którzy wciąż mordują, a następnie: istnieje druga organizacja, WiN [Wolność i Niezawisłość – przyp.red.]. Część się sprzeciwiła,



część poszła ze mną i powołaliśmy nową organizację. No i zaczęły się wtedy aresztowania i śledztwa, które trwały 7 miesięcy.

Zaczął się śledztwo i to była czysta komedia. Oni wmawiali nam, że jesteśmy winni, a nie mieliśmy żadnej winy. Odwrotnie: sowiecka partyzantka ukrywała się i ja dawałem rozkaz, aby im pomóc. Pewien kapitan co tam był, później był komendantem miasta, tak mi powiedział: „Za to, coś ty dla nas zrobił dobrego, my tobie dziękujemy, ale ty niebezpieczny człowiek i ty do Polski wrócić nie możesz”. Prowadząc śledztwo ze mną, pułkownik Grynicznikow mówił tak: „My do was strzelać nie będziemy, ale jeszcze popracujecie dla sowieckiej armii”.

Ja dostałem 20 lat katorgi i 5 lat pozbawienia praw. Jak się odbył sąd? To była parodia! Do słowa nie dopuszczali, do obrony żadnej. Parodia sądu. Po wyroku zaraz ostrzejsze obchodzenie się z nami. Zaprowadzili nas do więzienia i czekaliśmy na transport gdzieś na roboty.

Przyszedł czas wyjazdu w nieznanym kierunku z więzienia Czortków. Przyjechaliśmy do Dniepropietrowska. Tam więzienie kolosalne, na 40 tys. więźniów, jeszcze z carskich czasów. Nas tam dokooptowali tylko po to, żeby przesyłać dalej. Tam były łaźnie, czyszczenie itd. Zakwaterowanie – 30 osób tam, gdzie miejsce dla czterech. Jakże warunki, to wiadomo. Stamtąd pojechaliśmy do Charkowa. Charków nie przyjął nas, bo za dużo

miał ludzi. Wysłali nas do Moskwy, tam przetrzymali, więzienie było już oczyszczone, wysegregowali i część, do której ja też należałem, wysłali na północ, do Workuty.

Jechaliśmy dwa tygodnie, coraz to zimniej i zimniej. To były wagony towarowe, na środku piecyk i węgiel. Był albo nie było. Jak mieli, to dali. A jak nie, trzeba było chuchać w palce. Jeśli chodzi o potrzeby naturalne, szpara taka była zrobiona z pochyłą deską. Tak jak by było wieźli. Wyżywienie było bardzo złe, a najgorsze to były tzw. *prowierki*. Jak pociąg stał na stacji, sprawdzali każdy wagon czy przypadkiem nieprzebita gdzieś ściana i czy wszyscy są. Kazali się rozbierać, pomimo że było kilkanaście stopni mrozu, rzucać na kupę

ubrania na środku wagonu. Spędzili wszystkich na jedną stronę i takimi młotkami drewnianymi na długich drążkach, liczyli – i tym młotkiem tak gdzie popadło, po głowie, po nosie. Przeliczyli, zgadzała się suma i zamykali. W nocy, ciemno, gdzie znaleźć swoje ubranie? Każdy chwycił, co tylko mógł i naciągał na nogi, bo było zimno. Dopiero jak nastał świt, uzupełniali swoją odzież.

Byliśmy razem, Ukraińcy też. Myśmy byli więźniami wszyscy. I wszyscy byli traktowani jednakowo, nikt do nikogo pretensji żadnych nie miał. Dawali jedzenie i trzeba było podzielić, to jeden dzielił to jednakowo i musiało być wszystko bardzo sprawiedliwe. Tam nie było żadnej różnicy. Różnice się później pokazały, już w samym obozie.

Jeśli chodzi o więźniów pospolitych, to było ich więcej niż nas, politycznych. To byli chuligani, mordery, bandyci różni itd. I oni byli gospodarzami. Polacy się trzymali kupy razem i jak jednego zaczepili, to wszyscy z miejsca byli już przy nim. I oni nie ruszali Polaków. Na ogół rabowali rzeczy, zabierali, robili co chcieli i nie było na to ratunku. Polaków oni nie ruszali. Mieli respekt przed Polakami. Nawet ci ich oficerowie, jak ustawili ludzi: „Kto ty po nacji?” (tam było coś 44 narodowości). „A, ty Polak?” O, to spowaźniał, tak z góry na dół się popatrzył i inaczej rozmawiał.

Przyjechaliśmy do Workuty, tundra dookoła, kilka domków.

Wyprowadzili nas z wagonów i poprowadzili do baraku, który był stółką. Tam nam dali zupę z brukwi czy czegoś takiego i kawałeczek chleba i zaczęli nas wtedy odpowiednio mundurować. To był 19 marca 1946 r. Ubrali nas w kufaje, które z tych frontowych były, bo przestrzelane, jeszcze krew była na niektórych. Niektórzy dostali walonki, ale tego niedużo było. No i później przyjechał taki pan inżynier i wybierał. Mnie wybrał na czterdziestą kopalnię. To było niedaleko, przez rzekę Workutę, która była zamrznięta. Rozmieścili nas po barakach. Każdy sobie chwycił prycę i tak na gołej prycy kładł się. Ale trzeba przyznać, że było ciepło, bo węgla oni tak dość mieli, nie żalowali. Była tzw. *suszyłka*, gdzie można było suszyć te walonki. I zaczęła się katorga.

Pierwsze nasze roboty to było odkopanie zawianych dróg kolejowych, a później prowadzili nas na brygady i zaczęła się normalna robota. Pobudka była zimą o 5 rano. Przychodził taki dyżurny z gwizdkiem, otwierał te tzw. *parasze*, gdzie się załatwiała potrzeby, na takim ganku, do którego nie było zamknięcia. Przychodził, otwierał, myć się. Była gorąca woda i zimna, przynosili tę wodę tzw. *dniewalni* - to byli ludzie starsi, którzy już nie mogli chodzić, wyznaczeni. Po myciu wszystko się zbierało do kuchni po jedzenie, śniadanie. Nie było naczyń żadnego, to myśmy sobie robili kociołki

z puszek po tuszonce, z drzewa zrobił jakąś łyżkę. Ale to dopiero potem. Pierwszego dnia jedliśmy, jak kto umiał. Było tak, że mnie do czapki nalali zupy. Czasem z butów jedzono. Trudno opisać to wszystko. Można to zamknąć krótko w kilku słowach: Żyli ludzie jak zwierzęta. Tam człowiek jest w ogóle niczym. Pani Płastinina, która była dyrektorem kopalni szesnastej, powiedziała tak: „Lepiej, żeby 10 katorżników zginęło, niż żeby jedna tona węgla tam pod spodem została”.

Do kopalni pędzili jak stado bydła, z karabinami, psy dookoła. Konwojenci to byli też ludzie ukarani, z tym, że służbę pełnili na północy. Dzikusy. Byli Ukraińcy, byli Niemcy, byli Rosjanie przede wszystkim. No i Chińczycy byli. A naczelnik obozu to był major, Rosjanin, która za karę został przekazany tam.

Pierwsze dni były bardzo ciężkie, trudno się było z tym pogodzić, jakaś apatia ogarnęła każdego, bo przed nami nie było żadnej perspektywy – beznadziejność. Głód się dawał we znaki, no i ciężka praca, a przy tym zimno. Ponieważ my tam zaczęliśmy dopiero pracę, wytyczyli nam kołkami miejsce, gdzie ma być kopalnia. Trzeba było najpierw zdziierać mech, który był kilkanaście centymetrów gruby, a później kopać, bić kilofem i odrywać. Bo to zmarznięte, tzw. *wiecznaja mierzłata*. No i po takiej pracy, która trwała w początkach 15, 16 godzin, ludzie wykańczali się.

Wynosili to w tundrę. Jeśli ktoś umarł, to zrazu nikt się nie przyznawał, bo dostał za niego kawałek chleba. Ludzie umierali nagminnie. To kładli na takie sanie duże i jak przyjechali do bramy, to wychodził dyżurny z takim drewnianym młotem i uderzał każdego zmarłego w głowę, czy przypadkiem nie symulant.

No i takie prymitywne życie. My nie wiedzieliśmy, co to znaczy materac albo prześcieradło. Pod głowę to się puszkę z tuszonki brało, mokry człowiek wyjechał, nigdy nie wysuszony, tak na nim schło. Po śmierci Stalina polepszyło się znacznie, jak był Malenkov. Dostaliśmy sienniki wyładowane wiórami, koc i czyste prześcieradła. Było tak, że niektórzy bali się położyć na czyste prześcieradło. To kładł się pod łóżko i spał pod łóżkiem. Do tego ludzie doszli. Były ubrania robocze w kopalni, które się suszyły cały czas. Przychodził człowiek w innym ubraniu, przebierał się w łaźni.

Ja byłem na początku na Kopalni 40. Byłem tam półtora roku czy 2 lata. Już była tam zapoczątkowana kopalnia. Część wentylacyjna już była, a główną myśmy mieli zrobić. Stamtąd węgiel brali, ogrzewali. W końcu ja byłem wyczerpany. I było tak, że jak wziąłem kamień i rzucałem, to leciałem razem z nim. Jak pchałem wagonik do zaczepu, poślizgnąłem się, uderzyłem w czoło i krew mnie zalała. Rano zawsze wychodziliśmy do lekarza, kto był chory, kto miał

temperaturę. I ja nie czułem się chory, tylko to miałem. I w tym momencie jakby mnie ktoś za rękaw wziął. Wyprowadził mnie i jak ja się ocknąłem, to było pod drzwiami ambulatorium. Jak już byłem, to wszedłem. Lekarz, Estończyk, zalepił mi to plastrem. Patrzę, na stole leży taki arkusz, kilkanaście nazwisk. Zapisał mnie tam.

Na drugą zmianę ja pracuję, przychodzi ktoś i woła: „Lis, idziesz do sanatorium?”. To było dobre, bo nic się nie robiło. Położyli mnie na czyste łóżko i ja sobie leżę. Wypoczywałem tam prawie przez miesiąc. Po tym odpoczynku już było trochę lepiej. W tym czasie zostaję zesłany etapem do innej kopalni.

Dwóch nas zawsze jeździło z takim sitem kontrolować, ile jest kamieni w węglu. Ja chodziłem po różnych kopalniach. Jak się zjawiłem w tym kopalniach, to tam zawsze transport miał awarię. Przystawiałem szynę o 10 cm. Jak pociąg nadszedł, 10 wagonów z węglem, pędził szybko. Wjechał tam, wtarabanił się, a te końcowe wagony powywalane wszystkie. I koniec – cała zmiana planu nie wykonana. Z dzisiejszego punktu widzenia uważam, że słusznie zrobiłem, bo ja przyjechałem do Workuty nie budować komunizmu, a odbywać karę.

Jak zacząłem chodzić i czułem się troszkę lepiej, zacząłem myśleć o dywersji. A później zorganizowałem ja i jeszcze jeden kolega Słoński kurs obywatelski. Młodzież nasza nie miała możliwości otrzymać chociażby

niższe wykształcenie ogólne i zaznajomić się z pamiątkami historycznymi, zabytkami kultury i sztuki oraz bogactwem materialnym i duchowym narodu polskiego. Ja i Słoński zajmowaliśmy się sprawami organizacyjnymi, a oprócz tego ja wykładałem geografię. I napisałem konspekt, Słoński organizował kontakty ze słuchaczami. Chodzili na spacer, prowadzili pogawędki, bo inaczej nie można było. I tak to trwało, aż ten kurs został zakończony. Po zakończeniu tego dowiadujemy się, że my idziemy do karnego obozu, właśnie za to. Kapusiem był rabin, który zdobył zaufanie Polaków i on doniósł. Deskami zabite baraki. Polityczni i najgorsi przestępcy, bandyci, mordercy, którzy już w obozie mieli po kilka morderstw. Chcieli nas zgłębić.

No i tak nam zeszło do czasów, kiedy wybuchła rewolta – strajk. To było w 54 roku, chyba lato, ciepło było, bo myśmy się opalali. W naszym obozie został zabity jeden Łotysz – z budki, przez wartownika. To było w Szu 2. W innych obozach różnie bywało i po kilkunastu, w jednym to była masakra. Zaczęła się dyskusja między nami. Podejrzewałem, że jest to jakaś prowokacja, że to jest jakaś rozgrywka frakcyjna i między nami doszło do różnicy zdań. Ja się wycofałem z tego, wiedziałem, że to jest robione celowo i Rosjanie dziś czy jutro zniszczą to w zarodku i koniec. Powiedziałem o tym młodym

ludziom, którzy ich słuchali. „Zobaczcie, zaczekajcie jeszcze. Nie pchać się tam”. I my nie braliśmy udziału w ogóle w tych akcjach. To znaczy w strajku braliśmy tylko udział. Bo oni szli na druty na przykład, tam stały karabiny maszynowe. Brali koce do ręki i na druty szli. I rzeczywiście tak się okazało, że to była walka między Berią a kimś tam, tamte rozgrywki wewnętrzne.

Dowiadujemy się, że do nas przyjeżdża minister spraw wewnętrznych, marszałek Maslennikow. Przyjechał po pięciu dniach strajku. Na zewnątrz pełno NKWD za drutami, uzbrojeni, samochody. Do środka obozu weszło co najmniej 10 pułkowników i żołnierzy, bez broni. Stanęli przy bramie tylko. I tu kazali zebrać cały obóz w półkolu, przed nimi. Jak my się wszyscy zebrali, on zaczął przemawiać. Powiedział, że zwracają się do nas z prośbą, ażebyśmy przystąpili niezwłocznie do pracy. A tu przyjechali z nim prokuratorzy, którzy każdą sprawę będą oddzielnie rozpatrywać i oddawać do zmiany wyroku. „My was nie możemy wypuścić od razu wszystkich, bo tu są kopalnie, musimy na wasze miejsce kogoś sprowadzić. Robotników. Wtedy będziemy was zwalniać.” Takie nam dał zapewnienie i z tym odjechał. Na tym się skończyło i zaczęła się normalna praca.

To był rok 54, lato. Potem już była większa swoboda, lepsze wyżywienie. Można sobie było chodzić

swobodnie, bez „ochrony” już wychodziliśmy do kopalni. Na kopalni tylko liczyli wchodzących. Było coraz to łżej. I chleba dawali, ile kto chciał. Zaczęto płacić. Ja np. dostawałem 18 rubli miesięcznie. Część nam wypłacali na rękę, część na *oszczad-kasę*. A później już się zaczęły zwolnienia. Prokuratorzy robili dochodzenia, między innymi ja zostałem zwolniony. W każdym obozie był jeden prokurator. Przychodziło się do niego z podaniem, a on to wysyłał dalej. U mnie była rewizja procesu. Po rozpatrzeniu sprawy zmienili karę z 20 lat na 10, a ja 10 odbyłem. Odprawić do Polski – taka była sentencja wyroku. Przeze mnie przechodziły jakieś fale, to było coś niesamowitego. Cały drżałem. Miałem godzinę na rozliczenie się, oddanie niektórych rzeczy itd. Oni mi wypłacili 150 rubli. Miałem takie zawiniątko, szmaty na nogi i nic więcej.



Koledzy popłakali się, bo ja ich zostawiam. Smutno mi było, że ich zostawiam, ale co robić. No i wyprowadzili mnie do bramy. Ukraińcy też mnie do bramy wyprowadzili. Ukraińcy nas bardzo honorowali. Moskale też. Nie było już takiej nienawiści. To tak jakoś było odłożone na bok. No i przyszedł jakiś starszy lejtnant, wyprowadził mnie za bramę i mówi: „*No to wam swoboda. Idi, kuda chcesz*”. Zabrał się i poszedł. A obóz karny był w tundrze. Myślę sobie, żeby ci diabli wzięli! Co tu robić? Ale wcześniej był zwolniony jeden z moich kolegów. I mieszkał w obozie, skąd mnie zabrali. Przychodzę tam – była część wydzielona dla wolnych, taki hotel, patrzę, a on śpi. A on na innej zmianie pracował. Stoję nad nim, wreszcie go budzę. Skoczył: „Ty jesteś wolny?” – „Tak”. No to poszedł, kupił pół litra wódki i mówi: „Ty tutaj śpisz, a ja pójdę do pracy.” Tak przez dwa dni. Dostał tam przez kogoś z Rygi ubranie i mi odstąpił. Eleganckie: buciki, koszula, czapka, wszystko! Cały komplet. Ja mu to spłacałem później. No i już wolny jestem. 180 rubli mam, miesiąc można było wyżyć. Ale co dalej?

Ale zanim jeszcze poszedłem do tego kolegi, jak wracałem z tym tobołkiem pod pachą z karnego wypuszczony, patrzę idzie inżynier, dyrektor, który był moim przełożonym, wolny człowiek. Patrzy na mnie: „Ty co? Uciekłeś z obozu?” – „Nie, zwolniony.” – „Tak? Coś takiego! Przychodź do mnie, ja ci dam pracę, nie

w kopalni tylko na wierzchu. Przychodź do mnie zaraz.” No i mnie przyjął zaraz do pracy na kopalni. Dostałem chyba 600 rubli miesięcznie. Tam i tak była wyższa stawka, 180 rubli wystarczało na wyżywienie.

Później dowiedziałem się, że budują dla nas hotel i dziś, jutro będzie do oddania. Ja zaraz tam poszedłem i przydzielili mnie do jednego pokoju, kazali dobrać kolegów. Dali nam pokój elegancki i jak już miałem miejsce, zacząłem pisać. Trzeba się było starać o wizę. Czekałem kilka miesięcy. Dopiero kolega dzwonił do Workuty, czy już wizy przyszły. Tam mu powiedzieli: „Niech Lis przyjeżdża po wizę”. Autobus tam chodził, pojechałem. Jeszcze nie zastałem tego kapitana, naturalnie trzeba mu było dać 100 rubli. To ja mu podsunąłem, a on wziął, „*spasiba*” i dał mi tę wizę. I ja szybko, jak najszybciej starałem się uciekać, bo nie wierzyłem jeszcze w to, że ja już wolny. To był kwiecień 1956. Szybko zbieram manatki, likwiduję wszystko i uciekam. Nie chcę ani chwili tutaj siedzieć, bo się boję. Nasi koledzy odprowadzili mnie z taką paradą, pociąg już stał. Do Moskwy, do Brześcia nad Bugiem.

Przyjechaliśmy 30 km od Moskwy, parowóz odłączyli, dali elektrowóz. Wszedł konduktor z torbą i mówi: „Kto jedzie dalej poza Moskwę, albo kto jedzie za granicę, proszę mi powiedzieć, ja wystawiam bilety.” Wystawił mi bilet do Brześcia. W Moskwie kilkanaście godzin czasu.

Przyjechaliśmy do Brześcia, a tam dokładne sprawdzanie dokumentów. Jak wzięli mój paszport, zaraz sygnał do Moskwy. Oddali, przybili pieczętkę, brama, drzwi, dwóch enkawudzistów stoi, a z drugiej strony już PKP. Ja tam wyszedłem, patrzę, Polacy, Polska. Odetchnąłem głęboko. Ale jeszcze niepewny, bo ja jeszcze w Rosji. Później weszliśmy do wagonu, enkawudziści na stopnie przed każdym wejściem stawali i jechali do mostu. Przy moście zeskoczyli, a my pojechaliśmy do Polski.

Przyjechaliśmy do Terespoła, a tam już był jeden z agentów, który pytał, kto repatriant. „Samochód ciężarowy odwiezie was z dworca do hotelu”. Pozbierał nas wszystkich, zawieźli nas na folwark Grabanów. Tam luksus, pałac, łóżka, kto gdzie chciał się rozlokować i mógł być tam tak długo, dopóki sobie w Polsce nie znalazł miejsca. Tak było. Ponieważ ja miałem skierowanie wprost do Wrocławia, miałem gdzie jechać. Jechałem do rodziny. To było jak raz pierwszego maja. Odebrali nam tamte dokumenty, kazali zrobić zdjęcie, dali karty repatriacyjne. Pojechałem do Wrocławia. We Wrocławiu wsiadłem w taksówkę i pierwsze spotkanie z rodziną. Siostra i jej córka. To był wzruszający moment – tyle lat! Przemocowałem i nazajutrz pojechaliśmy tam, gdzie rodzice mieszkali. Tak jakoś, jak nas było czworo, tak wszyscy czworo zeszliliśmy się z powrotem.

ADAM KOSSOWSKI BIOGRAM¹ ARTYSTY ŁAGIERNIKA AUTORA ILUSTRACJI

Urodził się 16 grudnia 1905 r. w Nowym Sączu w zubożałej rodzinie ziemiańskiej. Jako uczeń nowosądeckiego gimnazjum, Adam należał do harcerstwa, gdzie doszedł do stopnia harcmistrza i kierował jedną z drużyn hufca. Po maturze rodzina Kossowskich przeprowadziła się z Nowego Sącza do Warszawy. Adam rozpoczął studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, by je po dwóch latach przerwać i od 1925 r. studiować malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a od 1931 r. do września 1939 r. pracować w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W okresie międzywojennym specjalizował się w malarstwie ściennym, stając się uznanym artystą monumentalnej sztuki dekoracyjnej. W 1938 r. ożenił się ze Stefanią Szurlej. Po wybuchu II wojny światowej pragnąc dołączyć do żony znajdującej się w tym czasie we Lwowie, udał się na wschód, gdzie dowiedziawszy się, że żona jest w Rumunii, próbował się do niej przedostać. W listopadzie 1939 r., przy próbie przekroczenia granicy rumuńskiej, został aresztowany przez NKWD. Więziony najpierw w Skolem, a następnie w Charkowie został skazany na pięć lat ciężkich robót w łagrach nad rzeką Peczorą w północnej Syberii. Od śmierci w obozie uratował go pobyt w szpitalu. Tam wykonał szereg szkiców, portretów służb obozowych, za co otrzymywał od nich dodatkowe racje jedzenia i przeżył. Złożył wówczas Bogu obietnicę, że jeżeli przetrwa dramat na nieludzkiej ziemi, będzie przez swoją sztukę okazywał wdzięczność Opatrzności. Po zawarciu polsko-sowieckiego porozumienia zwanego Paktem Sikorski-Majski w lipcu 1941 r. Adam Kossowski odzyskuje wolność i wiosną 1942 r. po długiej podróży dociera do Armii Polskiej w ZSRR. Ewakuowany wraz z Armią na Bliski Wschód w pierwszej ewakuacji polskich żołnierzy z ZSRR w I połowie 1942 r., następnie przez

Iran, Irak, Palestynę dociera do Egiptu, skąd statkiem liniowym dopływa do Wielkiej Brytanii. Stale wykonuje szkice. Po leczeniu zaawansowanej gruźlicy w Szkocji w 1943 r. zostaje zatrudniony w polskim Ministerstwie Informacji, gdzie tworzy wraz z innymi polskimi malarzami wystawy o tematyce historycznej. Jego pierwsza indywidualna wystawa otwarta w czerwcu 1944 r. pod nazwą „*Polish Soldier's Journey*” dokumentuje realia i drogę, którą przyszło przejść polskiemu żołnierzowi-artystcie podczas II wojny światowej, w tym poprzez łagry sowieckie. Po zakończeniu wojny decyduje się na pozostanie na Wyspach Brytyjskich. W okresie angielskim Adam Kossowski, zgodnie ze złożoną na Syberii obietnicą, angażuje się w malarstwo sakralne. Należy do kręgu artystów brytyjskich, którzy po zakończeniu wojny zostali zaangażowani w prace związane z odbudową i renowacją świątyń katolickich. Kreacje artystyczne Adama Kossowskiego są bardzo liczne. Zrealizował kilkadziesiąt wielkich rozmiarów kolorowych ceramik w ponad dwudziestu świątyniach w Wielkiej Brytanii, Irlandii i Stanach Zjednoczonych, realizował szereg swych indywidualnych wystaw malarskich. Stał się jednym z najbardziej uznanych pionierów nowoczesnej sztuki sakralnej na Wyspach Brytyjskich. W swej twórczości nawiązywał do swych przeżyć syberyjskich. Adam Kossowski zmarł nagle 31 marca 1986 r. w Londynie i został pochowany na cmentarzu klasztornym Karmelitów w Aylesford w hrabstwie Kent w południowo-wschodniej Anglii. To tutaj prowadził w latach 1950-1972 szereg prac artystycznych. Jest to miejsce, w którym spotykają się dwie specjalności artysty: dawna, zdobyta w wolnej ojczyźnie i specjalność wyuczona na wychodźstwie, malarstwo monumentalne oraz kolorowa ceramika. W 2003 r. na tym samym cmentarzu spoczęła również jego żona - Stefania Kossowska.

¹ źródło: Magdalena Szwejka, *Sztuka religijna A. Kossowskiego*, „Archiwum Emigracji - Studia - Szkice - Dokumenty”, Toruń, Rok 2006, Zeszyt 1-2 (7-8), s. 178-227

Wstęp	3
OKRĘG WILEŃSKI AK	
płk Stefania Szantyr-Powolna ps. "Hanka"	7
ppłk Stanisława Kocielowicz z d. Kowalewska ps. "Żuczek", "Iskierka"	20
OKRĘG BIAŁOSTOCKI AK INSPEKTORAT GRODZIŃSKI	
płk Weronika Sebastianowicz z d. Oleszkiewicz ps. "Różyczka"	34
Eugeniusz Cydzik	44
OKRĘG NOWOGRÓDZKI AK	
Antoni Skrendo ps. "Lis"	54
OKRĘG POLESKI AK	
mjr Natalia Zarzycka z d. Odyńska ps. "Jaskółka", "Sfinks"	67
OKRĘG WOŁYŃSKI AK	
Bronisław Grajber ps. "Ryba"	78
OKRĘG LWOWSKI AK	
Kazimierz Chmura ps. "Julek"	87
OKRĘG STANISŁAWOWSKI AK	
Mieczysław Zabierowski ps. "Pluto", "Mars"	95
OKRĘG TARNOPOLSKI	
Zbigniew Lis ps. "Zosik"	99
ADAM KOSSOWSKI (1925 - 1986)	
Adam Kossowski. Biogram artysty łagiernika autora ilustracji	111

WYDAWCA:



PARTNERZY:



Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego



Program Rozwoju
Organizacji
Obywatelskich
na lata 2018–2030

PROO



FUNDACJA
Wsparcia Historii
i Kultury Polskiej



Zadanie finansowane ze środków otrzymanych z NIW-CRSO
w ramach Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich na lata 2018-2030 PROO

